ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400

NR 2 (169) LUTY 2013 CENA 13,65 ZŁ (w tym VAT 5%)

Na tropie archiwum WILCZEGO SZAŃCA

Zagadka kętrzyńskich podziemi

www.odkrywca.pl

INDEKS 370110X ISSN 1505-6104

02

9 771505 610056

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

LUTY 2013

POSZUKIWANIA

3 **Tajemnica kętrzyńskiej piwnicy Hempla**
Piotr Maszkowski

8 **Zagadka grobów marynarzy z ORP „Dragon"**
Krzysztof Kubiak

10 **Harmonogram zbrodni. Operacja „Lawina" cz. 2**
„Rozległ się straszny huk. Po wybuchu większość ludzi jednak żyła i zaczęli oni uciekać. Byli oszołomieni zarówno wybuchem, jak i wypitym wcześniej zatrutym alkoholem. Cały teren był otoczony i wszyscy zostali wyłapani. (...) kazano się im rozebrać do naga. Następnie pojedynczo sprowadzano nagich nad wykopany dół i tam mordowano, każdego strzałem w tył głowy...".
Łukasz Orlicki

14 **Sztolnia Emanuel. Tysiąc metrów w głąb góry**
Krzysztof Krzyżanowski, Dariusz Wójcik

19 **Ocalone dokumenty generałowej Katarzyny Sowińskiej**
Piotr Adamczyk

22 **Kasa NSDAP**
Wojtek Stojak

25 **„Terroryści" z AK**
Wszystko zaczęło się od meldunków, niezwykle skrupulatnego i aktywnego informatora bielskiej Służby Bezpieczeństwa. Doniósł swym mocodawcom, że w niewielkiej wsi Chrząstowice, kilku jej mieszkańców, nieujawnionych nigdy członków miejscowego oddziału AK *„planuje odnowić działalność"*. Latem 1981 r. mieli podjąć się dwóch prób wydobycia ukrytych w 1945 roku, nieopodal jednego z okolicznych gospodarstw, dokumentów i... co gorsza broni.
Piotr Maszkowski

28 **Kwatery wojenne w Skale**
Szymon Wrzesiński

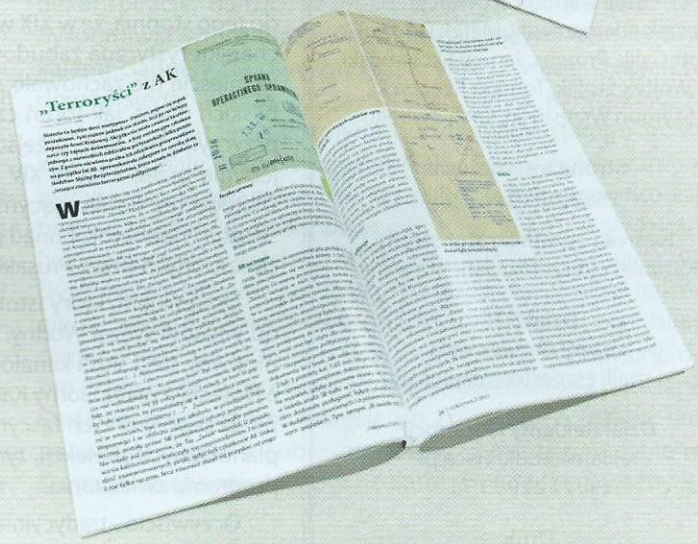

KULISY HISTORII

34 **Megalomania i fałsz w służbie propagandy**
Superbohaterowie na froncie, cz.3
Michał Cetnarowski

38 **Rochus Misch – człowiek, któremu los przeznaczył życie**
Dariusz Pietrucha

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

44 **Oddać honor żołnierzom II Rzeczpospolitej**
Pomnik Poległych w Sochaczewie – przebudowa 2012-2013
Jakub Wojewoda

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

48 **Podziemna kopalnia piasku w Tomaszowie Mazowieckim**
Tomasz Rzeczycki

BATALIE I POTYCZKI

54 **Niezwykli żołnierze Powstania Styczniowego**
Żuawi, Garibaldczycy i Święci...
Piotr Galik

57 **Kozacy w służbie 8. Armii włoskiej na froncie wschodnim**
Leszek Molendowski

FORTYFIKACJE

60 **Pozycja Szczycieńska**
Jacek Jarosz

65 **Schron dowodzenia Obszaru Warownego „Śląsk" – uroczyste otwarcie i niewesołe refleksje**
Jerzy Sadowski

KOLEKCJONERSTWO

68 **Chityna i pierze**
Zoologia falerystyczna cz. 3
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości lutego w Księgarni Odkrywcy**

Okładka:
Jeden z niewielu ocalałych obiektów Wilczego Szańca.
Zdjęcie: archiwum Redakcji

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

VIII Konferencja popularnonaukowa „Wybuchowy weekend z »Odkrywcą«"

Bydgoszcz 17-19 maja 2013

Miejsce tegorocznej konferencji podaliśmy na zakończenie naszego ubiegłorocznego spotkania. Tak więc, dla wielu z Was nie będzie niespodzianką, że w tym roku spotykamy się w Bydgoszczy, zgodnie z wieloletnią tradycją w połowie maja. Wielu Bydgoszcz może kojarzyć się jedynie z tym, iż jest to jedno z większych miast w północnej Polsce, leżące między Wisłą a Brdą, z licznymi kanałami … i właściwie niewiele więcej. Jednak Bydgoszcz oraz jej najbliższe okolice kryją sporo interesujących miejsc, jedynych w swoim rodzaju obiektów i niezwykłych historii z nimi związanych. Jak się domyślacie, najciekawsze z nich pokażemy Wam w czasie tegorocznej VIII Konferencji.

Historia Bydgoszczy sięga wczesnego średniowiecza, gdy protoplastą bydgosko-fordońskiego „dwumiasta" było grodzisko Wyszogród, zasiedlone już za czasów Bolesława Chrobrego. W wiekach późniejszych nastąpił dynamiczny rozwój infrastruktury miejskiej, do tego stopnia, że w XIX w. Bydgoszcz nazywano nawet „małym Berlinem". Powodem była charakterystyczna zabudowa przypominająca ówczesną stolicę Cesarstwa Niemieckiego. W mieście nie zachowało się wiele zabytków gotyckich, czy charakterystycznych dla pobliskich miast, jak Toruń czy Chełmno budowli wzniesionych przez Krzyżaków. Zapewne przyczyną był fakt „przejściowego" pobytu zakonników na tych ziemiach – władali nimi jedynie przez 7 lat w XIV wieku, i nie zdążyli pozostawić po sobie widocznych śladów. Dlatego też dominującym stylem architektonicznym Starego Miasta i Śródmieścia jest secesja i neobarok. Ponad połowę zabytków z czasów staropolskich zostało bezpowrotnie zniszczonych przez Prusaków i Niemców.

Czynnikiem, który istotnie wpłynął na charakter i rozwój miasta, był rozbudowywany od wieków Węzeł Wodny. Dzięki rozlicznym i zawansowanym rozwiązaniom hydrotechnicznym, sieci śluz i kanałów, można z Bydgoszczy Wisłą dotrzeć do Krakowa lub Gdańska, a Notecią – przez Górny Kanał Notecki, Jezioro Gopło i Kanał Ślesiński Warty –do… Berlina. Ze szczegółami tych fascynujących rozwiązań wodnych zapoznamy się zapewne podczas planowanych prelekcji, tymczasem zdradźmy kilka wstępnych szczegółów dotyczącego programu zwiedzania.

Oczywiście – tradycyjnie już – odbiegać on będzie od zwyczajowych tras proponowanych w przewodnikach turystycznych. Zabierzemy Was na pewno do Exploseum poświęconego kompleksowi zbrojeniowemu Dynamit AG Alfred Nobel & CO Bromberg (fabryka DAG). Miejsca do niedawna niedostępnego, ze względu na zamknięty charakter funkcjonujących tam Zakładów Chemicznych „Zachem". Obecnie zorganizowano tam jedną z nowocześniejszych placówek muzealnych w Polsce, o której wielokrotnie pisaliśmy na łamach „Odkrywcy". Pokażemy Wam także Wał Obronny zbudowany przez Wojsko Polskie w okresie międzywojennym, gdzie na początku września 1939 roku bydgoska 15. DP odpierała skutecznie ataki Wehrmachtu (grupy operacyjnej „Netze"). Zwiedzimy tajny obiekt wojskowy 86092 z okresu „zimnej wojny". Atrakcyjnie zapowiada się również wizyta na terenie poniemieckiego poligonu rakietowego. Nie zabraknie na naszym szlaku także pełnego tajemnic pałacu… Mamy nadzieję, że tym bardzo wstępnym i lakonicznym zarysem programu tegorocznej Konferencji na tyle Was zainteresowaliśmy, że zechcecie spędzić z nami wyjątkowy, majowy weekend.

Powyższe informacje mają „roboczy" charakter. Dokładny program Konferencji jest w trakcie opracowywania i będziemy go systematycznie uzupełniać w kolejnych numerach „Odkrywcy". W nich również znajdziecie interesujące artykuły przybliżające poszczególne obiekty oraz ich historię. Zawsze najnowsze i najaktualniejsze informacje będą zamieszczane na naszej stronie www.odkrywca.pl oraz na naszym profilu na Facebooku.

Informacje organizacyjne: koszt akredytacji, miejsce bazy oraz sposób rejestracji podamy Wam w następnym numerze „Odkrywcy". Uwaga, każdy uczestnik przy rejestracji będzie musiał podać obowiązkowo następujące dane: imię i nazwisko, adres, a do celów ubezpieczenia dodatkowo numer PESEL.

Serdecznie zapraszamy nowych uczestników i stałych bywalców naszych Konferencji. Weekend z „Odkrywcą" to weekend niepowtarzalny.

Tajemnica kętrzyńskiej piwnicy Hempla

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
DOKUMENTY: IPN

Kętrzyn w świecie słynie głównie z pobliskiego „Wilczego Szańca" – ulubionej kwatery głównej Hitlera, gdzie niestety nie zakończył życia, choć w zamachu z 20 lipca 1944 roku były na to spore szanse. Samo miasto pozostaje więc nieco w cieniu pozostałości po tym znanym w skali globalnej obiekcie. Nie oznacza to jednak, że jest mało interesujące i nie kryje tajemnic. Wręcz przeciwnie. Oto jedna z nich.

Rastenburg, lato 1944 roku

Urodzony w Beuthen na Śląsku Scharführer Konrad Sosinka miał sporo szczęścia. Na początku wojny jako 19-latek wstąpił do SS, otrzymując stosunkowo bezpieczną posadę. Został kierowcą Sturmbannführera Ledewiga stacjonującego przez większość wojny w Kętrzynie. Dopiero we wrześniu 1944 trafił z głębokiego zaplecza frontu do Francji. Zanim to jednak nastąpiło, spotkał miłość swojego życia. Margerete Hempel zwróciła uwagę na przystojnego Ślązaka niedługo po tym, jak zaczął się pojawiać w kawiarni jej ojca. Wielu zabiegało o jej względy, lecz to właśnie jemu udało się zdobyć serce dziewczyny. Po jakimś czasie przedstawiła narzeczonego rodzinie, której z miejsca przypadł do gustu. Warto dodać, że była to zacna i bogata familia. Jej ojciec Carl Hempel posiadał w Rastenburgu luksusowe delikatesy, wykwintną restaurację i popularną kawiarnię, do której często zaglądali również oficerowie sztabowi z pobliskiej kwatery. Przyszły zięć stał się wkrótce jego ulubieńcem. Nie tylko był przygotowywany do przejęcia i prowadzenia interesu, ale również wtajemniczany w rodzinne sekrety. A tych nie brakowało, zważywszy na nie do końca jasne kontakty kętrzyńskiego restauratora ze spiskowcami z „Wilczego Szańca". Musiały być jednak bliskie, gdyż po nieudanym zamachu z 20 lipca 1944 roku Carl Hempel, podobnie jak wówczas wielu Niemców, poczuł się szczególnie zagrożony. Do tego stopnia, że postanowił zabezpieczyć część sporego majątku, którego konfiskaty, w związku z możliwą dekonspiracją, bardzo się obawiał. Skrytkami do tego celu dysponował wręcz idealnymi. Pod należącymi do niego lokalami ciągnęły się dwukondygnacyjne piwnice, których rodowód sięgał jeszcze czasów średniowiecza. Ich rozkład, zakamarki i połączenia z innymi podziemiami starego miasta znał doskonale. Ukrycie więc w nich czegokolwiek, zamurowanie i zamaskowanie śladów wszelkich robót, gwarantowało bezpieczeństwo dobytku pewniejsze, niż w jakimkolwiek sejfie depozytowym Reichsbanku czy innej instytucji finansowej. Dyskretnie więc, przy pomocy przyszłego zięcia, ukrył najcenniejsze kosztowności jakie posiadał. Tymczasem nad Niemcami zebrały się czarne, a właściwie czerwone chmury, dobre czasy bezpowrotnie się kończyły. Od wschodu nadciągali Rosjanie, trwały dzikie represje po zamachu na Hitlera, wojna zaczęła dawać o sobie znać coraz wyraźniej. Wkrótce też Konrad Sosinka musiał opuścić coraz mniej już przyjazny Ra-

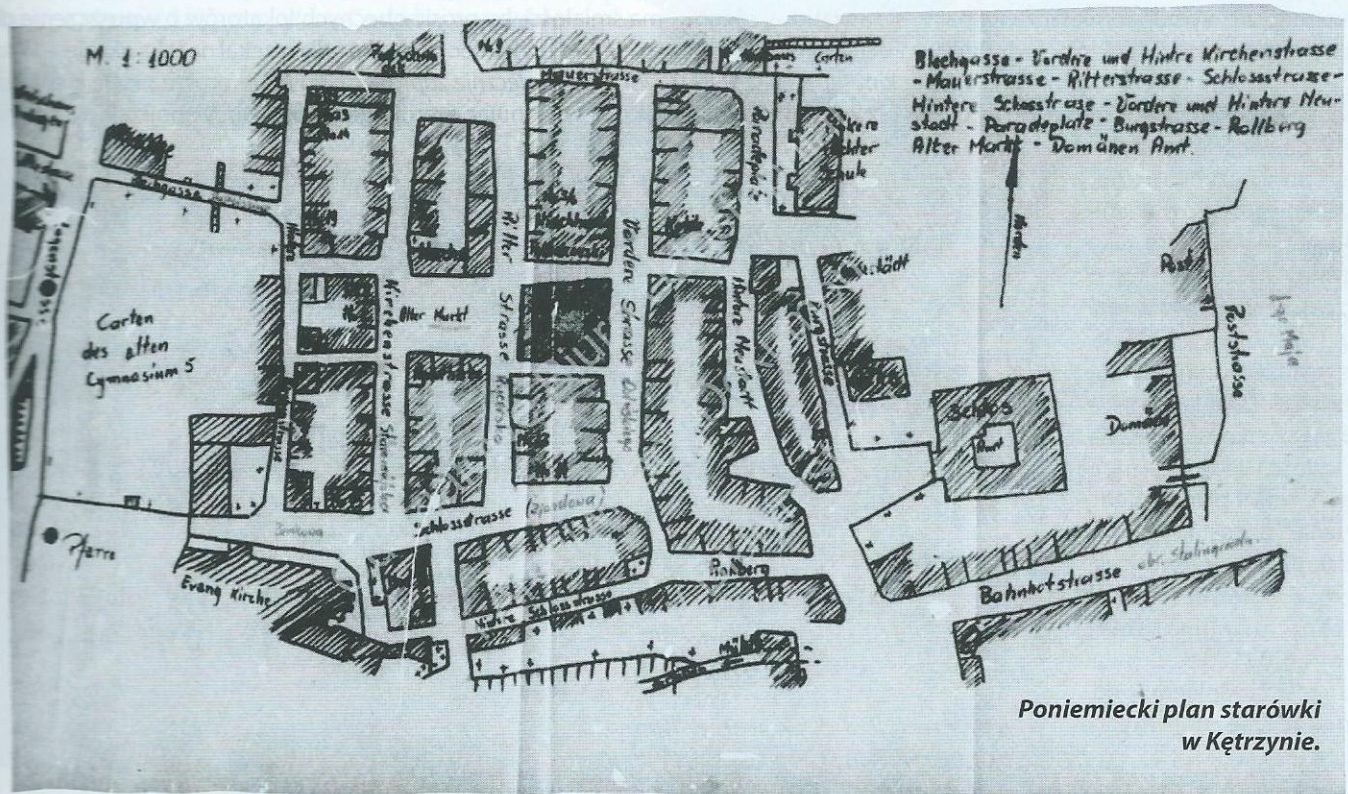

Poniemiecki plan starówki w Kętrzynie.

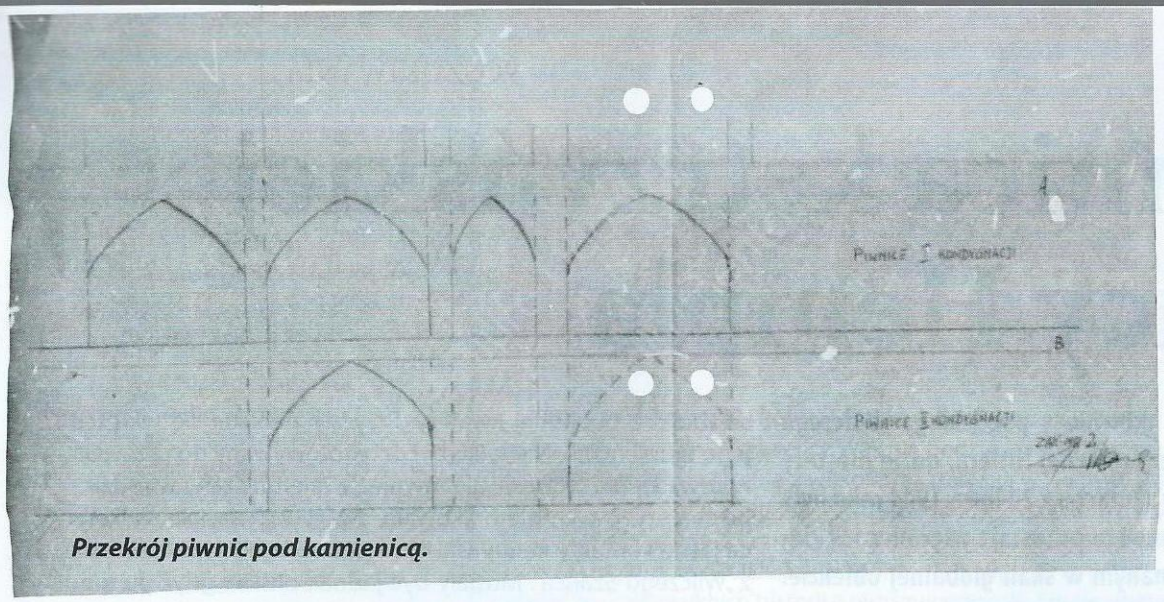

Przekrój piwnic pod kamienicą.

stenburg, narzeczoną oraz świetlaną przyszłość. Został wysłany na front zachodni. Gdy przebywał we Francji, jesienią 1944 roku dotarła do niego jedna z ostatnich wiadomości od ukochanej. Wśród wielu informacji znalazła się również i ta, że do ukrytych wcześniej kosztowności dołączył tajemniczy ładunek przywieziony z Gierłoży wojskową ciężarówką… Konrad Sosinka przeżył wojnę. Margarete również, lecz nigdy więcej nie dane było się im spotkać. Carl Hempel z resztą rodziny zginął podczas ewakuacji zimą 1945 roku.

Kętrzyn, 24 lata później. 6 IV 1973 rok

Mieszkaniec jednej z kamienic przy starym mieście w Kętrzynie, wchodząc do ciemnej i zatęchłej piwnicy nie był zadowolony. Wrócił z pracy wyjątkowo późno, był głodny i zmęczony, a w domu zamiast ciepłego posiłku znalazł jedynie kartkę od żony z informacją, że zeszła do piwnicy po ziemniaki. – *Niech to szlag trafi* – zaklął siarczyście, ubrał jednak płaszcz i wyszedł szukać swojej połowicy w mało bezpiecznych o tej porze podziemiach domu. Wychodząc z klatki schodowej zauważył, że drzwi prowadzące na niższy poziom były otwarte. Wewnątrz ciemnego zazwyczaj pomieszczenia paliło się światło, a z jego głębi, niesione po sklepieniach dudniącym echem, dochodziły głosy ożywionej rozmowy. – *Co u licha, z kim tam tak szwargocze?* – powiedział do siebie, po czym wytężył słuch. Zdziwił się. Z pewnością nie był to język polski, szybko rozpoznał słowa wypowiadane po niemiecku, które jako rdzenny Mazur doskonale znał. Początkowo zaczął wychwytywać pojedyncze wyrazy, potem już wyraźnie całe zdania. Ich sens zaczął szybko układać się w całość. Jeden z mężczyzn mówił płynną niemczyzną, pozostałe osoby posługiwały się tym językiem z wyraźnie polskim akcentem. Mieszkaniec kamienicy zdecydował ukryć się za winklem i podsłuchać nieznajomych, tym bardziej, że temat ich rozmowy niezwykle go zaintrygował. Padały różnego rodzaju liczby, co sugerowało, że obcy mierzą odległości szukając ukrytego wejścia do zamurowanego tunelu i porównują z jakimś planem. Co więcej, twierdzili, że jak do tej pory stan rzeczywisty pokrywa się z nim w całości. W pewnym momencie ostrożnie wychylił się ze swojej kryjówki. Kątem oka dostrzegł zarys postaci, których szczególną uwagę przykuła jedna z piwnicznych komórek, zabezpieczonych przez właściciela solidną kłódką. Tajemniczy goście zastanawiali się na głos, czy jej właściciel zechce się z nimi dogadać, i czy będą mu mogli zaufać. Osobnik mówiący płynną niemczyzną zapewniał swoich partnerów, że jeżeli wszystko się uda, nie będą musieli martwić się o swoją, ani swoich dzieci przyszłość. Drugi mężczyzna, do którego skierowane były słowa, zdawał się je ignorować. Podszedł do innego miejsca zastanawiając się na głos, czy jest szansa dyskretnie wydobyć, najwyraźniej również tam ukryte, archiwalia z „Wilczego Szańca"… Coraz bardziej podekscytowany „podsłuchiwacz" w pewnym momencie przewrócił leżącą na posadzce pustą butelkę. Hałas spowodował, że zapadło milczenie, lecz nie na długo. Nie zrażony wpadką mężczyzna postanowił się ujawnić, udając, że właśnie wszedł do piwnicy. Przywitał się z nieznajomymi po niemiecku, z wyraźnym akcentem regionalnym. Obcy uprzejmie mu odpowiedzieli. Nawiązała się zdawkowa rozmowa. Starszy z mężczyzn wyjaśnił, że jest synem właściciela kamienicy, do której należały również piwnice, gdzie się obecnie znajdują. Chciałby też obejrzeć mieszkania, ale nie ma śmiałości, by prosić obecnych lokatorów o wpuszczenie do środka. Mieszkaniec budynku tylko czekał na taką okazję. – *W takim razie serdecznie zapraszam do mnie, proszę się nie krępować* – rzekł wykonując szeroki gest ręką. Obcy spojrzeli dyskretnie

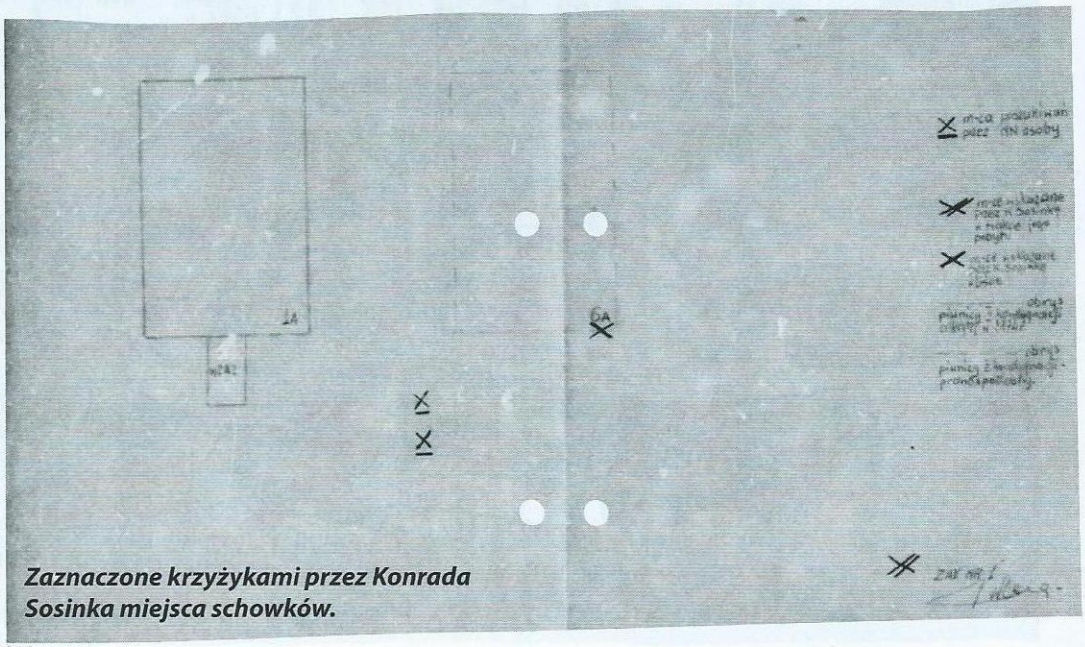

Zaznaczone krzyżykami przez Konrada Sosinka miejsca schowków.

po sobie, po czym z uśmiechem przystali na propozycję. Zaczęli się wspinać po schodach. Dopiero na oświetlonym korytarzu mieszkaniec kamienicy mógł im się dokładniej przyjrzeć. Jeden był po pięćdziesiątce, dość postawny, siwiejący, drugi znacznie młodszy i dużo niższy. Towarzyszyła im jeszcze elegancko ubrana kobieta, o zaskakująco mocnym, jak na wizytę w piwnicy, makijażu. Po chwili weszli do mieszkania. Niemiec rozglądał się z zaciekawieniem oprowadzany po poszczególnych pokojach. Zwracał uwagę na zmiany w układzie pomieszczeń, jakich dokonali nowi lokatorzy, lecz wyraził zadowolenie, że mimo ogólnych zniszczeń miasta, budynek i jego wnętrza przetrwały w stosunkowo dobrym stanie. Gospodarz chętnie udzielał odpowiedzi na każde pytanie gościa, a jego mazurski akcent najwyraźniej coraz bardziej zjednywał zaufanie starszego z mężczyzn. Wreszcie rozmowa zaczęła schodzić na bardziej interesujący go temat. – *Wtajemniczę Pana w pewną bardzo bliską memu sercu sprawę. Jak wspomniałem, kamienica ta wraz ze znajdującą się pod nią kawiarnią należała do mojego ojca. W czasie wojny była bardzo popularna, na początku zaglądali tu inżynierowie nadzorujący budowę pobliskiej kwatery, nieco później zaś stacjonujący tam oficerowie sztabowi. Z niektórymi nawet się przyjaźnił. Cieszył się na tyle ich zaufaniem, że po zamachu na Hitlera, powierzyli mu na przechowanie tajne dokumenty. Ukrył je w znanych tylko sobie zakamarkach piwnic, gdzie się spotkaliśmy. Ale to nie wszystko. Wkrótce jednak sam poczuł się zagrożony. Postanowił zabezpieczyć rodzinę i ukryć w podziemiach sporą część majątku, w obawie przed możliwością jego konfiskaty. Niedługo potem front zbliżył się do naszego miasta. Musieliśmy uciekać, porzucając cały ukryty majątek. Przyznam, że sporo tego było, teraz chciałbym odzyskać choć część. Cała moja rodzina zginęła w czasie ewakuacji, wszystko przepadło. Od zakończenia wojny minęło ponad ćwierć wieku i sporo się tu pozmieniało, lecz jak widzę nadal wszystko zgadza się z planem, który posiadam. Co więcej, sprawdziłem, że do skrytek nadal nikt nie dotarł i są nienaruszone. Najmniejszą kilka lat temu zleciłem opróżnić, co zakończyło się całkowitym powodzeniem. Teraz chcę odzyskać resztę…* Nieznajomy zawiesił na chwilę głos, wpatrując się głęboko w oczy swojego rozmówcy, po czym dodał: – *Pomoże mi Pan w tym?* Gdy usłyszał oczekiwane zapewnienie, gość dał do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca, lecz obiecał wkrótce ponownie się skontaktować. Niedługo później wszyscy miło się pożegnali, zostawiając wciąż zaskoczonego gospodarza w mieszkaniu. Po chwili do domu wróciła jego żona z koszem pełnym ziemniaków. Późny obiad jeszcze nigdy wcześniej tak mu nie smakował, jak tego wieczora, wprawiając w dobry nastrój.

W opisanej historii pojawia się motyw ukrytych w piwnicach archiwaliów mających, w świetle akt sprawy, pochodzić z „Wilczego Szańca". W trakcie dochodzenia, jednak nikt specjalnie nie wnikał w szczegóły tego wątku, ani nie weryfikował jego wiarygodności.

Obecnie można przytoczyć pewien trop mogący hipotetycznie mieć z nim związek. Istnieje bowiem ślad ukrytych przez zamachowców i nigdy później nieodnalezionych akt, zawierających *„najbardziej poufne dokumenty, zawierające rozkazy na dzień obalenia Hitlera"*. Wzmiankuje o tym w swej biografii „Między Hitlerem, a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931-1945", Hans von Herwarth, niemiecki oficer, dyplomata i jednocześnie bliski współpracownik Clausa von Staufenberga. Co prawda w świetle jego wiedzy materiały zostały zakopane w pobliżu kwatery w Mamerkach, jednak poszukiwania prowadzone tam przez Gestapo (i później pod koniec lat 90. m.in. przez „Odkrywcę"), nie doprowadziły do ich odkrycia. Niewykluczone więc, że na jakimś etapie, poza wiedzą von Herwartha, schowek został przez jego towarzyszy wykopany i przeniesiony w bezpieczniejsze miejsce. Niewykluczone, że do podziemi kętrzyńskich piwnic należących do tamtejszego restauratora Carla Hempla…

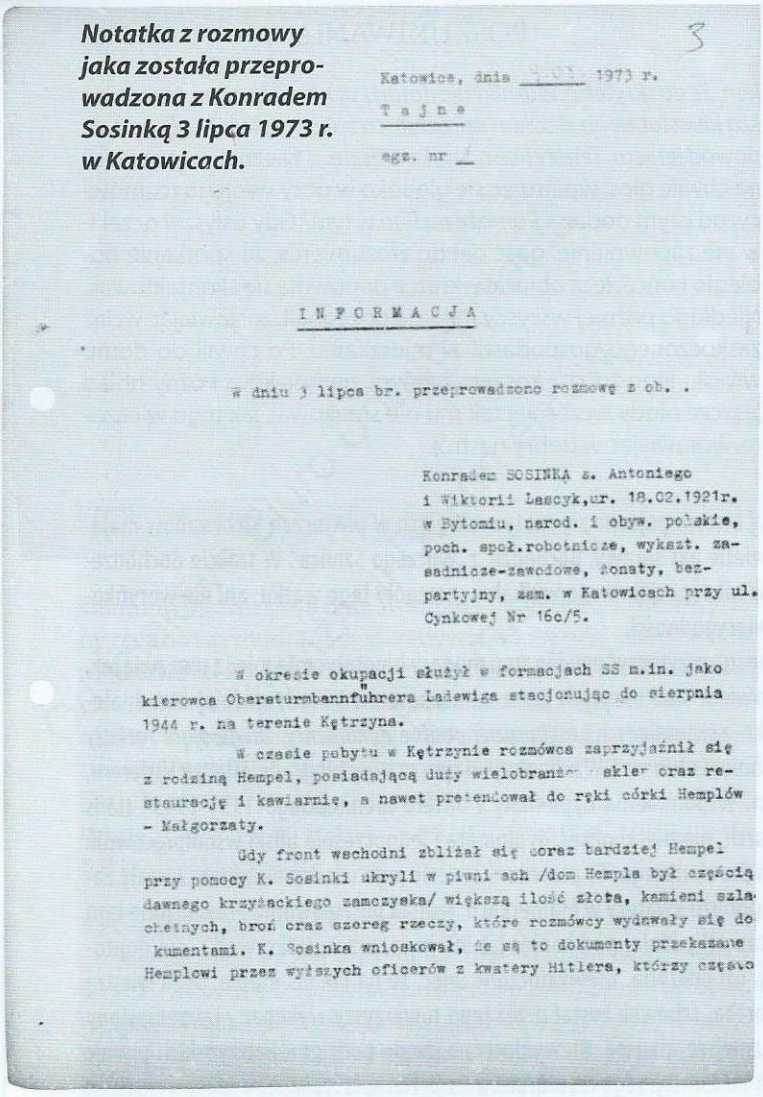

Katowice, dnia ____ 1973 r.

Tajne

egz. nr _

INFORMACJA

w dniu 3 lipca br. przeprowadzono rozmowę z ob. .

Konradem SOSINKA s. Antoniego i Wiktorii Lascyk, ur. 18.02.1921r. w Bytomiu, narod. i obyw. polskie, poch. spol.robotnicze, wykszt. zasadnicze-zawodowe, żonaty, bezpartyjny, zam. w Katowicach przy ul. Cynkowej Nr 16c/5.

W okresie okupacji służył w formacjach SS m.in. jako kierowca Obersturmbannführera Ladewiga stacjonując do sierpnia 1944 r. na terenie Kętrzyna.

W czasie pobytu w Kętrzynie rozmówca zaprzyjaźnił się z rodziną Hempel, posiadającą duży wielobranż[illegible] sklep oraz restaurację i kawiarnię, a nawet pretendował do ręki córki Hemplów - Małgorzaty.

Gdy front wschodni zbliżał się coraz bardziej Hempel przy pomocy K. Sosinki ukryli w piwni ach /dom Hempla był częścią dawnego krzyżackiego zamczyska/ większą ilość złota, kamieni szlachetnych, broń oraz szereg rzeczy, które rozmówcy wydawały się dokumentami. K. Sosinka wnioskował, że są to dokumenty przekazane Hemplowi przez wyższych oficerów z kwatery Hitlera, którzy często

Notatka z rozmowy jaka została przeprowadzona z Konradem Sosinką 3 lipca 1973 r. w Katowicach.

Podziemna gorączka złota

W normalnych okolicznościach o przebiegu tego typu spotkań i szczegółach rozmów, jakie się przy okazji odbywają, niewiele wiadomo. Aby je odtworzyć, trzeba byłoby użyć nie lada wyobraźni. Na szczęście dysponujemy aktami powyższej sprawy (o jednoznacznie brzmiącym kryptonimie „Skarb"), wśród których znalazł się również zapis meldunku złożonego 11 IV 1973 roku przez tajnego współpracownika kętrzyńskiej bezpieki o pseudonimie „Ira". Okazuje się bowiem, że mieszkaniec kamienicy, który spotkał syna jej niemieckiego właściciela był… informatorem Służby Bezpieczeństwa. Prowadzący go niejaki kapitan Skiba miał jednak pewne zastrzeżenia, co do wiarygodności autora doniesienia i przytoczonych przez niego faktów: *„Tw ps. »Ira« jęz. niemiecki zna biegle i miał możliwość podsłuchać i zrozumieć treść prowadzonej rozmowy w piwnicy. Pomimo to, należy się liczyć z tym, że rozmówca (T-w) jest znany z chwalenia się, ze stwarzania fantazji, dlatego też część informacji o rzekomych tunelach od budynku (…) do kościoła i zamku, gdzie rzekomo mają być ukryte skarby, ewentualnie dokumenty, może być wyobraźnią Tw. Pomimo to jest faktem, że budynek (…) w czasie okupacji był przeznaczony na restaurację czy kawiarnię i tylko ten budynek został, sąsiednie zostały zniszczone"*. Biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, bezpieka nie mogła zignorować podsuniętego jej tropu, zważywszy na potencjalną możliwość odkrycia kosztowności i tajnych dokumentów. Do jego zbadania został oddelegowany inspektor operacyjny z Wydziału d/s SB Komendy Powiatowej MO w Kętrzynie ppor. Waldemar Stankiewicz. Dochodzenie rozpoczęło się od wizji lokalnej, jaka została przeprowadzona z udziałem Tw. ps. „Ira", w kamienicy i znajdującej się pod nią piwnicy. W jej wyniku podjęta została decyzja o przeprowadzeniu czynności operacyjnych, zmierzających przede wszystkim do ustalenia tożsamości człowieka podającego się za syna właściciela kamienicy oraz towarzyszących mu osób. Równolegle jednak, nie czekając na rezultaty tych działań, oficer postanowił sprawdzić miejsca ewentualnych skrytek, których lokalizację informator dość precyzyjnie określił: *„Lustrowane piwnice są rozczłonkowane i mają kształt starych lochów. Między piwnicą nr 6, a głównym piwnicznym korytarzem znajduje się ściana grubości ponad 1,5 m, na tej ścianie od strony korytarza znajduje się niewielka i płytka nisza, przy której są świeże ślady zdrapywania tynku, wg słów »Ira« tynk ten został zeskrobany przez osobników, którzy byli tam w dniu 6 kwietnia 1973 r. i sprawdzali, czy to jest stary tynk"*. Mając tak oczywiste wskazanie, już 19 kwietnia 1973 roku SB przeprowadziła w piwnicy pierwszą eksplorację. Tak wspominał ją ppor. Stankiewicz w swoim raporcie: *„Po omówieniu z mjrem Borkowskim problemu, otrzymałem polecenie przebicia ściany piwnicznej i stwierdzenia czy znajduje się tam ukryty korytarz. W związku z tym zorganizowałem grupę w składzie 2 osoby z MZBM Kętrzyn i udałem się na miejsce. We wskazanym przez b. Tw »Ira« miejscu, zostało dokonane przebicie ściany na głębokości 75 cm (ściana ma grubość ok. 2 m), przebicia dokonywano z wnęki w ścianie głębokości 25 cm. W czasie tej czynności nie stwierdzono, by znajdowało się tam jakiekolwiek wejście do ukrytego korytarza. Nadmienić należy, że piwnica przedmiotowego budynku jest dwupoziomowa z tym, że poziom dolny jest zasypany gruzem, gruzem są zasypane również części piwnicznych korytarzy wychodzące na zewnątrz budynku. W czasie przebijania ściany na głębokości ok. 0,5 m znaleziono w niej kości i kawałek talerza fajansowego. Dalszych przebić nie dokonywano z obawy by nie spowodować uszkodzenia budynku"*. Pierwsza akcja zakończyła się więc niepowodzeniem, zresztą zapewne spodziewanym.

Śląski trop

Od tego momentu całość działań SB skupiła się na identyfikacji osób, które penetrowały kętrzyńską piwnicę na początku kwietnia 1973 roku. Po dwóch miesiącach poszukiwań udało się ustalić tożsamość mężczyzny, który w świetle relacji Tw. „Ira" podawał się za syna właściciela kamienicy w Kętrzynie. Niestety nie wiemy w jakich okolicznościach to nastąpiło. Wiadomo jedynie, że na jego trop wpadła katowicka Służba Bezpieczeństwa, która 3 lipca 1973 roku przesłuchała niejakiego Konrada Sosinka. Pochodzący z Bytomia 52-letni Ślązak nie miał żadnych powiązań rodzinnych z kimkolwiek w Kętrzynie. Jedyne co łączyło go z tym miastem to… służba w wojsku podczas wojny. Twierdził, że stacjonował tam jako szofer jednego z wyższych oficerów. *„W okresie okupacji służył w formacjach SS, m.in. jako kierowca Obersturmbannführera Ledewiga stacjonując do sierpnia 1944 r. na terenie Kętrzyna"* – pisał w notatce służbowej ze spotkania naczelnik Wydziału III ds. SB KWMO w Katowicach ppłk H. Sikora, któremu K. Sosinka sprzedał taką oto historię: *„W czasie pobytu w Kętrzynie rozmówca zaprzyjaźnił się z rodziną Hempel, posiadającą duży wielobranżowy sklep oraz restaurację i kawiarnię, a nawet pretendował do*

ręki córki Hemplów – Małgorzaty. Gdy front wschodni zbliżał się coraz bardziej, Hempel przy pomocy K. Sosinki ukryli w piwnicach /dom Hempla był częścią dawnego krzyżackiego zamczyska/ większą ilość złota, kamieni szlachetnych, broń oraz szereg rzeczy, które rozmówcy wydawały się dokumentami. K. Sosinka wnioskował, że są to dokumenty przekazane Hemplowi przez wyższych oficerów z kwatery Hitlera, którzy często go odwiedzali, a niektórym ich wizytom towarzyszyły samochody ciężarowe. K. Sosinka sugerował, iż w lochach tych Niemcy mogli ukryć część słynnej komnaty bursztynowej, lecz swych przypuszczeń nie potrafił uzasadnić. Cała rodzina Hemplów, za wyjątkiem córki Małgorzaty, która wydostała się do Niemiec i zmarła w 1971 r. – zginęła w czasie działań wojennych". Cóż, powoli wszystko stawało się jasne, tym bardziej, że Ślązak przyznał się również do kilku wyjazdów do Kętrzyna w towarzystwie zaprzyjaźnionego małżeństwa, z którym penetrował piwnice interesującej go kamienicy.

Kim był Konrad Sosinka?

Historia, którą przedstawił Konrad Sosinka, nam współczesnym wydaje się pełna luk i mielizn, niemniej SB nie starała się zbyt wnikliwie ich weryfikować. Zapewne dlatego, że jego opowieść mieściła się w kanonie tego typu spraw, w owym czasie niezwykle popularnych. W ówczesnej prasie pełno było sensacyjnych artykułów o poniemieckich skrytkach, tajnych obiektach czy poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty. Teksty te, oparte na utartych schematach, kształtowały pewien stereotypowy obraz drugowojennych tajemnic – wówczas, jak się wydawało, będących tuż od rozwiązania, ponieważ wciąż żyli bezpośredni świadkowie opisywanych zdarzeń. Dlatego też, jak już ukrywało niemieckie wojsko, to najczęściej SS; jak SS, to musiały to być skrzynie ze złotem czy tajnymi dokumentami. Treści tego typu rozpalały wyobraźnię czytelników i potencjalnych… świadków. Wszystkie zatem elementy opowieści Konrada Sosinki mieściły się w owym stereotypie, na co SB zupełnie nie zwracała uwagi, podobnie zresztą jak ówcześni dziennikarze. Trudno się dziwić, perspektywa odnalezienia skarbów do dziś jest nader kusząca.

Rozwiązanie

Z dat widniejących na dokumentach wynika, że katowicka SB na początku września 1973 roku przesłała wszelkie ustalenia na temat Konrada Sosinki do Olsztyna. Jednak tamtejsza bezpieka nie od razu ściągnęła go do Kętrzyna. Najwyraźniej, po objęciu Ślązaka obserwacją, czekano na jego kolejny ruch. Niecałe dwa miesiące później rzeczywiście zjawił się w mieście. Tak przynajmniej wydawało się Tw. „Ira", który zauważył pod swoim domem osobę przypominającą syna właściciela kamienicy, którego poznał wiosną. Gdy zwrócił się w jego stronę by się przywitać, ten udał, że go nie widzi i szybko się oddalił. Tymczasem oficer prowadzący informatora, odbierając jego doniesienie nabrał podejrzeń, że „Ira" prowadzi bliżej nieokreśloną grę, chcąc niezależnie wejść w kontakt z osobami posiadającymi wiedzę o ukrytym skarbie i na własną rękę go wydobyć. Tajny współpracownik zaczął bowiem wykazywać niezdrową fascynację sytuacją, w której uczestniczył, twierdząc nawet, że kamienicą interesuje się wywiad niemiecki. Ostatecznie jednak zarzuty pod jego adresem okazały się bezpodstawne.

Na początku 1974 roku sprawa weszła w decydującą fazę. Udało się zidentyfikować wszystkie potencjalnie związane z nią osoby, jednak ostatecznie uznano, że tylko Konrad Sosinka jest istotnym elementem śledztwa. W połowie kwietnia 1974 roku został wezwany do stawienia się w komendzie MO w Kętrzynie, gdzie po raz pierwszy został szczegółowo przesłuchany przez prowadzących śledztwo. Po ustaleniu wszelkich interesujących szczegółów i ściągnięciu ekipy budowlanej, udano się z nim do piwnic z zamiarem ostatecznego rozwiązania sprawy. Oto jak owe przedsięwzięcie zostało opisane w notatce służbowej prowadzącego sprawę ppor. Stankiewicza: *„K. Sosinka naszkicował plan określając miejsce zamurowania wejścia. Po udaniu się do piwnic przedmiotowego domu, wskazał miejsce określając, że za murem będzie znajdowała się nisza. Rozbicie ścianki niszy zaprowadzi do piwnic II-ej kondygnacji. Istotnie po przebiciu ściany grubości ok. 80 cm znajdowała się nisza. Po przebiciu drugiej ścianki okazało się, że wejście prawdopodobnie jest zawalone gruzem i piachem. Wg wskazówek K.S. próbowano przebijać strop piwnicy. Te czynności również nie dały rezultatu. Przez około 1,7 m w głąb ciągnął się piasek pochodzenia lodowcowego. Fakt, że piwnice są dwukondygnacyjne potwierdził się, gdyż odkryto w piwnicy oznaczonej nr 1 właz i osiem schodków prowadzących w głąb. Jednak odkryte pomieszczenie zawalone było gruzem z okresu odbudowy i adaptacji budynku. Napotkano również na trudności wynikające z zagruzowania znacznej części piwnic właśnie z okresu odbudowy. Wobec powyższego, odstąpiono od dalszych poszukiwań i penetracji do czasu wyjaśnienia niektórych sprzeczności, jakie zarysowały się pomiędzy relacją K. Sosinki, a stanem faktycznym piwnic. Realizacja ewentualnych przedsięwzięć odbędzie się po 15.05 1974 r."*. Jednak się nie odbyła. Być może dlatego, że po weryfikacji świadek przestał być wiarygodny? A może dlatego, że wokół mało dyskretnych robót zrobił się niepotrzebny szum. K. Sosinka jednak nie odpuszczał. Jeszcze pod koniec maja wysłał do prowadzącego sprawę ppor. Stankiewicza list, w którym próbował przekonywać, że pomylił się zaledwie o kilka metrów, że wiercili nie z tego miejsca co powinni itp. Wydawałoby się więc, że sprawa umarła śmiercią naturalną. Minęło jednak kilka miesięcy…

W lutym 1975 roku, po ponownym przeanalizowaniu materiałów sprawy, kętrzyńskie SB planowało już na własną rękę – bez udziału K. Sosinki, jedynie po uwzględnieniu poprawek które opisał w liście, przeprowadzić kolejne odwierty przy pomocy bardziej wydajnych wierteł. Przygotowano nawet szczegółowy plan działań i szkic techniczny podziemi. Nie wydaje się jednak by je kiedykolwiek zrealizowano. Cóż, jedno co udało się SB w tej historii wyjaśnić, to istnienie dwupoziomowych piwnic pod kętrzyńską kamienicą, niestety całkowicie zagruzowanych już po wojnie. Nawet jeżeli znajdowała się tam jakakolwiek skrytka, techniczne możliwości oczyszczenia podziemi i nakład środków finansowych niezbędnych przy tego typu pracach, nawet dziś okazałyby się niewspółmiernie wysokie, w stosunku do potencjalnych korzyści. Czy 30 lat po wojnie zbilansowałby je odnaleziony majątek bogatego restauratora? A może bardziej wartościowe okazałyby się dokumenty z „Wilczego Szańca"? Wszystko zależy od punktu widzenia. Niech każdy więc na te pytania odpowie sobie sam.

Zagadka grobów marynarzy z ORP „Dragon”

TEKST: KRZYSZTOF KUBIAK
ZDJĘCIA: ZBIORY AUTORA

Wrak „Dragona” w 1947 roku, gdy usunięto już znaczną część elementów sztucznego portu „Mulberry B.”.

ORP „Dragon”, czyli brytyjski krążownik typy D (lub Danae) przekazany został Polskiej Marynarce Wojennej 15 stycznia 1943 roku. Już wówczas był to okręt mający za sobą ponad dwie dekady intensywnej służby. Po zakończeniu Wielkiej Wojny operował na Bałtyku, w składzie zespołu brytyjskiego, który walnie przyczynił się do utrzymania niepodległości przez Estonię i Łotwę. W 1923 roku uczestniczył w wielkim rejsie krążowników liniowych „Hood” i „Repulse” dookoła świata, wchodził w skład Floty Śródziemnomorskiej, a bezpośrednio przed wybuchem II wojny światowej w skład Home Fleet, stacjonując w Rosyth. Po wybuchu wojny operował najpierw na Atlantyku, a następnie na wodach Oceanu Indyjskiego. Strona polska przejęła krążownik, gdy znajdował się on w remoncie prowadzonym przez stocznię Cammell Laird w Birkenhead pod Liverpoolem. Okręt był poważnie wyeksploatowany (świadczyć może o tym fakt, iż remont zakończono dopiero pod koniec sierpnia 1943 roku), ale przede wszystkim koncepcyjnie przestarzały (cały projekt budowy lekkich krążowników, jako swoistych „niszczycieli kontrtorpedowców” okazał się finalnie chybiony). Nazwy jednostki, ze względów kurtuazyjnych i politycznych, postanowiono nie zmieniać. Krążownik pozostał więc „Dragonem”, a oficjalnie wszedł do służby 24 sierpnia 1943 roku. Następne miesiące okręt spędził w Scapa Flow, na intensywnym szkoleniu przerwanym pobytem w stoczni w Newcastle upon Tyne, gdzie usunięto uszkodzenie systemu kierowania ogniem artylerii. Wiosną 1944 roku „Dragon” przydzielony został do sił, które udzielać miały wsparcia wojskom lądowym podczas planowanej inwazji na kontynencie. Włączono go w skład zespołu złożonego z okrętów liniowych „Warspite” i „Ramilles”, monitora „Roberts” oraz krążowników „Mauritius”, „Frobisher”, „Artheusa” i „Danae”. Od 05:00 w dniu 6 czerwca 1944 roku okręt operował na wysokości odcinka lądowania „Sword”. Zwalczał baterie nadbrzeżne w Calleville sur Orne (armaty 105 mm) i Trouville (armaty kalibru 155 mm), a także stanowiska artylerii polowej i zgrupowania wojsk niemieckich (w tym dwukrotnie grupy czołgów). „Dragon” działał u wybrzeży Normandii do 18 czerwca, kiedy to skierowano go do Portsmouth w celu uzupełnienia zapasów i przeprowadzenia napraw. Ku francuskim wybrzeżom pożeglował ponownie 7 lipca. 8 lipca okręt zwalczać miał niemieckie stanowiska uniemożliwiające Aliantom przedarcie się do Caen. Około godziny 04:30 wykryty jednak został przez sternika torpedy załogowej Neger, który zdołał skrycie zbliżyć się do „Dragona” i z odległości około 400 m odpalić torpedę. Była ona celna. Polski okręt trafiony został o 04:40 w śródokręcie na lewej burcie. Zalana została siłownia, a jednostka zaczęła się szybko przechylać. W wyniku sprawnej akcji ratowniczej pływalność okrętu nie została zagrożona, ale uszkodzenia były bardzo rozległe. Uwzględniając to, oraz fakt, że „Dragon” nie był okrętem perspektywicznym, podjęto decyzję o rezygnacji z remontu i zatopieniu go jako elementu falochronu sztucznego portu „Mulberry B” w pobliżu Arromanches i Courseulles-sur-Mer. Decyzję tę wykonano 20 lipca 1944 roku.

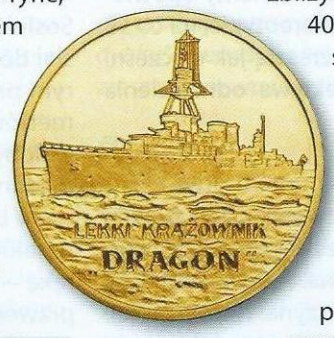

18 października Mennica Polska wypuściła do obiegu monetę o nominale 2 PLN upamiętniającą „Dragona”. Do obiegu trafiło 800 tys. takich krążków.

Na pokładzie „Dragona” zginęło 37 oficerów, podoficerów i marynarzy. 23 ciała zostały przekazane na pokład amerykańskiego ścigacza, który dokonał ich pochówku na pełnym morzu. W toku akcji ratowniczej dwa ciała zostały później wydobyte z maszynowni. Zwłoki trzech ludzi, wyrzuconych podmuchem eksplozji do wody, zostały podjęte z wody przez krążownik „Emarald”. Według dostępnej literatury również te ciała pochowano w morzu, na wysokości odcinka lądowania „Juno”. Zwłok dziewięciu członków załogi nie udało się wydobyć z kadłuba, nadal znajdują się w szczątkach zalegającego u normandzkiego wybrzeża wraku. Symboliczny pogrzeb

ORP „Dragon” – budowa: Scotts Shipbuilding and Engineering Company, Greenock, położenie stępki – 24 I 1917 r., wodowanie – 29 XII 1917 r. Wejście do służby miało miejsce 15 VIII 1918 r. Wyporność 4.850 ton, długość 143,65 m, szerokość 14,1 m; zanurzenie 5,03 m; dwa zespoły turbin parowych Parsona, zasilane z sześciu kotłów Yarrow, o mocy 40 000 KM pracujące na dwie śruby. Prędkość maksymalna forsowna 29 węzłów, prędkość maksymalna normalna 27 węzłów, zasięg 6 700 mil morskich przy prędkości 10 węzłów, 2 300 mil morskich przy prędkości 25 węzłów. Uzbrojenie: 5×I 152,4 mm armata Mk XII, 1×II 102 mm armaty, 2×IV 40 mm armaty, 5×II i 4×I 20 mm armaty, miotacz bomb głębinowych, opancerzenie: pas burtowy 38-76 mm, pokład górny 25 mm (nad maszynownią), pokład główny 25 mm (nad maszynką sterową), tarcze armat artylerii głównej 25 mm, załoga 462.

tych marynarzy miał miejsce 15 lipca 1944 roku. Zatem na lądowych cmentarzach nie powinno być grobów marynarzy z „Dragona". Jednakże, przemierzając w sierpniu bieżącego roku Normandię i Bretanię odwiedziłem trzy cmentarze wojenne Wspólnoty Brytyjskiej: w Bayeux, Douvres la Delivrande oraz w Bazenville. Na wszystkich trzech znajdują się polskie mogiły. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, iż w pięciu z nich spoczywać mają marynarze właśnie z krążownika ORP „Dragon". W Bayeux znaleźć możemy mogiły z następującymi opisami:

» *MAT KOBYLECKI, 26 th AUGUST 1944, POLISH FORCES.*
» *MAT R. LEWANDOWSKI, 8 th AUGUST 1944, O.R.P. DRAGON, Age 21, POLISH FORCES.*
» *MAT W. GARBOWSKI, 8 th AUGUST 1944, POLISH FORCE.*

W Bazenville znajduje się mogiła z napisem: *„MAT S. DOMINIAK, 8 th AUGUST 1944, Age 21, POLISH FORCE"*, a na cmentarzu w Douvres la Delivrande nagrobek z napisem: *„MAT L. GRZESTAK, 8 th AUGUST 1944, POLISH FORCE"*.

Na liście poległych z ORP „Dragon" znajdują się: porucznik marynarki Karol Marks, starszy bosman Wincenty Pajewski, bosman Jan Kołakowski, bosmanmat Wacław Owczarczyk, mat Jan Jankowski, mat Leonard Walkowiak (zwłok nie odnaleziono), starszy marynarz Florian Bartkowiak (zwłok nie odnaleziono), starszy marynarz Piotr Choroszej (zwłok nie odnaleziono), starszy marynarz Leon Cichocki (zwłok nie odnaleziono), starszy marynarz Stanisław Drozd (zwłok nie odnaleziono), starszy marynarz Stefan Dutkiewicz, starszy marynarz Franciszek Dyszczakowski (zwłok nie odnaleziono), starszy marynarz Jan Gortat, starszy marynarz Lucjan Grzesiak, starszy marynarz Tadeusz Kiciński, starszy marynarz Stanisław Małecki, starszy marynarz Mieczysław Szedlarski, starszy marynarz Jan Śliwiński, starszy marynarz Walenty Treder, marynarz Engelbert Baraniok (vel Bąkowski, zwłok nie odnaleziono), marynarz Reinhold Brzezina (vel Dubienko), marynarz Józef Czyrnik, marynarz Sławomir Dominik, marynarz Wincenty Garbowski, marynarz Jan Gietka, marynarz Walenty Gorzelańczyk, marynarz Henryk Haponik, marynarz Edward Hardonin, marynarz Czesław Kalicki, marynarz Fryderyk Klusek, marynarz Maksymilian Knoof (vel Chełmiński), marynarz Bronisław Kobyłecki, marynarz Ryszard Lewandowski, marynarz Stanisław Raciborski, marynarz Jan Rzeszódko, marynarz Józef Sołek, marynarz Józef Szłomiak.

Skąd wzięły się na mogiłach stopnie „mat" łatwo wytłumaczyć – zapewne tak Brytyjczycy odszyfrowali skrót „mar." na polskich znakach tożsamości. Inne kwestie związane z pochówkami na alianckich cmentarzach marynarzy, których zwłoki spocząć miały w morzu w rejonie odcinka inwazyjnego „Juno", muszą poczekać na wyjaśnienie (szczególnie intrygująca jest zwłaszcza uwidoczniona na nagrobku data śmierci marynarza Kobyleckiego – 26 lipca). Teorii można przedstawić kilka. Najprostsza zakłada, że z wody przez Brytyjczyków zostało podjętych dwóch zabitych (zwłoki przekazano odpowiednim służbom na lądzie) i jeden ciężko ranny (marynarz Kobylecki), który również został wyokrętowany i zmarł w lądowym szpitalu. Na ląd przekazano również dwa ciała wydobyte z maszynowni. Wszyscy ci ludzie pogrzebani zostali zgodnie z procedurami obowiązującymi w siłach zbrojnych Wspólnoty Brytyjskiej, a po zakończeniu wojny, ekshumowani i złożeni na specjalnie urządzonych cmentarzach wojennych. Tyle spekulacji. Wydaje się, że w tej sprawie nie byłoby chyba właściwym popuszczać dalej wodze fantazji. Zatem i ta sprawa czekać musi na swego badacza – odkrywcę.

Lekki krążownik „Dragon" jeszcze pod brytyjską banderą.

Nasuwa się jedna jeszcze uwaga. Ze względu na fakt, iż z wraku nie wydobyto zwłok dziewięciu marynarzy, miejsce zalegania jego szczątków winno być chyba ogłoszone oficjalnie „polskim cmentarzem wojennym".

Jeżeli Czytelnicy dysponują jakąkolwiek wiedzą dotyczącą opisywanej sprawy, Autor będzie wdzięczny za kontakt za pośrednictwem Redakcji, lub bezpośrednio na adres: Krzysztof.Kubiak1967@gmail.com

Literatura i źródła:

1. E. R. Gardiner (red.) „Conway's All the World's Fighting Ships, 1922-1946", Naval Institute Press, Annapolis 1980
2. H. T. Lenton „British and Empire Warships of the Second World War", Greenhill Books, Barnsley 1988
3. J. Pertek „Krążowniki »Dragon« i »Conrad«", Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1969
4. J. Pertek „Wielkie dni małej floty", Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1987
5. ORP Dragon (HMS Dragon) [+1944], http://www.wrecksite.eu/wreck.aspx?1974, dostęp: 2 stycznia 2013.

Krzysztof Kubiak

Komandor, porucznik rezerwy, doktor habilitowany, profesor Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu. Pasjonują go wojny i konflikty zbrojne po II wojnie światowej, ale niekiedy – zwłaszcza w odniesieniu do zmagań morskich – ryzykuje również penetrowanie innych obszarów.

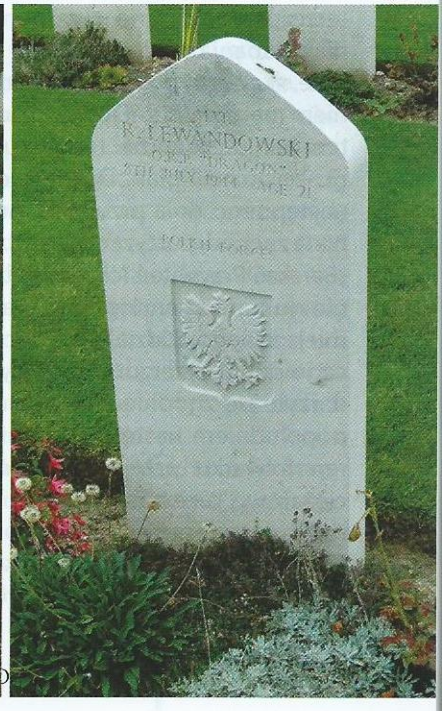

Harmonogram zbrodni. Operacja „Lawina" (cz. 2)

TEKST: ŁUKASZ ORLICKI
ZDJĘCIE: ARCHIWUM REDAKCJI

***„Rozległ się straszny huk. Po wybuchu większość ludzi jednak żyła i zaczęli oni uciekać. Byli oszołomieni zarówno wybuchem, jak i wypitym wcześniej zatrutym alkoholem. Cały teren był otoczony i wszyscy zostali wyłapani. (...) kazano się im rozebrać do naga. Następnie pojedynczo sprowadzano nagich nad wykopany dół i tam mordowano, każdego strzałem w tył głowy..."* – fragment zeznań funkcjonariusza UB J. Zielińskiego złożonych 11 grudnia 1990 roku.**

Na przełomie sierpnia i września 1946 roku, wczesnym rankiem, do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach wezwano około 70 odpowiednio dobranych funkcjonariuszy UB z terenu całego województwa. Na odprawie poinformowano ich, że wkrótce rozpocznie się specjalna akcja o zaostrzonym stopniu tajności. Nikt nie miał prawa na ten temat rozmawiać, ani z nikim się kontaktować. Wszyscy uczestnicy zebrania otrzymali zakaz oddalania się od miejsc zakwaterowania do czasu zakończenia akcji, która mogła potrwać kilka dni. Po zamknięciu odprawy, funkcjonariusze uzbrojeni w broń krótką i pistolety maszynowe zostali załadowani na dwie ciężarówki i wywiezieni w kierunku zachodnim. Oprócz dowodzących akcją, nikt nie znał ani miejsca, ani celu podróży. Na miejsce dotarli późnym popołudniem. Był to opuszczony poniemiecki majątek – folwark z dużym okazałym domem, stajnią i ogrodem. W głównym budynku, którego świetność przyćmiły ślady wojennych zniszczeń, na parterze przygotowano dwa pomieszczenia do spania wyłożone słomą oraz dwa inne, skąpo wyposażone, z przeznaczeniem na jadalnie. Dopiero po zakwaterowaniu się niżsi rangą funkcjonariusze poznali plan. Dowiedzieli się, że następnego dnia przybędą, przerzucani na zachód, partyzanci z oddziału NSZ „Bartka". Przywitać ich tu mieli specjalnie dobrani agenci – odgrywający rolę miejscowego oddziału NSZ, ochraniającego punkt przerzutowy. Wszystko wydarzyło się zgodnie z planem. Późnym popołudniem następnego dnia, na teren folwarku przyjechały samochody ciężarowe przewożące grupę uzbrojonych partyzantów. Wymieniono hasła i odprężeni NSZ-towcy rozlokowali się w przydzielonych im pomieszczeniach. Wieczorem zjedli kolację zakrapianą alkoholem ze środkiem odurzającym (kilka godzin wcześniej zaufany lekarz z UB wstrzyknął go do zalakowanych butelek z wódką). Wkrótce wszyscy partyzanci zasnęli, oprócz wystawionego przed wejściem wartownika. W ciemnościach, przed świtem, zabudowania zostały otoczone przez funkcjonariuszy UB. Każdy z nich miał na ręku białą opaskę w celu łatwiejszej identyfikacji. Pierwszy zginął wartownik. Zabity ciosem noża przez jednego z napastników. Do okien dobiegła grupa szturmowa, wrzucając do środka budynku specjalne granaty o zwiększonym ładunku, ale bez stalowych odłamków. Miały raczej oszołomić niż zabić. Budynek wypełnił huk i dym, rozległy się pojedyncze strzały. Zapanował chaos. Z domu, zataczając się, zaczęli wychodzić oszołomieni partyzanci, którzy nie zginęli lub nie stracili przytomności. Po kolei każdy z nich był obezwładniany, przewracany na ziemię i przeszukiwany przez obstawę. Następnie wleczono ich na bok, gdzie bardziej przytomni musieli się rozebrać, z innych ściągano po prostu ubranie. Gdy ugaszono jakiekolwiek próby oporu i zamieszanie ucichło, nad przygotowanym wcześniej dołem rozpoczęły się egzekucje. Towarzyszył im dym z ogniska, gdzie płonęły mundury, dokumenty i przedmioty osobiste ofiar.

Zeznania i relacje

Taki obraz finału operacji „Lawina" wyłania się z opowieści jednego z funkcjonariuszy UB. Jedynego bezpośredniego świadka – wykonawcy, który zgodził się mówić. Jan Fryderyk Zieliński zgłosił się pod koniec 1990 roku do prokuratury, po ukazaniu się w prasie informacji dotyczących prowadzonego od prawie roku postępowania w sprawie: *„Gwałtownej śmierci nieustalonych osób z formacji wojskowych i osób cywilnych prawdopodobnie zamordowanych we wrześniu 1946 roku w okolicy zamku Hubertus w gminie Wielowieś"*. Dlaczego Zieliński złamał zasadę milczenia obowiązującą członków komunistycznego aparatu bezpieczeństwa? Czy, jak sam twierdził, rzeczywiście ciążyło mu sumienie? A może chciał się zabezpieczyć na wypadek gdyby śledczym udało się dotrzeć do materiałów dotyczących operacji, w której brał bezpośredni udział? Na te pytania już chyba nigdy nie odpowiemy. Jednak z pewnością jego relacje stanowią podstawowe źródło dotyczące organizacyjnej strony operacji, mającej na celu zlikwidowanie żołnierzy NSZ „Bartka". Obok dokładnego opisu mordu świadek wspominał, iż drugiego dnia po egzekucjach widział na pobliskim lotnisku kolejne miejsce – zaminowany barak, gdzie według planu mieli zostać wysadzeni w powietrze partyzanci z oczekiwanego lada moment drugiego transportu. Zieliński, schorowany starzec przebywający podczas przesłuchań w domu opieki społecznej, twierdził, iż w trakcie operacji dręczyły go wyrzuty sumienia. Poprosił więc swego bezpośredniego przełożonego o zwolnienie z pełnienia czynności służbowych z powodu choroby. Bez większych problemów otrzymał zgodę, dzięki czemu na dzień przed przyjazdem drugiej grupy NSZ-towców wyjechał. Później, w rozmowie z innym uczestnikiem akcji, miał jedynie usłyszeć, że wszystko poszło zgodnie z planem i zaminowany barak został wysadzony. Zieliński w miejscu egzekucji przebywał trzy dni, nigdy więcej tam nie wrócił. Choć zapamiętał całkiem sporo szczegółów, a nawet podał miejscowość – Łambinowice – okazało się wkrótce, że bardzo się pomylił. Potwierdziła to pierwsza wizja lokalna. Miejsce, gdzie zastrzelono partyzantów i zakopano ciała oraz przewidziano do wysadzenia barak na lotnisku znajdowało się zupełnie gdzie indziej. Gdzie? Tego do dzisiaj nie udało się potwierdzić. Do tego wątku jeszcze wrócimy.

Barania Góra. Pierwsza połowa września 1946 roku

„Było południe. Przy drodze ukryci w krzakach czekaliśmy gdzieś do 4 popołudniu. W tym miejscu na drodze rozłożone były 3 gazety. To był taki sygnał. Samochód miał właśnie przyjechać, gdy ja wstałem i mówię do Żbika »Komendancie – ja już raz tak wpadłem za okupacji w 1944 roku i to może być pułapka i ja nie chce jechać«. Żbik mi opowiedział: »to twoja rzecz, masz wolną rękę«. Ja wtedy powiedziałem »kto idzie za mną?«. Bałem się, że oni będą do mnie strzelać, bardzo się bałem i trzymałem za kolbę pistoletu. Wtedy tylko jeden odważył się iść ze mną – miał pseudonim »Brzoza« (...). Nie czekaliśmy na przyjazd samochodu i odeszliśmy" – relacja Władysława Jodłowca. ps „Czarny".

Gdy zbliżała się chwila wyjazdu pierwszego transportu okazało się, że wśród członków zgrupowania NSZ nie ma pełnej zgody co do decyzji o przeniesieniu się na Zachód. Większość miejscowych górali od samego początku nie chciała opuścić rodzinnych stron, inni, podobnie jak „Czarny", mieli złe przeczucia lub coś podejrzewali. Najbardziej nieufnym pozostawał jeden z dowódców oddziałów – Antoni Biegun ps. „Sztubak". Cała sprawa budziła jego podejrzenia do tego stopnia, że dwukrotnie odmówił podporządkowania się wyraźnym rozkazom dowódcy zgrupowania. Sytuacja stawała się bardzo napięta. Ponadto „Sztubak" zmienił ustalony wcześniej porządek jednego z transportów, wyciągając z niego swoją ówczesną dziewczynę i namawiając kilku partyzantów do pozostania. Ostatecznie po potwierdzeniu przez swoich informatorów podejrzeń, że cała sprawa jest ubecką prowokacją, rozkazał schwytać obsadę ciężarówek. Kierowcy – funkcjonariusze UB, widząc na miejscu spotkania ludzi „Sztubaka" z bronią długą, podczas gdy warunki transportu mówiły tylko o broni osobistej, zorientowali się, że coś jest nie w porządku i odjechali bez swojego ładunku. Pomimo tego „Bartek" nadal wierzył, że decyzja o wyjazdach jest zgodna z autentycznym rozkazem „centrali". Tę wiarę zniszczyło dopiero przybycie na Baranią Górę jednego z partyzantów, Andrzeja Bujaka ps. „Jędrek". Jego opowieść była wstrząsająca. Opisując znany nam już schemat transportu wspominał tylko, iż podczas noclegu urządzonego w opuszczonych zabudowaniach jakiegoś pałacyku bądź majątku ziemskiego nie pił zatrutego alkoholu. To go uratowało. W momencie gdy do środka wpadły granaty i rozpoczęła się akcja, udało mu się uciec na strych, gdzie schował się w trocinach. W kryjówce siedział kilka długich dni tracąc rachubę czasu. Nie wiedział jaką dokładnie drogą wracał, ani z jakiego miejsca wyruszył. Do rodzinnej wsi dotarł po kilku następnych dniach, tam po pewnym czasie odnaleźli go ludzie „Bartka" i sprowadzili do obozowiska na Baranią Górę, przez wiele dni był wypytywany, jednak wydaje się, że do końca mu nie ufano.

Gdy w latach 90. prowadzący śledztwo prokuratorzy przesłuchiwali byłych partyzantów, którzy nie wyjechali transportami, usłyszeli różne wersje „relacji Bujaka". Komuś miał opowiedzieć, że ukrył się w kominie, innemu, że na strychu. Raz relacjonował, iż był to poniemiecki pałacyk, innym razem, że ruiny zameczku. Pojawiały się też wersje mówiące o majątku, a nawet poniemieckiej szkole. W jednej z relacji był sam, w innej z drugim partyzantem, Władysławem Nowotarskim, który został zastrzelony ponieważ nie wytrzymał nerwowo i wyszedł z ukrycia za wcześnie. W opowieściach tych zmieniały się szczegóły zapamiętanej przez „Jędrka" topografii, jednak konsekwentnie odtwarzał w pamięci pewne fragmenty – częściowo zniszczony pałacyk, pomieszczenia na parterze wyścielone słomą, jadalnie wyposażone w proste stoły i krzesła, gdzie spożywano posiłek, nocny atak, głośne eksplozje granatów i strzały. Niestety, nigdy nie złożył żadnej, pisemnej relacji. Kilka lat po opisywanych wydarzeniach uciekł na Zachód. Zmarł prawdopodobnie na początku lat. 90. w Kanadzie. Analizując kluczowe punkty jego wtórnie przekazywanej relacji, nie sposób nie zauważyć, że są w kilku miejscach zbieżne z relacjami Zielińskiego – pałacyk, który mógł być po prostu okazałym budynkiem poniemieckiego majątku, pomieszczenia wyłożone słomą, nocny atak zapoczątkowany wrzuceniem „głośnych" granatów. Czy zatem mówili o tych samych wydarzeniach z dwóch perspektyw?

Tajemnica transportów

Do 2010 roku wszystkie prowadzące sprawę prokuratury wytworzyły ponad 20 opasłych tomów akt. Zebrano w nich olbrzymie ilości danych: oryginalne dokumenty z lat. 40. i 50. oraz tworzone podczas postępowań po 1990 roku raporty z prac poszukiwawczych, fragmenty książek, relacje, opinie biegłych, protokoły zeznań świadków – byłych partyzantów, mieszkańców wsi sąsiadujących z potencjalnymi miejscami zbrodni, pracowników UB i wielu innych. Ostatecznie przyjęto, że Zieliński był naocznym świadkiem likwidacji jednego z transportów w poniemieckim majątku, oraz widział przygotowania – zaminowany barak – do likwidacji drugiej grupy. Andrzej Bujak miał uciec z kolejnego miejsca – zniszczonego pałacyku, bądź zameczku, a na polanie Hubertus w pobliżu wsi Barut wysadzono budynek z czwartym transportem – tam zebrano największą ilość relacji mieszkańców okolicznych wsi potwierdzających ten fakt. Ponadto nie wykluczano, że wyruszyły jeszcze inne transporty. Prowadzący przez wiele lat śledztwo prokurator z katowickiej OKŚZpNP Piotr Nalepa twierdził, iż mogły one wyjechać nawet sześć razy. Liczbę zabitych partyzantów określano na co najmniej 158 osób. Wydaje się, że te liczby są czymś więcej niż ponurą statystyką zbrodni. Bowiem prawdopodobnie za nimi kryje się pierwsza część zagadki, która pozwoli nam być może uzyskać pełny obraz operacji „Lawina".

W przeważającej części relacje byłych partyzantów NSZ mówią o trzech transportach, które wyruszyły na ziemie zachodnie. Wg zeznań jednej z kobiet, związanej ze „Sztubakiem", w trzech turach miało wyjechać 167 ludzi. Przy czym dwa pierwsze transporty miały wyruszyć jeszcze w sierpniu 1946 roku. Z kolei wg Władysława Jodłowca ps. „Czarny", trzy grupy, które opuściły obóz miały liczyć ok. 100 członków oddziału. Podobną liczbę transportów i ludzi podawała w swoich relacjach blisko związana z „Bartkiem" Anna Szweda, jak również Aurelia Włoch (córka Stanisława Włocha ps. „Lis", która przez wiele lat zbierała wszystkie relacje i dokumenty związane z tą sprawą). Jednak część byłych partyzantów podaje jesz-

cze inne liczby, np. Tadeusz Przewoźnik ps. „Kuba" (brat jednego z oficerów „Bartka" – Jana Przewoźnika ps. „Ryś") mówił o pięciu transportach, po 50 osób każdy. Przy czym przyznawał, że był osobiście przy odjeździe trzech. Rozbieżności te są spowodowane znacznym upływem czasu – relacjonowano je ponad 40 lat od wydarzeń, jak również faktem, iż nikt oprócz najbliższych i zaufanych oficerów „Bartka" nie znał ustaleń dotyczących szczegółów przerzutu. Żaden z nich nie przeżył operacji „Lawina". „Ryś" i „Żbik" wyjechali wraz z transportami. Główni zastępcy komendanta „Wichura" i „Sęp" zapadli się pod ziemię w Gliwicach – w rzeczywistości zostali aresztowani i skazani na karę śmierci – wyroki szybko wykonano. Ostatni z zaufanych, „Jasiek" zginął w niewyjaśnionych do końca okolicznościach we wrześniu 1946 roku. Gdzie zatem szukać odpowiedzi na pytanie o ilość transportów? Być może jedyne źródło, które należy brać pod uwagę to raporty agenta UB przygotowującego całą operację. Choć urywają się one krótko przed wyjazdem pierwszego transportu, wydaje się, że mogą pomóc zrekonstruować przypuszczalną kolejność wydarzeń.

Plan „Lawiny"

Ppor. UB Henryk Wendrowski, który pod pseudonimem „Lawina" zjawił się 8 sierpnia w obozie „Bartka", był jednym ze skuteczniejszych oficerów operacyjnych działających na Śląsku, a może nawet i w całym kraju. Ten zdolny, działający z zimną krwią i inteligentny oficer urodził się w 1916 roku w polskiej rodzinie w Saratowie nad Wołgą. W czasie II wojny światowej związał się z Armią Krajową. Aresztowany przez NKWD szybko zmienił front, i po 1945 roku bez skrupułów rozpoczął działalność wymierzoną w swoich byłych towarzyszy broni. Wkrótce został szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Olecku, był to jedynie przystanek na drodze dobrze zapowiadającej się kariery oficera operacyjnego. Ppor. Wendrowski został skierowany na obszar Śląska, gdzie wspólnie z drugim wysoko postawionym agentem UB miał uczestniczyć w jednej z najbardziej skutecznych prowokacji. Prawdziwego nazwiska drugiego agenta do dzisiaj nie udało się ustalić, występował on w raportach pod pseudonimem „R.R" lub „Stary", a używał fałszywych nazwisk: Romański i inż. Borowski. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego sprokurowało dla niego zgrabną legendę. Jako major Górny ps. „Łamigłowa" szczęśliwie ocalały z aresztowań jednej z central NSZ, miał tworzyć zalążki nowych struktur VII Okręgu NSZ pod nazwą Śląskich Sił Zbrojnych. Ta koncepcja zadziałała bez zarzutu. Rozproszone, nastawione antykomunistycznie grupy, a czasem pojedynczy działacze chętnie nawiązywali współpracę. Kierownictwo Śląskich Sił Zbrojnych, w skład którego wszedł H. Wendrowski oferowało pomoc materialną oraz możliwość przerzutu za granicę, podczas którego specjalne grupy operacyjne UB dokonywały tajnego aresztowania. Dzięki temu pozostałe w kraju rodziny były przekonane, że przerzut i ucieczka się udała. Gdy „Lawina" jako przedstawiciel centralnej organizacji nawiązywał pierwszy kontakt z „Bartkiem", był w trakcie organizowania przynajmniej trzech tego typu operacji, niezależnych od siebie. Poprzez pośredników proponował przerzut oddziałowi „Wołyniaka", który musiał wycofywać się z Rzeszowszczyzny, niezidentyfikowanemu oddziałowi WIN „Mewy" oraz niewielkiej grupie Akcji Specjalnej NSZ z terenu Jarosławia, dowodzonej przez „Groma", oskarżanej w raportach Wendrowskiego o „mordowanie kobiet" i „palenie wsi". Spośród tych operacji do skutku doszła z pewnością jedna – przerzut „Groma", zorganizowany według znanego już schematu. 5 sierpnia 1946 roku część grupy „Groma" – 8 osób – została przewieziona do jednego z poniemieckich majątków. W nocy wszystkich obezwładniono. W trakcie szarpaniny jednego z „Gromowców" zastrzelono, drugi zginął podczas transportu do Katowic. W kontekście dotychczasowych operacji, które organizował doświadczony w tym względzie „Lawina", przerzut grupy „Bartka" nie wydawał się czymś wyjątkowym, może jedynie ze względu na wielkość oddziału.

Prawdopodobnie w połowie sierpnia 1946 roku, „Lawina" przygotował dokładne założenia operacji ujęte później w dołączonym do akt „planie Akcji likwidacji »B«": *„1. IX. 46 r. jadą 2 samochody ciężarowe. Jeden z nich z Przemysłu drugi z Wojska. Samochód pierwszy bierze grupę »Bartka« w liczbie 16-18 osób. Druga maszyna wojskowa bierze ciężką i długą broń grupy. Na tej maszynie będzie jechał »Jasiek«* (jeden z oficerów „Bartka" – przyp. Ł.O.), *»Emil«* (łącznik, który doprowadził „Lawinę" do „Bartka" – przyp. Ł.O.) *i jeden z naszych. Maszyna ta wyrusza o 1 godzinę wcześniej niż druga. Po przyjeździe do opolskiego »Jasiek«, »Emil« pozostają na punkcie, przyszykowują spanie i kolację dla nadjeżdżającej grupy »Bartka«. Na punkcie opolskim przewidujemy obstawę z naszych ludzi, którzy będą występować pod płaszczykiem ludzi wyznaczonych przez Okręg Opolski »NSZ«, dla ochrony punktu. Ludzi będzie 5-ciu z pepeszami. Nadjeżdża samochód z grupą »Bartka«, który nasza obstawa wpuszcza po wymienieniu hasła.*

Pytania: Kto jedzie?

H. [hasło] *Bartkiewicz*

O. [odzew] *Czy ten chory?*

Odp. Tak

Broń z pierwszego samochodu zostaje załadowana i zmagazynowana w punkcie koncentracji, a ludzi rozdzielamy na 2 grupy po 9-10 ludzi i rozrzucamy na punkty likwidacyjne w powiecie nyskim. Na punkcie likwidacyjnym otrzymują wszyscy sute porcje wódki i jedzenie i idą spać. Likwidacja nastąpi we śnie i przeprowadzi ją grupa naszych ludzi (20), która dotychczas spełniała niby rolę ochrony punktu z ramienia Okręgu Opolskiego NSZ. (...) na punkcie likwidacyjnym będzie stała 1 maszyna w ukryciu, służąca tylko do przewożenia aresztowanych ewentualnie trupów (...)". Wg dalszej części planu schemat miał się powtórzyć w przypadku następnych 40-osobowych transportów planowanych na 3, 5 i 7 września. W sumie miano zlikwidować ok. 140 partyzantów jadących w czterech transportach. „Zlikwidować", nie oznaczało najprawdopodobniej w omawianym planie konieczności fizycznej eliminacji. Pewne szczegóły jak: ciężarówka dla aresztowanych, rozproszenie 40-osobowych grup na mniejsze ok. 10-osobowe, łatwiejsze do „wzięcia żywcem" wskazują, że początkowo raczej zamierzano powtórzyć schemat, który z powodzeniem zastosowano w przypadku oddziału „Groma". Jednak ktoś z decydentów, z pewnością wysokiego szczebla, postanowił zmienić finał operacji – na tajną egzekucję. Wprowadziło to korektę planu. „Jasiek", który był, jak twierdzi „Lawina", podatny na „urobienie" miał pozostać w obozowisku na Baraniej Górze, postanowiono również przyjmować jednorazowo nie

większe niż 30-osobowe grupy skupione za to w jednym punkcie likwidacyjnym.

Ostatnie negocjacje

W momencie finalizacji całej operacji „Bartek" znajdował się wraz z jednym ze swoich zastępców „Sępem" i prawdopodobnie „Rysiem" w Gliwicach, oczekując na operację nogi, której przeprowadzenie załatwił „Lawina" . W ostatniej chwili również i „Bartek" postanowił wprowadzić swoje zmiany. 1 września zamiast zgodnie z harmonogramem wysłać pierwszy transport, poinformował „Lawinę" o wprowadzonych przez siebie korektach. W ciągu dwóch dni miały wyruszyć dwa transporty po 60 osób. Wendrowski ostro zaprotestował, w odpowiedzi „Bartek" zażądał pieniędzy – 100 tys. złotych na utrzymanie w terenie grup oczekujących na swoją kolejność. Przewidujący „Lawina" był i na to przygotowany. Wcześniej już, w rozmowie ze zwierzchnikami, uzyskał zgodę na wypełnienie ewentualnych zobowiązań finansowych. Ostatecznie po końcowych uzgodnieniach „Bartek" przygotował pismo, które wysłano, wraz z pieniędzmi, do „Wichury" dowodzącego zgrupowaniem na Baraniej Górze podczas nieobecności „Bartka". Pismo zawierało ostatnie wskazówki. Pierwszy transport miał nastąpić jak najszybciej, drugi krótko po nim (prawdopodobnie zgodnie z pierwotnym planem trzeciego dnia operacji). Wraz z kolejnym, trzecim transportem miała jechać broń ciężka. Czwarty transport miał być ostatnim. List dotarł na Baranią Górę 2 września. Tego samego dnia „Lawina" wysłał ostatni raport dotyczący tej operacji. Dopilnowanie harmonogramu spoczęło prawdopodobnie na głowie „Korzenia" – funkcjonariusza UB Czesława Krupowiesa, który działał pod przykrywką adiutanta „Lawiny".

Biorąc pod uwagę dane zgromadzone w poprzednich raportach, pełne zeznania Zielińskiego oraz relacje NSZ-towców z Baraniej Góry można przyjąć, że pierwszy transport ruszył między 3 a 5 września, i tego samego dnia dotarł na miejsce noclegu. Jeśli przyjmiemy, że trzymano się nadal zobowiązań, na których tak zależało kierownictwu operacji czyli UB, zaakceptowanych też przez „Bartka", to w pierwszym transporcie musiało się znaleźć nie więcej niż 30 osób. Podobnie w drugim. Trzeci uszczuplony przez interwencję „Sztubaka" mógł być mniejszy. Razem liczba partyzantów przewiezionych trzema transportami śmierci nie powinna przekroczyć liczby ok. 90 członków NSZ. Co ciekawe, jeden z dokumentów MBP – sprawozdanie z 22.01.1947 r. wymienia 84 partyzantów „Bartka" zlikwidowanych w sierpniu, wrześniu i październiku 1946 roku.

Hipoteza

Jeśli przyjmiemy, że relacje Zielińskiego i Bujaka są w kluczowych punktach prawdziwe, to najprawdopodobniej wszystko rozegrało się zgodnie z poniższą rekonstrukcją. Specjalna grupa 70 wyselekcjonowanych funkcjonariuszy UB wraz z Zielińskim została postawiona w stan gotowości najprawdopodobniej wraz z początkiem września. Tego samego dnia (być może 3 lub 4 września) znaleźli się oni w punkcie likwidacji, w poniemieckim majątku. Gdy pierwszy transport dotarł na miejsce, w nocy rozpoczęły się egzekucje. Następny, drugi transport wyruszył krótko po pierwszym, prawdopodobnie z jednodniowym odstępem. Zapewne był to transport dowodzony przez „Żbika" i zapamiętany przez „Czarnego". Kolejny, trzeci transport musiał napotkać trudności, związane albo z problemem zgromadzenia ukrytej w różnych miejscach broni długiej, radiostacji, powielaczy i innego sprzętu przewidzianego do transportu, albo za sprawą nieudanej akcji „Sztubaka" – przechwycenia kierowców. Tego nie da się ustalić. Pewne jest, że ostatecznie wyruszył i zakończył swoją drogę w zaminowanym budynku na polanie, w pobliżu zameczku Hubertus w okolicy wsi Baruty. Wg drobiazgowych ustaleń dotyczących tego miejsca, miało się to wydarzyć ok. 20 września, a na pewno w drugiej połowie miesiąca. Tam zginęli ostatni z transportowanych. Do ostatniego, czwartego transportu już nie doszło.

Zgodnie z tą rekonstrukcją, Andrzej Bujak, jedyny ocalały z operacji, musiał znaleźć się w miejscu, które opisywał Jan Zieliński. Kluczowe fragmenty tych relacji pasują do siebie – pomieszczenia wyłożone słomą, częściowo zniszczony działaniami wojennymi budynek niemieckiego majątku, huk granatów. Drugi transport został najprawdopodobniej wysadzony w powietrze na pobliskim lotnisku. Pozostaje tylko ustalić, gdzie znajduje się „poniemiecki majątek" leżący w pobliżu lotniska… CDN

Dziękuję za pomoc dr. hab. Krzysztofowi Szwagrzykowi.

O tragicznym losie oddziału „Bartka" pisaliśmy w „Odkrywcy" w nr: 3, 6, 8/2009, 11/2012

Literatura

1 „Zagadnienie walki z bandytyzmem 1946 r.", IPN BU 0297/43/89
2. S.M. Jankowski „Operacja Lawina" [w:] „Zeszyty Katyńskie 1999", nr 10
3. T.M. Nowak „Operacja »Lawina« – Dzieje przemilczanej zbrodni UB", Opole 2012
4. „Plan Akcji likwidacji B" oraz raporty Wendrowskiego dołączone do akt śledztwa prowadzonego przez IPN.

REKLAMA

ARMAND METAL® DETECTORS
Polskie wykrywacze metali od 1985 r.
armand@armand.pl
www.armand.pl
512 138 545

Grupa Armand

BOJOWIEC.PL

NOWY! SKLEP MILITARNY

Zanim rozpocząłem pisać poniższy artykuł, pokusiłem się o podróż w przeszłość. Zszedłem do garażu, gdzie na półce stoi gruby, niebieski klaser. Książka z ery przedcyfrowego szaleństwa – na białych kartach dziesiątki równo wklejonych, kolorowych zdjęć z podziemnych wypraw. Otwieram na karcie z datą „16 marca 2002 rok". Na zdjęciu rząd przedziwnych postaci: gumowe butospodnie, skafandry, kaski, latarki w dłoniach. Ciemną nocą takie zgrupowanie przyprawiłoby przeciętnego człowieka o zawał serca. Stoimy przed wylotem sztolni Kopalni Złota w Złotym Stoku, między nami złotowłosa Ela, właścicielka, wszyscy pozują do pamiątkowego zdjęcia przed wyruszeniem pod ziemię. Dalej zdjęcia bardziej dramatyczne – my i nasi przyjaciele odziani w gumowe skafandry, na tle wąskiej sztolni, obraz zamglony, niewyraźny, twarze umorusane i zmęczone. Zakręt korytarza. Ręcznie kuty chodnik, fragment obudowy, wreszcie – ponownie na powierzchni, ze zdjęcia patrzą szczęśliwi zdobywcy, przemoczeni i brudni. Po ponad 10 latach od tego wydarzenia, uzbrojeni w cyfrowe aparaty, wodoodporne kamery i kilka map w szczelnych foliach, postanowiliśmy kolejny raz odwiedzić to samo miejsce. Nie bez pewnej tremy...

Sztolnia Emanuel.

Tysiąc metrów w głąb góry

TEKST: KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, DARIUSZ WÓJCIK
ZDJĘCIA: MAREK FURMANKIEWICZ, AUTORZY

Do sztolni Emanuela można dostać się na dwa sposoby: dawnym szybem wentylacyjnym lub tradycyjnie przez jej wlot. W tym pierwszym przypadku należy zdobyć klucz do kłódki, która zabezpiecza zamontowaną na szybie klapę, znać się nieco na technikach linowych i zjechać ok. 15 metrów w strugach ściekającej wody na dno sztolni. Śmiałek ląduje w rozszerzonej części podszybia, z niewielką ilością wody, skąd może wygodnie rozpiąć się ze szpejów i ruszyć dalej w ciemną czeluść korytarza. W tym roku tę drogę wybrał nasz przyjaciel Marek, który obwieszony sprzętem, i nie bez przygód, zjechał na dół. Owo skrócenie drogi większość eksploratorów zalicza do zalet wejścia przez szyb, my natomiast uznaliśmy to za niewątpliwą wadę. Zjeżdżając szybem, pozbawiamy się bowiem możliwości obejrzenia prawie 230 metrów ręcznie kutego korytarza prowadzącego w to miejsce od wlotu, a nam zależało na zbadaniu możliwie największej części podziemi. Podobnie jak uczyniliśmy to 10 lat temu, wybraliśmy więc drugi sposób wejścia do sztolni, o wiele bardziej atrakcyjny, emocjonujący i dający zastrzyk adrenaliny – wejście bezpośrednio przez wlot. W ten sposób czekał na nas ponad kilometrowej długości mozolny i niebezpieczny marsz wąskim chodnikiem w głąb góry, wewnątrz zabytku techniki działającego nieprzerwanie od ponad pół tysiąca lat.

Długa historia sztolni Emanuel sięga swoimi początkami XVI wieku, kiedy to w Złotym Stoku trwał złoty okres wydobycia rud złota. Na tzw. Polu Zachodnim, które obejmowało południowo-zachodnie stoki góry Haniak nad Złotym Stokiem, działały dwa rejony wydobywcze, nazwane od znajdujących się na nich kopalni Golden Esel i Reicher Trost (Złoty Osioł i Bogate Pocieszenie). W owym czasie rudę wydobywano głównie metodą kopania dużej ilości płytkich szybików, ale z czasem bito coraz głębsze szyby, które schodziły głębiej i głębiej. Płytsze szyby dawały się odwodnić za pomocą wiader i kołowrotów, przy głębszych, trzeba było budować drogie i skomplikowane maszyny wyciągowe, jak choćby te

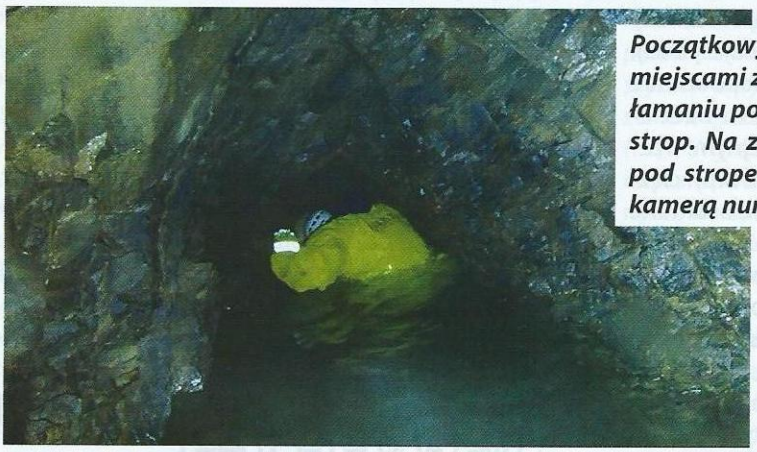

Początkowy odcinek sztolni Emanuel miejscami zalany jest po szyję. Przy załamaniu pogody, woda może sięgać po strop. Na zdjęciu: Darek przeciska się pod stropem. Kadr z filmu kręconego kamerą nurkową.

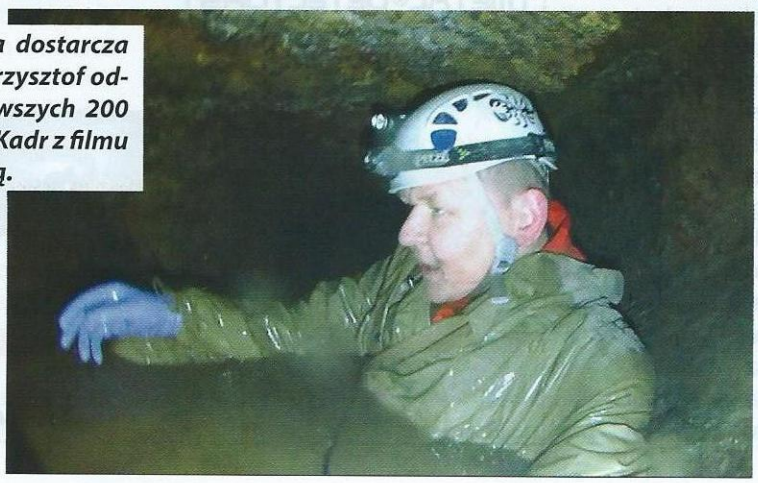

Przejście zalanego odcinka dostarcza dużo wrażeń. Na zdjęciu: Krzysztof odpoczywa po przejściu pierwszych 200 metrów zalanego odcinka. Kadr z filmu kręconego kamerą nurkową.

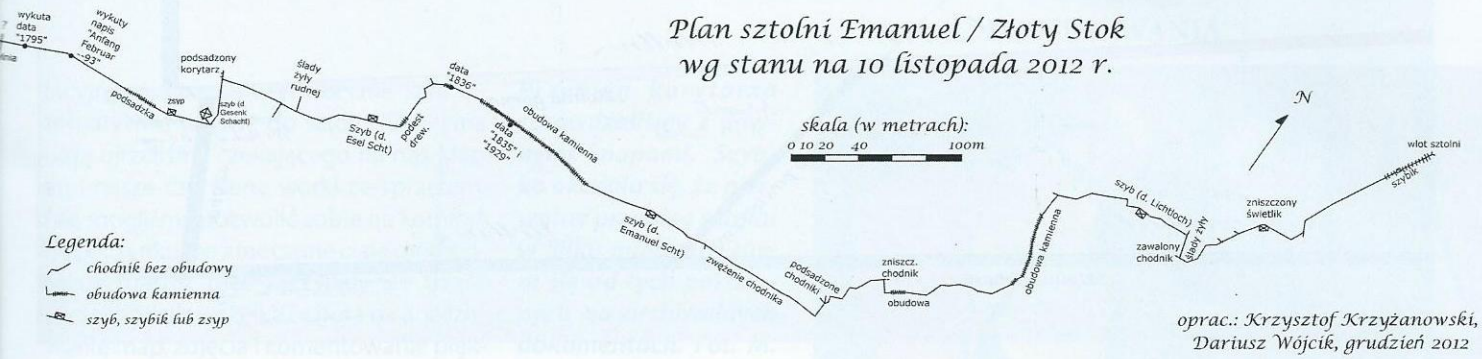

znane z rycin Jerzego Agricoli. Niestety, woda nie była sprzymierzeńcem górników, którzy stale zmagali się z jej napływem i marnowali dużo sił i pieniędzy na jej odprowadzenie. Rozwiązaniem były sztolnie odwadniające, zwane głębokimi lub dziedzicznymi, ponieważ często budowane były przez kilka pokoleń dla pokoleń przyszłych. Sztolnia prowadzona była od najniższego punktu danego obszaru górniczego, a jej początek był starannie wybrany, uwzględniając ukształtowanie terenu i warunki złoża, najczęściej więc wlot znajdował się nad brzegiem strumienia czy rzeki. Chodnik drążono w kierunku istniejących kopalni i złóż, które miały być odwadnianie, a w zasadzie pod owe złoża, z przepisowym spadkiem, który odpowiadał zazwyczaj proporcji między 1:100 do 1:400 (tj. od 1 do 4 metrów na każde 100 metrów chodnika), tak aby zapewnić grawitacyjny odpływ wody. Prawidłowo wykuta sztolnia, choć niezwykle droga w wykonaniu, stawała się idealnym i pewnym mechanizmem do odwadniania wyżej położonych kopalni, a korzystające z niej gwarectwa musiały wnosić opłaty za jej używanie.

Początki drążenia opisywanej przez nas sztolni sięgają roku 1506, kiedy to ówcześni włodarze kopalni na górze Haniak – cystersi z Kamieńca – otrzymali formalne zezwolenie (koncesję) na jej bicie od książąt ziębicko-oleśnickich Albrechta i Karola I. Pierwszy odcinek sztolni, długości około 700 metrów, wykonano w mocno spękanej i niestatecznej skale, budując dodatkowo 3 szybiki wentylacyjne. Do połowy XVI wieku, a więc w przeciągu niespełna półwieku, wydrążono kolejne 200 metrów, aż do szybu Golden Esel (Złoty Osioł), tak więc średnia prędkość budowy wynosiła niewiele ponad 20 metrów rocznie, czyli około… 5 centymetrów dziennie (!). Wydaje się to niezwykle mało, ale trzeba pamiętać, że w tym okresie wszystkie prace wykonywano ręcznie, pracując przy wątłym świetle kaganka, używając wyłącznie młotka i żelazka, spiczasto zakończonego żelaznego klina. Górnik klęcząc lub nawet leżąc, przystawiał żelazko do powierzchni skały i uderzał w nie młotkiem, wykonując włom na środku przodka, następnie poszerzał go na boki, od spodu i góry. Po jego pracy pozostawały widoczne na ociosach lub stropie charakterystyczne, podłużne bruzdy, które do dzisiaj można znaleźć w sztolni. W połowie XVII wieku sztolnia została przedłużona o kolejne 140 metrów do szybu kopalni Bogate Pocieszenie, następnie kolejne 200 metrów w głąb złoża. Jak podaje Tadeusz Mikoś, autor znakomitej monografii o Złotym Stoku, w tym miejscu sztolnia

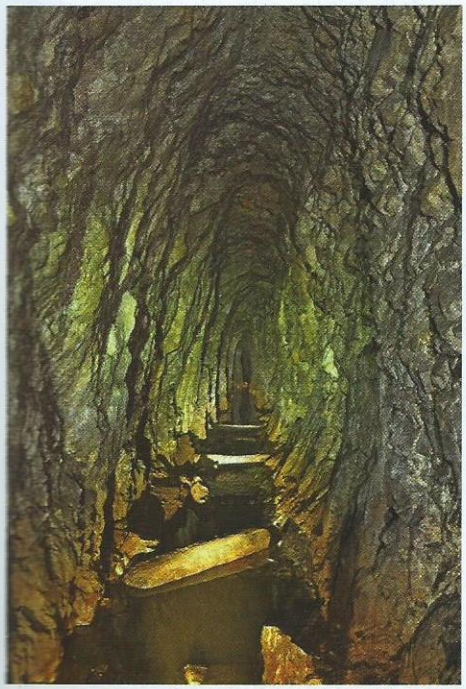

Sztolnia Emanuel za odcinkiem z kamienną obudową zmienia swój przekrój: chodnik jest wąski, ale dość wysoki. W końcu można się swobodnie wyprostować. Fot. M. Furmankiewicz.

Wykuty ręcznie chodnik w środkowej części sztolni o nietypowym, pochylonym kształcie. Fot. M. Furmankiewicz.

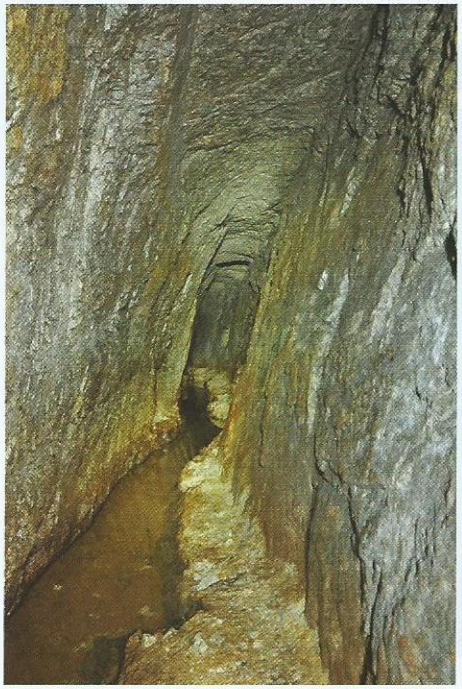

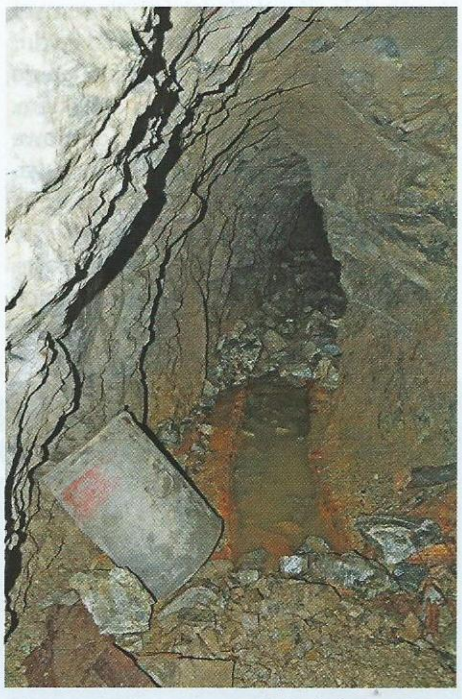

Autorzy historycznych książek nie są zgodni co do przeznaczenia sztolni wyłącznie do celów odwodnienia. W tym miejscu napotkaliśmy na niewielki fragment torów, ślad po wykorzystaniu Emanuela także do celów transportu urobku lub podsadzki (?). Fot. M. Furmankiewicz.

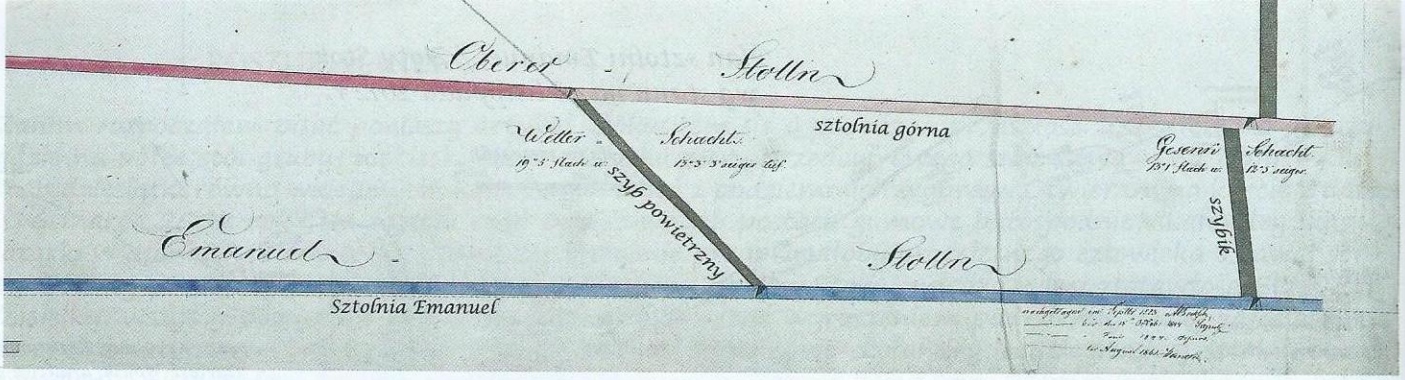

Aktualna mapa sztolni Emanuel od wlotu do skrzyżowania przed pochylnią, wykonana przez Autorów w listopadzie 2012 roku.

znajdowała się około 110 metrów pod powierzchnią góry Haniak. Inny badacz dziejów górnictwa, Tadeusz Dziekoński, jej całkowitą długość oszacował na 1340 metrów. W czasie naszej eskapady, z owej magicznej liczby mieliśmy w planie pokonać ponad 1000 metrów.

Wybierając wejście przez wlot sztolni, należy przygotować się na dużą ilość wody, ponieważ, jak wspomnieliśmy, sztolnia Emanuel cały czas spełnia swoje zadanie, odwadniając porzucone wyrobiska górnicze. Mając doświadczenia z poprzednich penetracji wiedzieliśmy także, że nasze wielkie worki na sprzęt spowodują, iż utkniemy już na samym początku wąskiego korytarza, zdecydowaliśmy się więc na opuszczenie ich na linie, w ślad za zjeżdżającym Markiem. Na kombinezony ubraliśmy gumowe skafandry, założyliśmy czołówki na kaski, w rękach pozostawiając wyłącznie zalaminowane mapy i wodoodporną kamerę nurkową wysokiej rozdzielczości, która miała uwiecznić nasze podziemne zmagania. Był 11 listopada 2012 roku, godzina 19:00. Z asekurującą nas grupą naziemną uzgodniliśmy czas naszego powrotu na północ, a ewentualny alarm – godzinę później. Ruszyliśmy do sztolni. Wlot wygląda jak ujście kanału ściekowego, niewidoczne za gęstymi krzakami, dokładnie pod murem prywatnej działki przy ul. Górniczej. Już wcześniej zagadnęliśmy właścicielkę o zgodę na wejście, która choć nie wyraziła sprzeciwu, była mocno zdziwiona, że interesuje nas stara sztolnia na jej podwórku. Włączyliśmy czołówki, przycisk kamery przestawiony został na „on", i pochylając pokornie plecy zagłębiliśmy się w ciemny otwór – pierwszy Darek, potem ja. Początkowe metry to około pół metra wody i obudowany betonem korytarz, którym szybko dochodzi się do niewielkiej tamy. Po przejściu przez tamę woda sięgała nam już do pasa. Ruszyliśmy przed siebie. Pierwszy odcinek sztolni prowadzący na południowy-zachód jest dość wygodny, choć normalne chodzenie utrudnia muł zalegający dno i niski strop. Po kilku minutach poziom wody zaczął się podnosić, trochę wbrew logice, ponieważ sztolnia z każdym metrem wznosi się nieznacznie do góry, szybko jednak można się zorientować, że to zwykłe złudzenie. Muł zalegający na dnie nie pozwala na swobodny przepływ wody, ponadto obniża się strop chodnika, co powoduje, że woda szybko sięgnęła nam piersi. Za pierwszym zakrętem chodnika widziałem już tylko przechylony kask Darka i jego ramiona wystające nad wodą, a jego sylwetka zajmowała cały przekrój wąskiego korytarza. Po kilku krokach poczułem jakby lodowy sztylet przeszył mnie od szyi do stóp… zimna woda sięgająca już moich ramion, przelała mi się pod brodą przez ciasno zapięty kombinezon i wypełniła moje wdzianko od środka. Sądząc po wyrazie twarzy Darka cierpiał na tą samą, wodną dolegliwość. Wiedziałem, że upłynie co najmniej kilka długich minut, zanim nasze ciała ogrzeją ją od środka. W ciasnym chodniku zrobiło się jeszcze węziej, nad lustrem wody było miejsce wyłącznie na głowę, nasze oddechy parowały i przesłaniały światła czołówki. Choć Darek brnął kilka metrów przede mną, nie słyszałem jego głosu, tylko szum płynącej wody, plusk moich rąk walczących ze śliską skałą i swój przyśpieszony oddech. Kamera błyskała czerwoną diodą, rejestrując beznamiętnie nasz heroiczny wyczyn. Ten odcinek był trudny nie tylko przez niewygodny dla psychiki brak przestrzeni, ale przez myśl, że człowiek jest w samym środku dwustumetrowej „rury" odprowadzającej masę wody, gdzieś z głębi góry. Załamanie pogody na zewnątrz i ulewny deszcz mógł w kilka minut zmienić to miejsce w śmiertelną, wodną pułapkę, nie dając nam szans na wycofanie się.

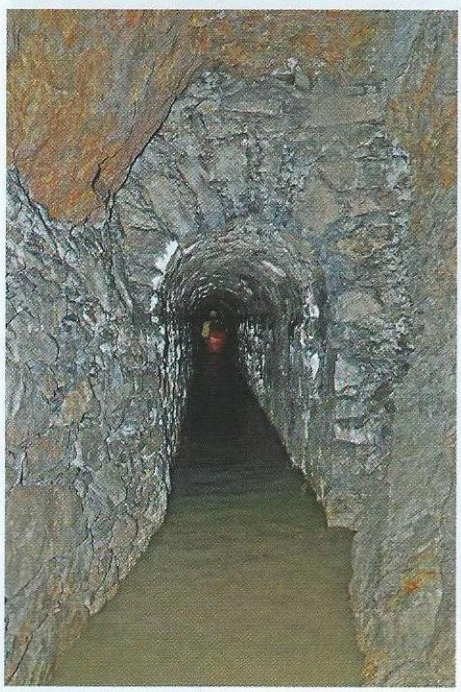

Początek kamiennej obudowy przed zawalonym szybem Esel (Osioł). Fot. M. Furmankiewicz.

Za kolejnym zakrętem poziom wody obniżył się i mogliśmy wreszcie się wyprostować. Brnąc w mule dotarliśmy do miejsca, gdzie chodnik skręcał pod kątem prostym w prawo, tymczasem widać było wyraźnie, że pierwotnie prowadził na wprost. Świadczyły o tym niezbicie ślady ręcznego kucia, które znikały gdzieś pod podsadzką wypełniającą ślepy korytarz. W tym miejscu zmieniono dawny przebieg sztolni, a powodem tego mogła być interesująca żyła rudna, która była doskonale widoczna na stropie. To ciekawe spostrzeżenie uświadomiło nam, że Emanuel nie pełnił tylko i wyłącznie funkcji odwadniającej, ale poszukiwano w niej także zasobnych żył, lub co najmniej śledzono ich przebieg. Mimo, że wspomniani wcześniej autorzy określali ten początkowy odcinek, jako poprowadzony „w jałowej skale". Oglądając dokładnie to ciekawe miejsce, widoczne wyraźnie na naszym planie, krok po kroku zbliżaliśmy się do kolejnego zakrętu, skąd dochodził stłumiony pogłos spadającej wody. Niechybny znak, że zbliżamy się do dawnego świetlika, szybu wenty-

lacyjnego, który służył obecnie jako alternatywne wejście do sztolni. Z pewną ulgą ujrzeliśmy czekającego na nas Marka i nasze czerwone worki ze sprzętem. Nie mogliśmy pozwolić sobie na komfort odpoczynku, bo zmoczone ciała momentalnie marzły, ręce zaczynały się trząść i przechodziła wszelka ochota na analizowanie map, zdjęcia i komentowanie pięknej sztolni. Zarzuciliśmy worki na plecy i ruszyliśmy w kierunku zachodnim.

Po kilkudziesięciu metrach sztolnia ponownie ostro skręcała, a tuż za zakrętem zobaczyliśmy początek kamiennej obudowy. Woda sięgała nam tu wprawdzie do pasa, lecz zrobiło się jakby cieplej, ustał szum wody spadającej szybem i zrobiło się zupełnie cicho. Obudowa ciągnęła się na odległości kilkudziesięciu metrów – prawdziwy majstersztyk pracy podziemnych kamieniarzy. Za obudową ponownie skręciliśmy na zachód, zrobiło się wąsko, na tyle, że worki ocierały nieprzyjemnie o ociosy, a obrócenie się – bez ich zdejmowania – było niemożliwe. Sztolnia ponownie skręciła w prawo, a po kilku metrach w lewo. Na rozwidleniu zauważyliśmy boczny, zniszczony chodnik, wypełniony, jak i poprzednie, kamiennym gruzem. Sztolnia zaczęła się wić, tak, że Darek z Markiem co chwila znikali za załomami. Minęliśmy kolejne podsadzone korytarze, które dało się podświetlić latarkami, ale przeciśnięcie się szczeliną pod stropem nie wyglądało zachęcająco. Skręciliśmy niemal idealnie na zachód. Chodnik stał się jeszcze bardziej ciasny i dziwacznie przechylony, jakby górnicy pozbyli się konieczności trzymania pionu. Worki przeszkadzały nam coraz bardziej, aż w końcu uznaliśmy je za zbędny balast i złożyliśmy w jakiejś wnęce. Uwolnieni od ciężaru, nieco sprawniej ruszyliśmy przed siebie. Kilkadziesiąt kolejnych metrów dalej chodnik nagle się poszerzył, a po jego lewej stronie zobaczyliśmy ciemną jamę. W jej wnętrzu leżały stare cegły, resztki szyn i żelaznych obejm, wszystko zmieszane z mokrą ziemią i gliną. Z mapy, którą trzymaliśmy w ręku, wynikało niezbicie, że to szyb Emanuel, którego wlot na powierzchni zachował się do współczesnych czasów. Za szybem sztolnia wciąż podążała na zachód, by po kolejnych kilkudziesięciu metrach ponownie przeobrazić się w obudowany kamieniami chodnik. W tym miejscu, pamiętając nasze wcześniejsze wycieczki, cierpliwie

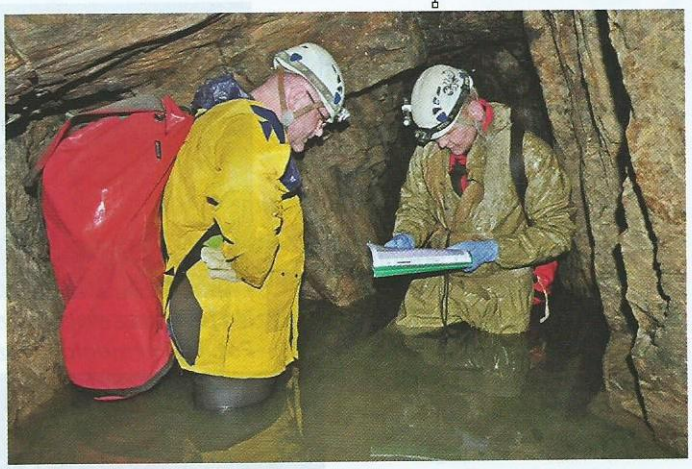

Przebieg korytarza sprawdzaliśmy z dawnymi mapami. Szybko okazało się, że pierwotny przebieg sztolni w kilku miejscach różni się od tych pokazanych na archiwalnych dokumentach. Fot. M. Furmankiewicz.

oglądaliśmy ociosy, aż natrafiliśmy na ciekawą pamiątkę. Na lewym ociosie, na wysokości oczu widniała wykuta data *„1835"*, tuż za nią rok *„1929"*. Pierwszą z nich uznaliśmy za datę wykonania obudowy, ponieważ sama sztolnia, jak pamiętamy, jeszcze przed XVIII wiekiem wydrążona była dalej, drugiej daty nie potrafiliśmy skojarzyć z żadnym ważnym dla sztolni wydarzeniem; ot, być może któryś z górników wykuł po sobie pamiątkę. Na kolejnym fragmencie obudowy, dokładnie 40 metrów dalej, znaleźliśmy także datę *„1836"*, wykonaną zapewne tą samą wprawną ręką.

Obudowa skończyła się, sztolnia skręcająca na południe stała się ponownie nieco szersza. Na spągu zauważyliśmy resztki drewnianego podestu, ale już zaledwie po kilku metrach kończył się on gwałtownie, a sztolnia wchodziła w podszybie kolejnego szybu. Staliśmy pod szybem Esel (Osioł), zwanym także „Wodnym", który prowadzi 25 metrów w górę do sztolni Górnej (Ober Stollen) i dalej do zawalonego szybu Alte Esel (Stary Osioł). W 1565 roku wydarzyła się w tym miejscu tragedia, która rozpoczęła upadek złotostockiego górnictwa w XVI wieku. Wskutek rabunkowego wybierania złóż, zawalił się wspomniany szyb odcinając drogę ucieczki 59 (według niektórych źródeł nawet 99) górnikom. Najprawdopodobniej nie zginęli oni podczas obwału, tylko pozostali w bocznych chodnikach, nadaremnie czekając na pomoc, która nigdy nie nadeszła. Szyb jest wciąż drożny, co oznacza, że można nim wejść na górę metodą wspinaczkową i spenetrować krótkie odcinki górnej sztolni, niestety zawalonej. Spod szybu ruszyliśmy dalej w głąb góry. Chodnik biegł na zachód wijąc się raz w lewo, raz w prawo. Raz po jednej, raz po drugiej stronie mijaliśmy boczne odnogi, niestety także zasypane. Korytarz skręcał nagle pod kątem prostym w lewo, w prawo zaś biegł podsadzony korytarz wypełniony gruzem, ślad oryginalnego przebiegu sztolni. Zbliżyliśmy się do kolejnego zawalonego korytarza, który z ciekawości zbadaliśmy na naszych ma-

REKLAMA

pach. Było to tzw. Neben Gesenk, szybik, który pierwotnie łączył się krótkim chodnikiem z szybem Alte Goldene Esel (Stary Złoty Osioł), dziś zupełnie niedostępny. Kilka metrów dalej ze stropu wyłaniał się zsyp z górnego poziomu, który po zbadaniu światłem latarek także okazał się zawalony. Tuż za zsypem sztolnia sprawiała wrażenie zawalonej. Chodnik był wypełniony gruzem i błotem, i wydawał się nie do przejścia, jednak w świetle latarki widać było czarną czeluść. Mogliśmy z czystym sumieniem zakończyć naszą eskapadę w tym miejscu, tłumacząc się przed samymi sobą „trudnościami w eksploracji", wiedzieliśmy jednak, że dalsza część była dostępna. Z otworu czuć było silny przeciąg, co dawało nam pocieszenie, że nie utkniemy w ciasnym korytarzu bez tlenu. Poprawiłem kombinezon i wczołgałem się w wąski przesmyk. Kask przeszkadzał i ocierał o strop, więc zdjąłem go, oświetlając sobie drogę ręczną latarką. Chodnik ciągnął się prosto, kombinezon ocierał o boczne ociosy, a kolana raniły o ostre kawałki skał. Po ponad 20 metrach czołgania, zwaliłem się dosłownie głową w dół do korytarza po drugiej stronie. Byłem spocony jak mysz i niezmiernie zadowolony, że skończył się ten trudny odcinek, choć umysł już słusznie zauważał, że trzeba będzie jeszcze wrócić tą samą drogą. Ostrożnie ruszyłem przed siebie. Na ścianie zamajaczył kolejny napis i kolejna górnicza pamiątka – nisko nad spągiem ktoś umieścił napis *„Anfang Februar"*, pod spodem zaś data, z której ułamały się dwie cyfry pozostawiając wyłącznie dwie ostatnie: *„...93"*. Dopiero później, w domu, przeglądając cyfrowe mapy dostrzegliśmy, że ten odcinek sztolni wykuty został dokładnie w... 1793 roku. Kilka metrów dalej była kolejna data, która potwierdzała te ustalenia – wykuty rok *„1795"*. Za kilkanaście metrów sztolnia dochodziła do rozwidlenia korytarzy. Chodnik na prawo był całkowicie zawalony. Na wprost widać było dalszą część Emanuela, podsadzoną jeszcze bardziej niż odcinek, którym przed chwilą z trudem przebrnąłem. To w tym kierunku biegła dalej sztolnia, w kierunku chodników kopalni Reicher Trost oraz szybu Reden, ciągnąc się jeszcze około 400 metrów w głąb góry. Po lewej stronie odchodził także zawalony korytarz, jednak mapy wskazywały jednoznacznie, że zaczyna się tutaj tzw. Wetterschacht, pochylnia prowadząca poziom wyżej do sztolni górnej. Rzeczywiście, wczołgując się mogłem przejść do pochylni, która pod ostrym kątem wędrowała pod górę. Poczułem się w tym miejscu zupełnie samotny, zebrałem się jednak w sobie i ruszyłem ostrożnie pod górę. Cała pochylnia usiana była połamaną obudową i wielkimi okruchami skał, które odpadły ze stropu i ociosów. Każdy niezręczny ruch posyłał małą lawinkę kamieni w dół, wprost do miejsca, którym z trudem wślizgnąłem się na pochylnię. Ściany podparte były zmurszałymi belkami, co chwila któraś z nich leżała na spągu, blokując ruchy... Zrobiło się niebezpiecznie i niepewnie. Leżąc na gnijących belkach patrzyłem na zafoliowany wydruk mapy i notowałem odległości. Pochylnia dociera na poziom wyższy, w teorii otwierając drogę do dalszej eksploracji, jednak chodniki na górze są zawalone, podobnie jak te nad szybem Wodnym. Odnotowawszy to skrupulatnie, zacząłem mozolny odwrót do wyjścia.

Na jednym z ociosów zachowała się data „1836". Fot. M. Furmankiewicz.

Daty 1835 i 1929, najprawdopodobniej upamiętniają czas wykonania i remontu obudowy. Fot. M. Furmankiewicz.

Podczas naszej wycieczki w głąb góry spędziliśmy pod ziemią ponad 5 godzin. Główny ciąg sztolni, bez bocznych odgałęzień, przekracza 1000 metrów i, co warto zauważyć, przejście tej odległości do wlotu sztolni, wraz z odcinkiem zalanym wodą, zajmuje około jednej godziny. Sztolnia jest dobrze wentylowana, nie ma więc ryzyka związanego z brakiem tlenu. Dużym niebezpieczeństwem może jednak być nagłe przybranie wody. Wiek sztolni, technika drążenia skały i ciekawostki górnicze – to wszystko powoduje, że Emanuel zasługuje na odrębne opracowanie, tak, aby wyraźnie podkreślić, że na Dolnym Śląsku, w pięknym Złotym Stoku, znajduje się nieprawdopodobny pomnik ludzkiej wiedzy i wytrwałości. Pomnik – przypomnijmy – czynny, cierpliwie odprowadzający wodę z ciemnego wnętrza gór.

Kontakt z autorami: mediator.wroclaw@wp.pl

Autorzy dziękują za pomoc w opracowaniu artykułu: Łukaszowi Orlickiemu – za wsparcie sprzętowe, grupie GRALmarine – za wypożyczenie kamery podwodnej, Robertowi, Wojciechowi i Karolowi – za wsparcie logistyczne, Eli Szumskiej i Jackowi Grużlewskiemu – za przyjęcie w Kopalni Złota i pomoc organizacyjną.

Literatura:

1. „Złoty Stok – najstarszy ośrodek górniczo-hutniczy w Polsce" pod red. Tadeusza Mikosia, AGH, Kraków, 2009
2. T. Dziekoński „Wydobywanie i metalurgia kruszców na Dolnym Śląsku", Wydawnictwo PAN, 1972

Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik

Dociekliwi badacze historii górnictwa i podziemnych obiektów wytworzonych ludzką ręką. Obszar wspólnego zainteresowania – dawne górnictwo w Sudetach. Od blisko 8 lat tworzą materiały o tematyce okołogórniczej. Autorzy książek o dawnych kopalniach i górnictwie oraz ponad 100 publikacji w czasopismach tematycznych. Prywatnie: prawnik i ekonomista.

Ocalone dokumenty generałowej Katarzyny Sowińskiej

TEKST: PIOTR ADAMCZYK
ZDJĘCIA DOKUMENTÓW: AUTOR

Dwa lata temu w Warszawie grzebiący w śmieciach poszukiwacze złomu i makulatury, odnaleźli kilka dokumentów z połowy XIX wieku. Nie zdając sobie sprawy z wagi znaleziska, sprzedali je za równowartość butelki czystej wódki. Jednym z dokumentów jest ostatni dowód tożsamości wdowy po generale Sowińskim – Katarzyny Antoniny Sowińskiej. Drugim jest rachunek za jej pogrzeb. Warto zapoznać się z obydwoma dokumentami, albowiem mają dużą wartość historyczną i poznawczą.

Książeczka legitymacyjna Miasto Warszawa

Książeczka, która była w tamtych czasach formą dowodu osobistego, zawiera opis właściciela. Była także dokumentem potwierdzającym meldunek i przynależność do cyrkułu policyjnego. To jednobarwny druk wielkości 7,8×12,3 cm, o objętości 24 stron. Okładkę wykonano z barwionego papieru. Książeczka legitymacyjna generałowej Sowińskiej została wystawiona 15 lat przed śmiercią właścicielki.

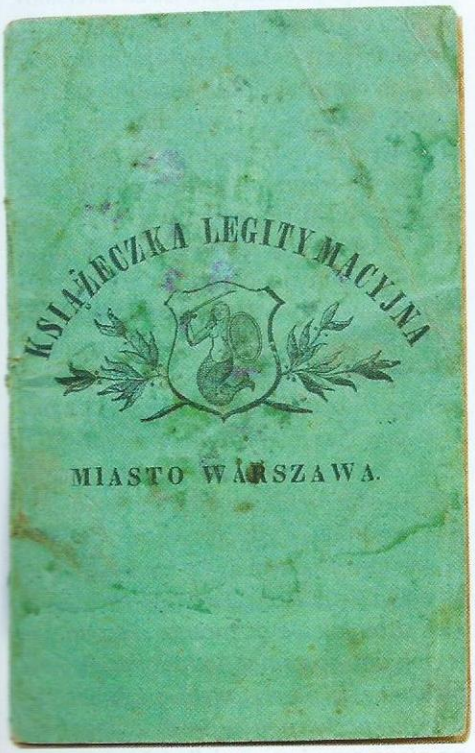

Pierwsza strona: *„Książeczka legitymacyjna służąca dla Wney Katarzyny Sowińskiej za dowód, że do księgi ludności zapisana została i do zapisania zmian zamieszkania tejże osoby, sporządzona stosownie do postanowienia JO. Księcia Namiestnika Królewskiego z dnia 27 stycznia 1818 r.*

Cena kop: sr: 2 ½ (Gr. 5)".

Zdecydowanie najciekawsze informacje znajdują się na stronie drugiej. Ponieważ nie istnieją zdjęcia ani portrety generałowej Sowińskiej (Autorowi nie udało się do żadnego dotrzeć), poniższy opis daje niedoskonałe wyobrażenie jej wyglądu.

„Opis właściciela Książeczki Legitymacyjnej

- *Rodził się w wsi lub mieście*
- *Gminie z Warszawy*
- *Powiecie*
- *Guberni Warszawskiej*
- *Religii Ewangielicko Reformowany (pisownie oryginalna – przyp. P.A.)*
- *Stanu Szlacheckiego*
- *Sposobu życia z własnych funduszów*
- *Wzrostu szredniego*
- *Twarzy pełnej*
- *Włosów sziwawych*

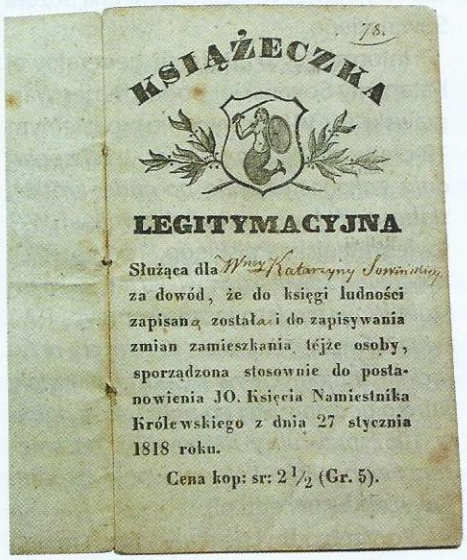

- *Oczów niebieskich*
- *Nosa grubego*
- *Ust miernych*
- *Brody małej*
- *Znaki szczególne żadne".*

Strona trzecia: *„Kommissarz Policji Wykonawczej Cyrkułu IV miasta Warszawy Zaświadcza, jako właściciel tej książeczki W-a Katarzyna Sowińska powyżej opisana a dziś lat 69 wieku swego licząca, zapisana została do księgi ludności miasta Warszawy w domu pod numerem 1776 przy ulicy Święto Jerskiej* (obecna pisownia nazwy ulicy to Świętojerska – przyp. P.A.) *na mocy rozporządzenia Ober-Policmajstra z roku 1845. Dowód czego przy wyciśniętej urzędowej pieczęci, własnoręcznie podpisuje się.*

W Warszawie dnia 5. Kwietnia 1845".

Strona czwarta i piąta: Obowiązki każdego mieszkańca

Na tych stronach znajdują się obowiązki posiadacza dokumentu. W punkcie 8 znajduje się informacja: *„8. po śmierci właściciela Książeczki Legitymacyjnej familja lub właściciel domu, obowiązani są natychmiast złożyć ją w kancellaryi Kommissarza policji wykonawczej cyrkułu właściwego".* Dokument najprawdopodobniej nie został zwrócony i dzięki temu ocalał. Można się domyślać, że Narcyz Karpiński, który załatwiał formalności pogrzebowe zachował książeczkę, jako pamiątkę po generałowej.

Strona szósta: Zmiany mieszkań

Na tej stronie znajduje się wpis z dnia 18 lipca 1854 r.: *„Obecnie zapisan pod Ner Domu 678 w cyrkule 5 w Warszawie 18 / 7 54* (zapewne 18 lipca 1854 r. – przyp. P.A.) *za Kommissarz: Obrębski".*

Dom mający numer hipoteczny 678 znajdował się na ulicy Leszno. Zmiana w dokumencie dotyczy jedynej przeprowadzki generałowej w okresie od 1845 do 1860 r.

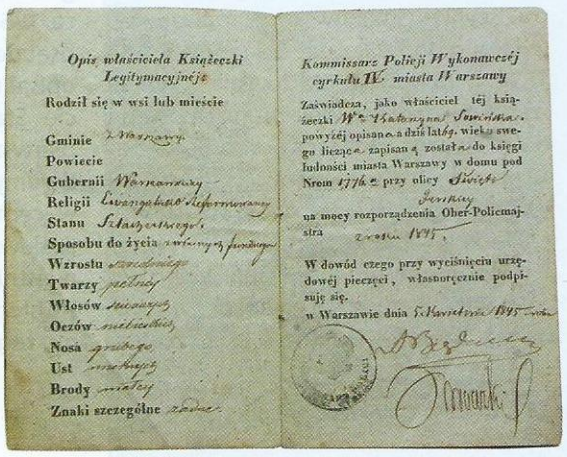

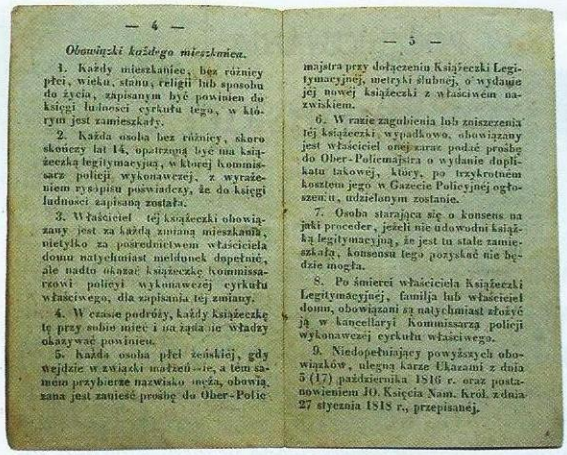

— 4 —

Obowiązki każdego mieszkańca.

1. Każdy mieszkaniec, bez różnicy płci, wieku, stanu, religii lub sposobu do życia, zapisanym być powinien do księgi ludności cyrkułu tego, w którym jest zamieszkały.

2. Każda osoba bez różnicy, skoro skończy lat 14, opatrzoną być ma książeczką legitymacyjną, w której komisarz policji, wykonawczej, z wyrażeniem rysopisu poświadczy, że do księgi ludności zapisaną została.

3. Właściciel tej książeczki obowiązany jest za każdą zmianą mieszkania, nietylko za pośrednictwem właściciela domu natychmiast meldunek dopełnić, ale nadto okazać książeczkę komisarzowi policyi wykonawczej cyrkułu właściwego, dla zapisania tej zmiany.

4. W czasie podróży, każdy Książeczkę tę przy sobie mieć i na żądanie władzy okazywać powinien.

5. Każda osoba płci żeńskiej, gdy wejdzie w związki małżeńskie, a tem samem przybierze nazwisko męża, obowiązana jest zaręczyć prośbę do Ober-Polic

— 5 —

majstra przy dołączeniu Książeczki Legitymacyjnej, metryki ślubnej, o wydanie jej nowej książeczki z właściwem nazwiskiem.

6. W razie zagubienia lub zniszczenia tej książeczki, wypadkowo, obowiązany jest właściciel onej zaraz podać prośbę do Ober-Policmajstra o wydanie duplikatu takowej, który, po trzykrotnem kosztem jego w Gazecie Policyjnej ogłoszeniu, udzielanym zostanie.

7. Osoba starająca się o konsens na jaki proceder, jeżeli nie udowodni książką legitymacyjną, że jest tu stale zamieszkałą, konsensu tego pozyskać nie będzie mogła.

8. Po śmierci właściciela Książeczki Legitymacyjnej, familja lub właściciel domu, obowiązani są natychmiast złożyć ją w kancellaryi Komissarzą policji wykonawczej cyrkułu właściwego.

9. Niedopełniający powyższych obowiązków, ulegną karze Ukazami z dnia 5 (17) października 1816 r. oraz postanowieniem JO. Księcia Nam. Król. z dnia 27 stycznia 1818 r., przepisanej.

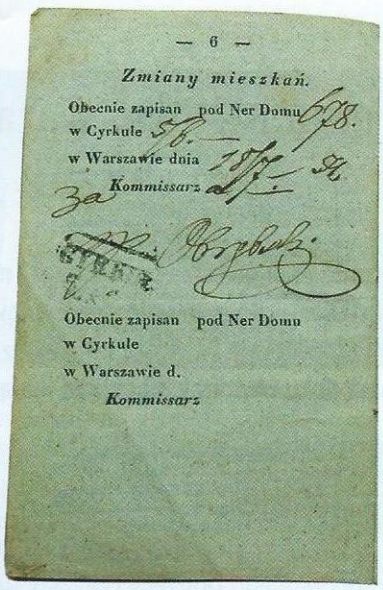

— 6 —

Zmiany mieszkań.

Obecnie zapisan pod Ner Domu 578.
w Cyrkule 56.
w Warszawie dnia 18[illegible] 28.
Kommissarz
Za [illegible]

Obecnie zapisan pod Ner Domu
w Cyrkule
w Warszawie d.
Kommissarz

„Najdobroczynniejsza osoba"

Ojcem Katarzyny Sowińskiej był Jerzy Antoni Schroeder, zarządca i probierz pracujący w Mennicy Warszawskiej za czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Matką była Katarzyna Małgorzata z domu Bregencer. W wieku 18-tu lat wyszła za mąż za Niemca Karla Gottlieba Jonasa, będącego komisarzem sprawiedliwości przy Regencji pruskiej departamentu Prus Południowych w Warszawie. Owdowiała w 1808 roku. Od 1809 r. była członkinią, z nominacji Izby Edukacyjnej Księstwa Warszawskiego, Rady Dozorczej Dam. Instytucja nadzorowała szkoły i pensje żeńskie. 9 VII 1815 r., w wieku 39 lat, zawarła ślub cywilny z oficerem artylerii Józefem Longinem Sowińskim, który w tym czasie był komendantem Szkoły Aplikacyjnej.

Miesiąc po rozpoczęciu Powstania Listopadowego, z pomocą Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, wspólnie z Amelią Wulfers, Aleksandrą Tarczewską, Anną Suchodolską, Klaudyną Potocką oraz Emilią Sczaniecką powołała Związek (Towarzystwo) Dobroczynności Patriotycznej po Domach, które stawiało sobie za cel zaktywizowanie kobiet do pracy charytatywnej, organizowanie zbiórek na wyposażenie ochotników powstańczych, pielęgnowanie rannych, opiekę nad rodzinami poległych oraz utrzymywało ścisłą współpracę z Komitetem Opieki Franciszka Nakwaskiego i służbą zdrowia Powstania Listopadowego. Po bitwie o Olszynkę Grochowską, zorganizowała w swoim domu lazaret dla rannych. 6 IX 1831 r. ponownie owdowiała. Generał zginął na szańcach Woli, broniąc dostępu do stolicy wojskom rosyjskim. Jego ciała nie odnaleziono. Wdowie przekazano jedynie jego laskę. Za swoją działalność społeczną, zbiórkę funduszy na więźniów, pomoc w organizowaniu wyjazdów za granicę, naraziła się na dozór, a w końcu na szykany. W lipcu 1835 została aresztowana i oskarżona o utrzymywanie korespondencji z polską emigracją patriotyczną; przez ponad dwa lata przebywała kolejno w więzieniu w Warszawie, potem internowana w klasztorze karmelitanek w Lublinie, w klasztorze benedyktynek w Łomży. W 1837 roku została zwolniona i wróciła do Warszawy. Kontynuowała opiekę nad podkomendnymi swojego męża. 9 VI 1860 zasłabła na ulicy próbując pomóc ubogiej kobiecie. Umarła bezdzietnie, pozostawiając swój majątek stryjecznej wnuczce generała Józefa Sowińskiego.

Informację o śmierci generałowej Katarzyny Sowińskiej podał „Kurjer Warszawski" (nr 148) w wydaniu niedzielnym 12 czerwca: *„Wczoraj o godz: 1szej z południa, zakończyła życie, po nader krótkiej słabości, Wdowa po b. Pułkowniku b.W.P.* (byłego Wojska Polskiego – przyp. P.A.), *Katarzyna Sowińska, w wieku lat 85. Pozostała Wnuczka* (stryjeczna – przyp. P.A.) *wraz z Familją, zaprasza Krewnych, przyjaciół i Znajomych, na eksportację zwłok, jutro o godzinie 6tej po południu, z domu N 1062 przy ulicy Królewskiej, na smętarz Ewangelicko-Reformowany"* (źródło: www.ebuw.uw.edu.pl).

Pogrzeb odbył się dwa dni po śmierci generałowej, w poniedziałek 11 czerwca 1860 r. Józef Ignacy Kraszewski pod pseudonimem Bogdana Bolesławity opisał to wydarzenia w powieści „Dziecię Starego Miasta", wydanej po raz pierwszy w 1863 roku. Z książki dowiadujemy się, że pogrzeb rozpoczął się w centrum Warszawy w okolicy ulicy Królewskiej. Potem kondukt przeszedł nieistniejącą ulicą Żabią, Elektoralną i Chłodną do rogatek wolskich. Pomimo tego, że był przygotowany karawan do przewiezienia zwłok na cmentarz ewangelicki (Cmentarz Ewangelicko-Reformowany – nazwa obecna), trumna całą drogę na cmentarz była niesiona na ramionach Warszawiaków, którzy często się zmieniali. *„Choć nieboszczka nie lubiła wystawy w niczym, ale umyślnie tak urządzono, aby pogrzeb był okazały: karawan sześciokonny, ludzie z pochodniami, parada wielka (…). Jak tylko wyniesiono ją z domu, nie daliśmy włożyć na wóz, ale chwycili na barki i pochód się ruszył powoli, w milczeniu. Widok był arcywspaniały; ludu, panów, powozów tłok niezmierny, jakem jeszcze na żadnym nie widział pogrzebie, jak żyję... wszystko urządzone i kolej do trumny wyznaczona".* Przemarsz tłumu żałobników przez miasto był obserwowany przez rosyjską policję. Wszystko odbywało się bardzo spokojnie i nie było żadnych prowokacji ani interwencji. *„Patrzali z boku, ino spisywali sobie twarze w pamięci. Próbowali zrazu szeptać: »Po co katolikom iść za luterskim pogrzebem?« Ale się im śmiano w oczy".* Niewielki cmentarz był wypełniony ludźmi. Narastało podniecenie i patriotyczne nastroje. *„Ledwie trumna stanęła na ziemi, a tu jak pochwycą z niej sukno, jak nie zaczną zdzierać na pamiątkę, szarpać, jeden drugiemu wychwytywać, dzielić się, gdyby relikwią. Nawet ogon od sukni szarej jedwabnej, który z trumny wystawał, rozerwano w kawałki drobne (…). Trumna tak była obnażona, że komuś na myśl przyszło rzucić na nią gałąź zieloną. Nuż tedy łamać z drzew i okryli ją całą liśćmi, kwiatami, gałęźmi (…). Pastor bał się powiedzieć, że nieboszczyk był generałem, bo go nim rewolucja zrobiła, a za dawniejszych czasów miał tylko pułkownikostwo. Tylko co wyszepnął: »Wdowa po pułkowniku«, a tu ze wszystkich stron jak nie grzmotną: »Po generale polskim, co zginął pod Wolą!«. Mowy, przyznaję się, nie słyszałem, ale mówią, że była piękna; tylko że się pastor oglądał, bo na niego oczy i uszy mieli wytrzeszczone. Dopieroż gdy ze łzami, żałośnie spuścili trumnę do grobu, posypała się ziemia, bo każdy chciał i tą garścią piasku uczcić zacną niewiastę. Tłum zaczynał się rozchodzić, ale mnie koledzy wstrzymali, bo był jeszcze inny projekt, o którym wiedziałem od rana. Choć deszcz kropił, postanowiono pójść na Wolę, na to miejsce, gdzie zginął Sowiński, i jego pamięci oddać poszanowanie".*

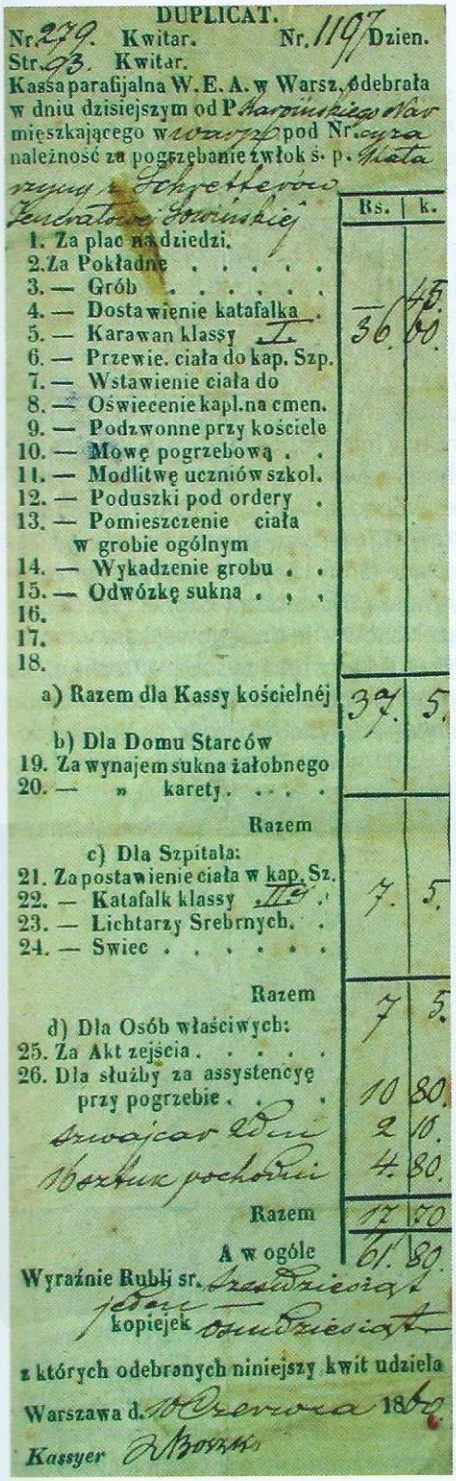

DUPLICAT.

Nr. 279. Kwitar. Nr. 1197 Dzien.
Str. 93. Kwitar.

Kassa parafijalna W. E. A. w Warsz. odebrała w dniu dzisiejszym od P. Karpińskiego Narc. mieszkającego w Warsz. pod Nr. czyra należność za pogrzebanie zwłok ś. p. Katarzyny z Schetterów Jenerałowej Sowińskiej

	Rs.	k.
1. Za plac na dziedzi.		
2. Za Pokładne		
3. — Grób		45.
4. — Dostawienie katafalka .		
5. — Karawan klassy I	36.	60.
6. — Przewie. ciała do kap. Szp.		
7. — Wstawienie ciała do		
8. — Oświecenie kapl. na cmen.		
9. — Podzwonne przy kościele		
10. — Mowę pogrzebową . .		
11. — Modlitwę uczniów szkol.		
12. — Poduszki pod ordery .		
13. — Pomieszczenie ciała w grobie ogólnym		
14. — Wykadzenie grobu . .		
15. — Odwózkę sukna . . .		
16.		
17.		
18.		
a) Razem dla Kassy kościelnéj	37.	5.
b) Dla Domu Starców		
19. Za wynajem sukna żałobnego		
20. — » karety		
Razem		
c) Dla Szpitala:		
21. Za postawienie ciała w kap. Sz.		
22. — Katafalk klassy IIe	7.	5.
23. — Lichtarzy Srebrnych. .		
24. — Swiec		
Razem	7	5.
d) Dla Osób właściwych:		
25. Za Akt zejścia		
26. Dla służby za assystencyę przy pogrzebie . . .	10	80.
Szwajcar 2 Dni	2	10.
16 sztuk pochodni	4	80.
Razem	17	70
A w ogóle	61.	80.

Wyraźnie Rubli sr. sześćdziesiąt jeden kopiejek osiemdziesiąt

z których odebranych niniejszy kwit udziela

Warszawa d. 10 Czerwca 1860

Kassyer Z Broszko

W wielu późniejszych publikacjach podkreśla się fakt, że pogrzeb był pierwszą patriotyczną demonstracją od czasów Powstania Listopadowego.

12 czerwca ukazała się w „Kurjerze Warszawskim" (nr 150) krótka informacja dotycząca pogrzebu generałowej. Na uwagę zwraca fakt, iż nie wymieniono stopnia wojskowego jej męża, uzyskanego w czasie Powstania Listopadowego. Ograniczono się do wspomnienia jednej z jego funkcji: *„Wczoraj liczne grono Krewnych, Przyjaciół i Znajomych, odprowadziło na spoczynek zwłoki ś.p. Katarzyny Sowińskiej, Wdowy po niegdy Józefie Sowińskim b. Komendancie Szkoły Wojskowej Aplikacyjnej b. W.P. Uczczono jej cnoty i prawość, gdyż śmiało dzisiaj po jej skonie wyznać już możemy, że to była jedna z najdobroczynniejszych osób. Całą dążnością jej życia była miłość bliźniego, i dla tego też ani opuszczona sierota, ani wdowa strapiona, nie odchodziły od jej progu bez doznania pociechy moralnej i otrzymania odpowiedniego wsparcia. Ś.P. Katarzyna żyła szczęściem drugich, a BÓG błogosławił jak widać ten żywot, bo przeciągnął dni jej sędziwej starości, to jest do 85 wieku, i dozwolił jej zasnąć tak spokojnie i cicho, jak ciche były jej cnoty i dobrodziejstwa, które drugim świadczyła. Spokój więc twej duszy Ś.P. Katarzyno, która wywołasz jeszcze jedno głębokie westchnienie i po za grobem, przez pamięć na czyny szlachetne!"* (źródło: www.ebuw.uw.edu.pl).

Rachunek, a w zasadzie dowód wpłaty, został znaleziony w Książeczce Legitymacyjnej. Zapewne po załatwieniu formalności związanych z pogrzebem, został złożony i przeleżał w niej do naszych czasów. Jest to cienka kartka z odręcznymi wpisami, zawierająca istotne informacje dotyczące pogrzebu:

„DUPLIKAT
Nr. 279 Kwitar. Nr 1197 Dzien.
Str. 93 Kwitar.
Kassa parafijalna W.E.A. (Wyznania Ewangelicko-Augsburskiego – przyp. P.A.) *w Warsz. Odebrała w dniu dzisiejszym od. P. Karpińskiego Narcyza mieszkającego w Warsz. pod Nr. Należność za pogrzebanie zwłok Katarzyny z Schetterów* (błędna pisownia nazwiska – przyp. P.A.) *Jenerałowej Sowińskiej* (cena usługi była podawana w rublach srebrnych i kopiejkach – przyp. P.A.).

	Rs. K.
Dostawienie katafalka	*–. 45*
Karawan klassy I	*36.60*
Razem dla Kassy kościelnej	*37.05*
Katafalk klassy IIej	*7.05*
Dla służby za assystencję przy pogrzebie	*10.80*
Szwajcar 2 dni	*2.10*
16 sztuk pochodni	*4.80*
Razem	*17.70*
A w ogóle	*61,80*

Wyraźnie Rubli sr. Sześćdziesiąt jeden kopiejek osiemdziesiąt z których odebranych niniejszy kwit udziela Warszawa d. 10 czerwca 1860 Kassyer Z Broszko (? podpis)".

Narcyz Karpiński, który wniósł opłatę za pogrzeb generałowej, był urzędnikiem pocztowym. (Skorowidz mieszkańców miasta Warszawy z przedmieściami na rok 1854 – www.ornatowski.com/index/urzednicypocztowi1815-1871). Mieszkał w 1854 r. na Krakowskim Przedmieściu Nr 385. Nie udało mi się ustalić relacji z generałową Sowińską. Być może był to jej krewny lub był mężem stryjecznej wnuczki.

Początkowo generałowa Sowińska spoczęła w ziemnym grobie (kwatera K-1-5). Aktualnie mogiła jest przykryta marmurową płytą ozdobioną wyobrażeniem krzyża, korony cierniowej i palmowych liści. Większość nagrobka zajmuje napis:

Ś. P.
Katarzyna z Schroederów
SOWIŃSKA
Wdowa
I po Karolu Bogumile Jonas
Konsyliarzu b. Regencji pruskiej
w Warszawie
II po Józefie Sowińskim
generale Wojsk Polskich
poległym na Woli d. 6 września 1831 r.
znalazła spokój w tym grobie
ur. 10 stycznia 1776 r.
zm. d. 9 czerwca 1860 r.

Literatura:
1. Kraszewski Józef Ignacy „Dziecię Starego Miasta", 1863

Piotr Adamczyk
Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie wydział grafiki. Grafik designer, ilustrator, rysownik, malarz, fotografik. Autor dwu książek: „Staropolskie nalewki", „Kuchnia staropolska". Hobby: Poszukiwanie „skarbów" szczególnie tych małych, historia, zielarstwo, kuchnia, literatura.

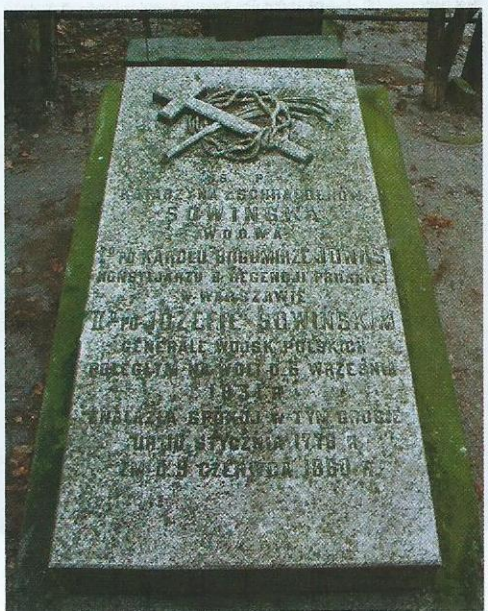

Kasa NSDAP

TEKST: WOJTEK STOJAK
ZDJĘCIA: MAŁGORZATA STOJAK

Budujemy Unię aż furczy. Wszystko będzie nowe, równe, wyłożone kafelkami, aby ludziom żyło się bardziej po ludzku. Wszystko będzie sprawne i funkcjonalne, żebyśmy szybciej mogli dojechać do pracy. A dla bezpieczeństwa ustawi się na każdym rogu kamery i fotoradary. Dobrze będzie! Potem w referendum poprosimy o wszczepienie czipa, żebyśmy mogli przekraczać granice bez dowodu nawet. Co ja plotę? Jakie granice? Nie będzie granic tylko Unia z urzędowym językiem niemiecko-francuskim. Ale wolności, odrębności, lokalności i wielokulturowości zostaną zachowane. Każde dawne państwo będzie miało narodowy zespół pieśni i tańca. No! Dobrze będzie! Ponieważ jednak budując **nowe** trzeba zburzyć **stare** – to się burzy, i czasem z gruzów coś wypadnie. Właśnie wypadło! Kasa NSDAP z dokumentami z czasu Festung Breslau. Zanim zacznę pisać na temat, należy zastrzec, że przedstawiona wyżej wizja świetlanej przyszłości jest, tylko i wyłącznie, indywidualną wizją Autora, czyli moją.

Maj 1945 roku. Nieprzerwaną palbę ręcznej broni, zagłuszaną od czasu do czasu wystrzałem „acht koma acht" ustawionego pod wiaduktem kolejowym na Brüderstrasse słychać bardzo wyraźnie. Rosjanie są już niedaleko. Nasyp kolei obwodowej stanowi co prawda mocną linię obrony, ale... Führer nie żyje, upadł już Berlin. Breslau jest samotnym bastionem, wyspą wśród sowieckiego morza. Deblokada miasta przez wojska Schörnera, o której mówiło się od początku oblężenia, nie jest chyba realna, bo gdyby miała być, to już by była. Czyli to koniec! Tak myślał funkcjonariusz NSDAP Blockleiter Karl Feike, patrząc na porozkładane na biurku papiery. Tylko myślał, bo Karl Hanke, gauleiter Niederschlesien, nie tolerował defetyzmu. I dobrze. Dyscyplina w takich warunkach jest konieczna. Mimo ciągle zacieśniającego się pierścienia sowieckich wojsk, mimo bombardowań i ostrzału artylerii w mieście nie było chaosu. Wszystko funkcjonowało. Każdy spełniał swój obowiązek, i żołnierz, i cywil, i Parteigenosse. Szczególnie Parteigenosse! Blockleiter Feike poczuł coś w rodzaju dumy, którą w następnej sekundzie przytłumiło zmartwienie i niepewność: nie było żadnych rozporządzeń na wypadek zajęcia jego rejonu przez Ruskich. – *Co wtedy? Zniszczyć dokumenty? Nie wolno zniszczyć, odpowiadam za nie.* Na okładce Wertmarkentasche der NSDAP kazali nawet nakleić ostrzeżenie, że teczka bonów jest własnością NSDAP, i jeśli w przypadku utraty znalazca nie odda jej właścicielowi, grozi mu minimum trzy miesiące Gefängnis. A za zniszczenie państwowej własności pewnie nie mniej niż rok więzienia. I jaki wstyd w rodzinie i wobec sąsiadów, i NSDAP Kameraden. Aż się wzdrygnął. Zostawić? To jeszcze gorzej niż zniszczyć. Zabrać ze sobą? A jak zostanę ranny i papiery rozsypią się po całej ulicy? Dokumenty muszą być zabezpieczone. Przecież co wieczór mam obowiązek chować je do stalowej kasy wmurowanej w ścianę i zamykać. A klucz brać ze sobą. – *Trochę mi się tu narobiło bałaganu przez to ciągłe latanie do Luftschutzraumu podczas bombardowania* – pomyślał, bo podczas bombardowania, gdy opuszczał pomieszczenie, dokumenty też musiały być zamknięte w kasie. – *W pośpiechu zgarniałem je byle jak i wszystko się pomieszało. Teraz będę miał robotę. Bo dokumenty, to dokumenty. Ordnung muss sein!* Usiadł przy biurku i wziął pierwszą z brzegu kartkę, „Operacja »Bartold«"? Minęły dopiero cztery miesiące, a wydaje się jakby to było przed wiekami! Sowieci przełamali linię Wisły 13 stycznia, a my budowaliśmy wczesne linie oporu jesienią czterdziestego czwartego na linii Oleśnicy i Jelcza. Zerknął na datę zawiadomienia. No tak, jego własne pismo z 13 grudnia 1944 r. wzywało mieszkańców do pracy przy umocnieniach. – *Nie pamiętam już tych zarządzeń, czas płynie tak szybko. Front stał ciągle na Wiśle, a w Breslau wszystkie kina były czynne.* Wziął następną małą karteczkę

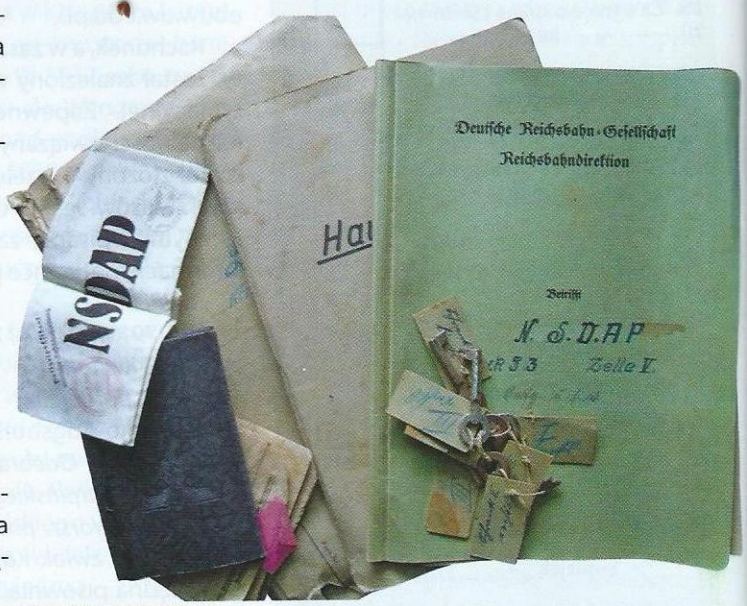

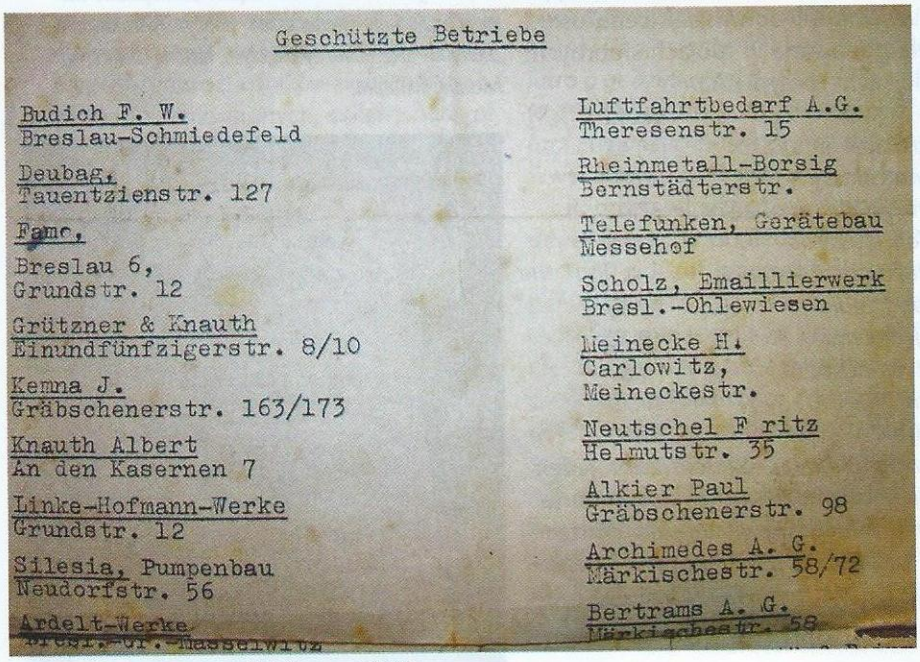

Geschützte Betriebe

Budich F. W.
Breslau-Schmiedefeld

Deubag,
Tauentzienstr. 127

Famo,
Breslau 6,
Grundstr. 12

Grützner & Knauth
Einundfünfzigerstr. 8/10

Kemna J.
Gräbschenerstr. 163/173

Knauth Albert
An den Kasernen 7

Linke-Hofmann-Werke
Grundstr. 12

Silesia, Pumpenbau
Neudorfstr. 56

Ardelt-Werke

Luftfahrtbedarf A.G.
Theresenstr. 15

Rheinmetall-Borsig
Bernstädterstr.

Telefunken, Gerätebau
Messehof

Scholz, Emaillierwerk
Bresl.-Ohlewiesen

Meinecke H.
Carlowitz,
Meineckestr.

Neutschel Fritz
Helmutstr. 35

Alkier Paul
Gräbschenerstr. 98

Archimedes A. G.
Märkischestr. 58/72

Bertrams A. G.

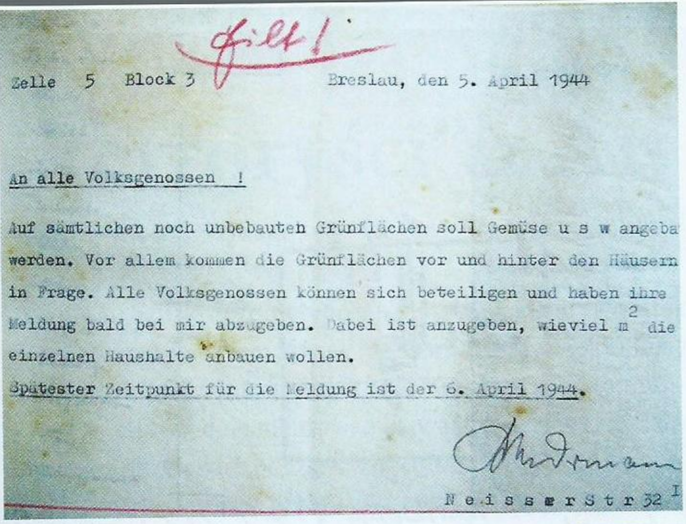
Zelle 5 Block 3 Breslau, den 5. April 1944

An alle Volksgenossen !

Auf sämtlichen noch unbebauten Grünflächen soll Gemüse u s w angeba
werden. Vor allem kommen die Grünflächen vor und hinter den Häusern
in Frage. Alle Volksgenossen können sich beteiligen und haben ihre
Meldung bald bei mir abzugeben. Dabei ist anzugeben, wieviel m^2 die
einzelnen Haushalte anbauen wollen.

Spätester Zeitpunkt für die Meldung ist der 6. April 1944.

Neisserstr 32 I

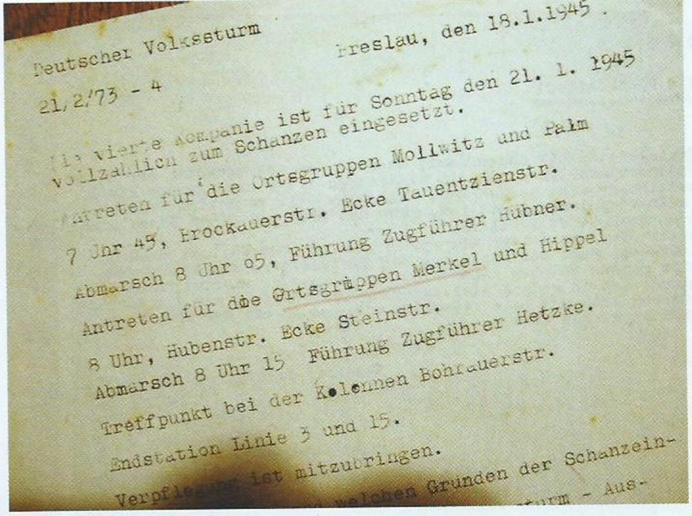
Deutscher Volkssturm Breslau, den 18.1.1945 .

21/2/73 - 4

Die vierte Kompanie ist für Sonntag den 21. 1. 1945
vollzählich zum Schanzen eingesetzt.

Antreten für die Ortsgruppen Mollwitz und Palm
7 Uhr 45, Brockauerstr. Ecke Tauentzienstr.
Abmarsch 8 Uhr 05, Führung Zugführer Hübner.

Antreten für die Ortsgruppen Merkel und Hippel
8 Uhr, Hubenstr. Ecke Steinstr.
Abmarsch 8 Uhr 15 Führung Zugführer Hetzke.

Treffpunkt bei der Kolonnen Bohrauerstr.
Endstation Linie 3 und 15.

Verpflegung ist mitzubringen.

... welchen Gründen der Schanzein-
...sturm - Aus-

kę. Małą, bo papieru było już brak, więc normalną maszynową kartkę A-4 ciął na cztery części i na takich karteczkach pisał. Znowu Luftschutz – ochrona przeciwlotnicza. Tych było najwięcej, bo mieszkańcy nie bardzo wierzyli w celowość różnych zarządzeń dotyczących bezpieczeństwa przed, w trakcie i po bombardowaniu. Przecież żadnego bombardowania wtedy jeszcze nie było, a tu ciągle ćwiczenia, próbne alarmy, zapamiętać w której piwnicy jest schron, posypać podłogę pomieszczenia wapnem, powiększyć malowane wapnem białe strzałki na ścianach budynków wskazujące wejście do Luftschutzkeller, w mieszkaniach wiadra z wodą, na każdym podeście klatki schodowej tyle i tyle piasku, tyle i tyle wody, w mieszkaniu w prawym rogu przy drzwiach Luftschutzpackung, a w nim blaszany talerz-kubek, jakaś manierka z wodą, jak zawyją syreny otworzyć wszystkie okna na oścież, mimo że oklejone paskami papieru. No zwariować przecież można. A ten Blockleiter albo nawet Zellenleiter z NSDAP ciągle sprawdzają i wysyłają upomnienia. Następna kartka: *– zawiadomienie o ewakuacji zbędnej w twierdzy ludności cywilnej ze stycznia. Nie było pociągów. Poszli pieszo szosą na Kanth. To było straszne, mnóstwo ludzi zamarzło. I dzieci. No cóż, wojna. Więcej by zginęło, gdyby zostali w Breslau. Powinienem od razu sortować te dokumenty według dat* – pomyślał i wziął następny papierek z kwietnia 44. Przeczytał i uśmiechnął się. – *Pamiętam, kazałem zgodnie z zaleceniami zgłaszać powierzchnię niezabrukowanych kawałów gruntu, na których można by uprawiać warzywa. I znowu Luftschutz! Plany poszczególnych domów na Neisserstraße i Ofenerstraße z piwnicami wytypowanymi na schrony dla lokatorów. Ile to było roboty, Mein Gott!* Następna kartka: lista zakładów chronionych. *– Ich pracowników nie wolno było angażować do innych zajęć, najważniejsze było to, co robili w pracy.* Następna! *Z osiemnastego stycznia tego roku. Dotyczy „Volkssturmu". Sporo moich kolegów wtedy powołano.* Dalej bezmyślnie przerzucał stos papierków, nie próbując nawet poukładać je chronologicznie. Było tego po prostu za dużo. Mieszanina dokumentów dotyczyła ostatnich paru miesięcy. Zniechęcony wpatrywał się w stos papierów i jeszcze raz te miesiące przeżywał. – *Ruscy przyszli w zimie, a już wszystko kwitnie. Na działce nie byłem ani razu, chwasty pewnie wszystko zarosły, bo wiosna przyszła wcześnie w tym roku. A teraz na mojej działce w wychuchanym drewnia-*

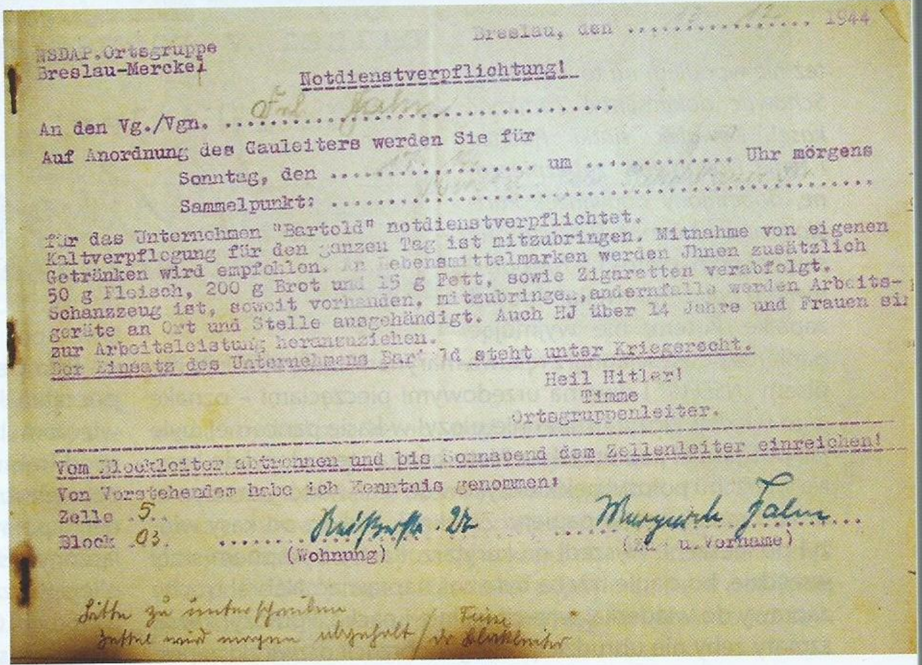
Breslau, den 1944

NSDAP.Ortsgruppe
Breslau-Merckel

Notdienstverpflichtung!

An den Vg./Vgn. ....

Auf Anordnung des Gauleiters werden Sie für

Sonntag, den .... um .... Uhr morgens

Sammelpunkt: ....

für das Unternehmen "Bartold" notdienstverpflichtet.
Kaltverpflegung für den ganzen Tag ist mitzubringen. Mitnahme von eigenen
Getränken wird empfohlen. An Lebensmittelmarken werden Ihnen zusätzlich
50 g Fleisch, 200 g Brot und 15 g Fett, sowie Zigaretten verabfolgt.
Schanzzeug ist, soweit vorhanden, mitzubringen, andernfalls werden Arbeits-
geräte an Ort und Stelle ausgehändigt. Auch HJ über 14 Jahre und Frauen si
zur Arbeitsleistung heranzuziehen.
Der Einsatz des Unternehmens Bartold steht unter Kriegsrecht.

Heil Hitler!
Timme
Ortsgruppenleiter.

Vom Blockleiter abtrennen und bis Sonnabend dem Zellenleiter einreichen!

Von Vorstehendem habe ich Kenntnis genommen:

Zelle 5.
Block 03. .... (Wohnung) .... (Zu- u. Vorname)

nym domku Ruscy wódkę piją. Siedział, palił przydziałowego Juno i bezmyślnie wpatrywał to w zawalone papierami biurko, to w ścianę i czarną dziurę otwartej, pustej teraz służbowej kasy. Odpowiadał za dokumenty, a było polecenie żeby zabezpieczyć je przed zniszczeniem i przed Ruskimi. Tylko nikt nie powiedział jak? Jego rejon, ulice Neisserstraße i Ofenerstraße w dzielnicy Dürrgoy, którą po wojnie nazwą Tarnogaj, były już na Hauptkampflinie. Mieszkańcy ewakuowani ze strefy walk. *– Moja praca się zakończyła. Trzeba coś zrobić z dokumentami.*

Przednia ścianka kasy z drzwiczkami była zagłębiona na parę centymetrów w ścianie, zawsze go to denerwowało, bo otwierając kasę nieostrożnie, za szybko, wykruszał tynk na krawędzi. Nagle dotarło do niego, że rozwiązanie jest, i to bardzo proste. – ***Zamurować! Zatynkować!*** *To takie oczywiste. Że*

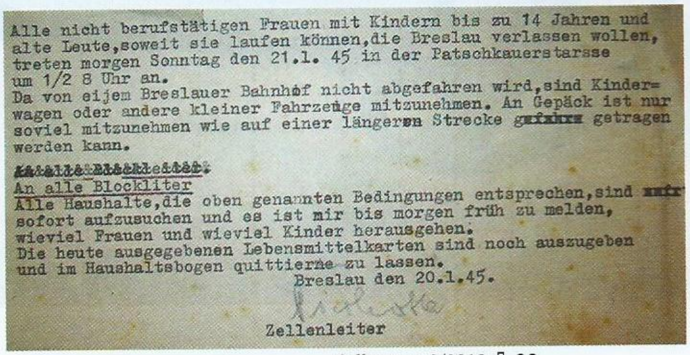
Alle nicht berufstätigen Frauen mit Kindern bis zu 14 Jahren und
alte Leute, soweit sie laufen können, die Breslau verlassen wollen,
treten morgen Sonntag den 21.1. 45 in der Patschkauerstarsse
um 1/2 8 Uhr an.
Da von eijem Breslauer Bahnhof nicht abgefahren wird, sind Kinder=
wagen oder andere kleiner Fahrzeuge mitzunehmen. An Gepäck ist nur
soviel mitzunehmen wie auf einer längeren Strecke getragen
werden kann.

An alle Blockliter
Alle Haushalte, die oben genannten Bedingungen entsprechen, sind
sofort aufzusuchen und es ist mir bis morgen früh zu melden,
wieviel Frauen und wieviel Kinder herausgehen.
Die heute ausgegebenen Lebensmittelkarten sind noch auszugeben
und im Haushaltsbogen quittierne zu lassen.
Breslau den 20.1.45.

Zellenleiter

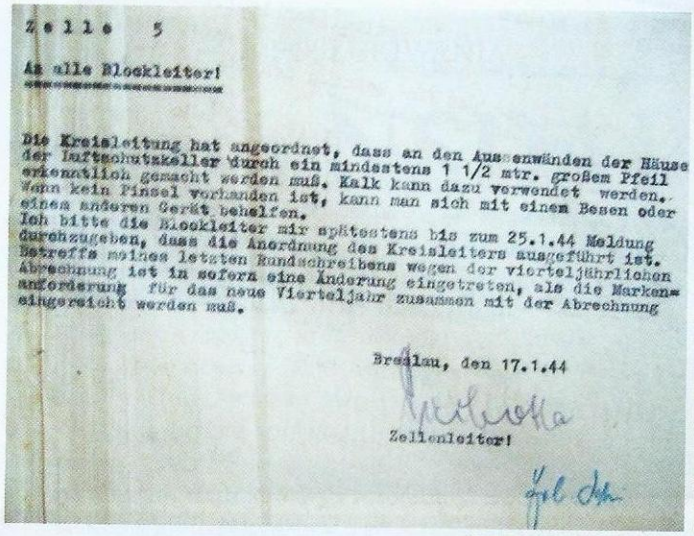

Zelle 5

An alle Blockleiter!

Die Kreisleitung hat angeordnet, dass an den Aussenwänden der Häuse der Luftschutzkeller durch ein mindestens 1 1/2 mtr. großem Pfeil erkenntlich gemacht werden muß. Kalk kann dazu verwendet werden. Wenn kein Pinsel vorhanden ist, kann man sich mit einem Besen oder einem anderen Gerät behelfen.
Ich bitte die Blockleiter mir spätestens bis zum 25.1.44 Meldung durchzugeben, dass die Anordnung des Kreisleiters ausgeführt ist.
Betreffs meines letzten Rundschreibens wegen der vierteljährlichen Abrechnung ist in sofern eine Änderung eingetreten, als die Markenanforderung für das neue Vierteljahr zusammen mit der Abrechnung eingereicht werden muß.

Breslau, den 17.1.44

Zellenleiter!

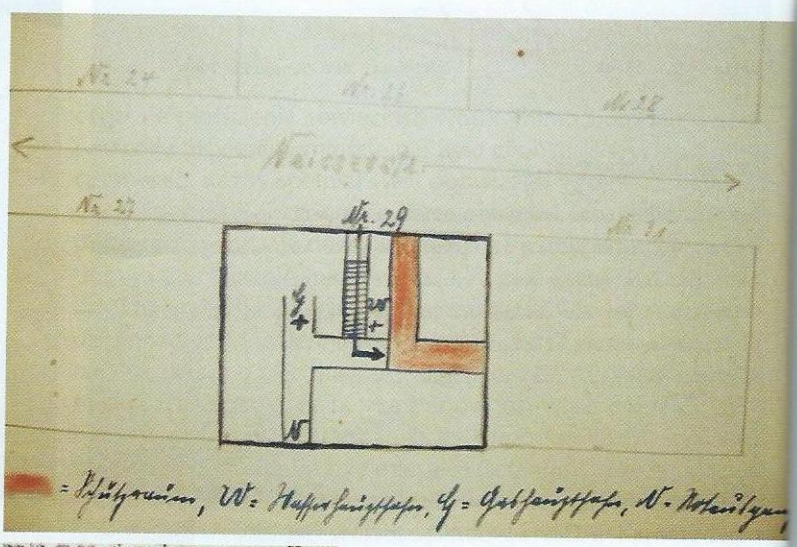

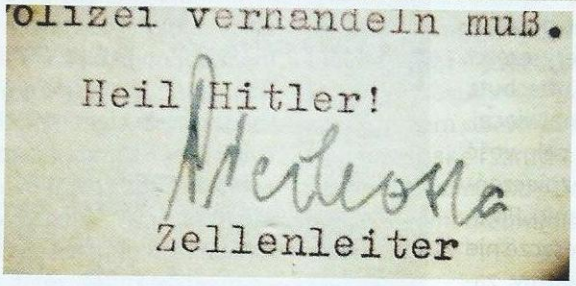

olizei verhandeln muß.

Heil Hitler!

Zellenleiter

też nie wpadłem na to wcześniej. Schować dokumenty! Zamknąć kasę! Kawałek siatki Rabitza i tynk! Dokumenty zabezpieczone, dopełniony obowiązek Parteigenosse i Niemca. Rozluźniony sięgnął po papierosa. – *Nie powinienem palić* – pomyślał i potarł zapałkę. Potem, nie wyjmując papierosa z ust ściągnął z rękawa marynarki białą opaskę z napisem *„NSDAP"* i dwoma urzędowymi pieczęciami – oznakę jego władzy, złożył i starannie ułożył w kasie pancernej, byle jak pozgarniał papierzyska z blatu biurka i też włożył do kasy. Na wierzchu położył pęk kluczyków do szaf, w których trzymał druki i mniej ważne papiery. Zamknął, a klucz od kasy włożył do kieszeni. Wyszedł na korytarz. Kastry z wapnem stały wszędzie, bo ciągle trzeba było coś naprawiać. Nabrał trochę zaprawy do wiaderka, wrzucił kielnię i packę. Podłożył kawał szmaty żeby nie ubrudzić podłogi i obrzucił drzwiczki zaprawą. Zatarł i spojrzał zadowolony na swoje dzieło. Fertig! Nie było znać, że pod tynkiem coś jest. – *No pewnie, że nie znać, w końcu to mój zawód. Jeszcze nie zapomniałem murarki. Jutro muszę się zameldować u Zellenleitera po nowe instrukcje. Na dzisiaj mam dość! Już noc.* Wyszedł ze swego pokoju i znowu sięgnął do kieszeni po papierosa. – *Nie powinienem palić* – pomyślał, grzebiąc jednocześnie w pudełku zapałek. Pchnął wielkie drzwi i wyszedł na zewnątrz. Papierosa zapalił już na ulicy i zaciągnął się głęboko. Przystanął i popatrzył w czerwone od pożarów niebo. – *Właściwie po co mi ten papieros, powietrze jest pełne dymu. Breslau płonie. Zmęczony jestem. Przecież mam już sześćdziesiąt pięć lat. Mam dość! Wszystkiego! Wojny, pracy, nerwów i strachu. Może lepiej niech się to wszystko już skończy.* Wzdrygnął się, przestraszony własnymi myślami.

Była ciepła majowa noc 1945 roku, jak wszystkie noce od początku kwietnia rozświetlona pożarami. Wyjątkowo tego wieczora było cicho. Ciężka sowiecka artyleria strzelająca spod Trebnitz milczała. Nad przyczajonym w tej ciszy miastem bezszelestnie, jak sowy, szybowały dwupłatowe „Nähmaschinen" i polowały na ludzi. Nawet na pojedynczych ludzi. Z wyłączonym silnikiem pojawiały się nad ulicą jak duch i sowieccy piloci wyrzucali z kabiny małe bombki, gdy zauważyli na dole jakiś ruch. Czasem w nocnej ciszy słychać było z nieba śmiech i rosyjskie słowa. Blockleiter Karl Feike usłyszał jeszcze rosyjski śmiech. – *Śmieją się po niemiecku* – pomyślał. I umarł.

Ps. Tel. 71 354 54 40

Wojtek Stojak

Przyjaciel i wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Niegdysiejszy geolog, dzisiaj poszukiwacz-emeryt. Nestor polskich eksploratorów. Twórca cieszącego się ogromną popularnością, emitowanego w latach 90., cyklicznego programu telewizyjnego „Klub Poszukiwaczy Skarbów".

REKLAMA

„Terroryści" z AK

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
DOKUMENTY: IPN

Historia ta będzie dość nietypowa. Owszem, pojawi się wątek poszukiwań, tym razem jednak nie skarbu, lecz po raz kolejny depozytu Armii Krajowej. Skrytka nie miała zawierać kosztowności czy tajnych dokumentów, a listy ewidencyjne członków jednego z niewielkich oddziałów partyzanckich i kilka pistoletów. Z pozoru niewinna próba ich odzyskania przeprowadzona na początku lat 80. sprowokowała zakrojone na szeroką skalę śledztwo Służby Bezpieczeństwa, która uznała to działanie za *„noszące znamiona terroryzmu politycznego"*...

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH

JAWNE

TAJNE
spec. znaczenia

SPRAWA
OPERACYJNEGO SPRAWDZENIA

Tom I

Kryptonim „ARCHIWUM"

Nr ewidencyjny BB-5559

Nr archiwalny

Kategoria akt

Zaczęto dn. 13.11. 1981 r.

Zakończono dn. 7.09 19[illegible] r.

IPN Ka/047/1251

EO-77/74

H 1816

T.AT. B
10

Teczka sprawy.

Wszystko zaczęło się od meldunków, niezwykle skrupulatnego i aktywnego informatora bielskiej Służby Bezpieczeństwa o banalnym, lecz swojsko brzmiącym pseudonimie „Zenek". Pod koniec października 1981 roku doniósł swym mocodawcom, że w niewielkiej wsi Chrząstowice w gminie Brzeźnica, kilku jej mieszkańców, jak sugerował nieujawnionych nigdy członków miejscowego oddziału Armii Krajowej, *„planuje odnowić działalność"*. Tak przynajmniej zasugerował w meldunku, opierając się zapewne na zasłyszanych rozmowach i opiniach: *„Według mojej oceny opisani wyżej byli członkowie AK są wrogo ustosunkowani do ustroju PRL, twierdzą, że gdyby władzę objął rząd londyński, z którym oni współpracowali, nie doszłoby do takiego kryzysu jaki jest obecnie. Mieliby większy szacunek, że przyczynili się do walki z hitleryzmem. A nie ujawnili się po wyzwoleniu, ze względu na obawę przed konsekwencjami. Do Związku Radzieckiego są ustosunkowani negatywnie i nie widzą z nim żadnych sojuszów. Wspominają o morderstwie Polaków w Katyniu"*. Za rozgoryczeniem i cierpkimi słowami krytyki miały kryć się jednak działania znacznie bardziej niepokojące. W kolejnych donosach „Zenek" informował bowiem SB, że od jakiegoś czasu, oprócz wygłaszania niepoprawnych politycznie poglądów, „podejrzani" posunęli się znacznie dalej. Kilka miesięcy wcześniej, latem 1981 roku mieli podjąć się dwóch prób wydobycia ukrytych w 1945 roku, nieopodal jednego z okolicznych gospodarstw, dokumentów i... co gorsza broni: *„Dokumenty te zachowali we flaszkach zakopując w ziemi koło stodoły w ówczesnym miejscu zamieszkania (...). Natomiast na rogu domu, gdzie mieściły się dwie wierzby jest (...) zachowane to, co do Niemców kropiło i dobrze zakonserwowane – to znaczy broń"*. Być może ta informacja nie wzbudziłaby specjalnego zainteresowania, gdyby nie fakt, że starający się ją odzyskać *„(...) mówili, że broń ta gdyby była sprawna, to przydałaby się w razie rewolucji celem rozliczenia się z komunistami (...)"*. Zwierzenia – snute zapewne w emocjach, być może po alkoholu, w przeddzień Stanu Wojennego i w obliczu zaostrzonej sytuacji polityczno-społecznej, zostały przez SB potraktowane niezwykle poważnie. Nie miało już znaczenia, że Tw. „Zenek" twierdził, iż poszukiwania każdorazowo kończyły się niepowodzeniem. I to mimo dość zaawansowanych prób, gdyż byli członkowie AK szukali nie tylko ręcznie, lecz również starali się pozyskać od znajomego spychokoparkę, aby pod pozorem prac ziemnych przekopał wskazane miejsca. Bezskutecznie. Co więcej, dość szybko się poddali, o czym wyraźnie donosił informator. Zawiesili swoje plany ze względu na sytuację w kraju, obawy przed sankcjami i bezpośrednio już ze względu na pojawienie się w pobliskiej Brzeźnicy wojskowej grupy operacyjnej. Nie miało to już żadnego znaczenia.

SB na tropie

Paradoksalnie, w momencie gdy „podejrzani" podjęli tę decyzję, Służba Bezpieczeństwa prawie z tych samych względów zdecydowała się na objęcie ich postępowaniem sprawdzającym. Co więcej, po przeanalizowaniu przez SB doniesień „Zenka", opisana w nich sytuacja zyskała wymiar niemalże potencjalnego zagrożenia terrorystycznego, co zostało ujęte w niezwykle dosadny sposób: *„Mając na uwadze trudną sytuację wewnętrzną w kraju, aktywizację różnych elementów i sił ekstremistycznych, anarchistycznych i wrogich, jak również notowane wypowiedzi ze strony byłych członków podziemia politycznego i zbrojnego o charakterze pogróżkowym – zachodzi uzasadnione podejrzenie, że w przypadku odnalezienia przez w/wym broni, może ona być użyta dla celów przestępczych, noszących znamiona terroryzmu politycznego wobec działaczy państwowych"*. Oczywiście problemem nie były wspomniane wcześniej dokumenty, lecz broń. Jak udało się później ustalić „Zenkowi" – 2 lub 3 pistolety kal. 7,65 mm. Ukryte w 1945 roku, pewnie jako sprawne egzemplarze, dobrze wówczas zakonserwowane na wypadek, gdyby ponownie okazały się potrzebne, mogły w świetle analiz SB trafić w niepowołane ręce umiejących się nimi doskonale posługiwać byłych członków Armii Krajowej. W dodatku nieujawnionych i o potwierdzonych antypaństwowych poglądach. Tym samym: *„W świetle zaistniałej sytuacji*

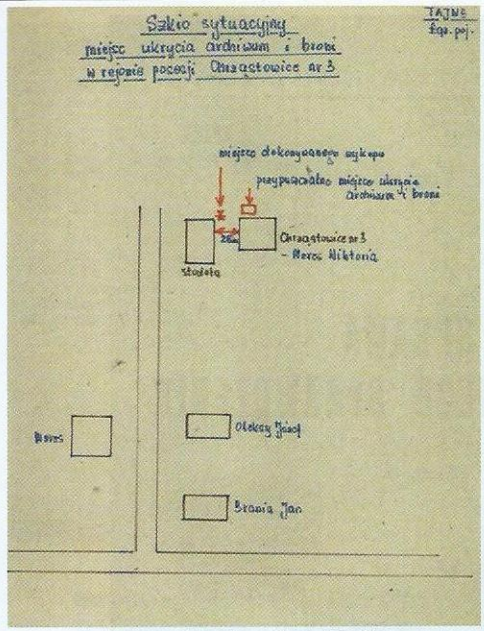

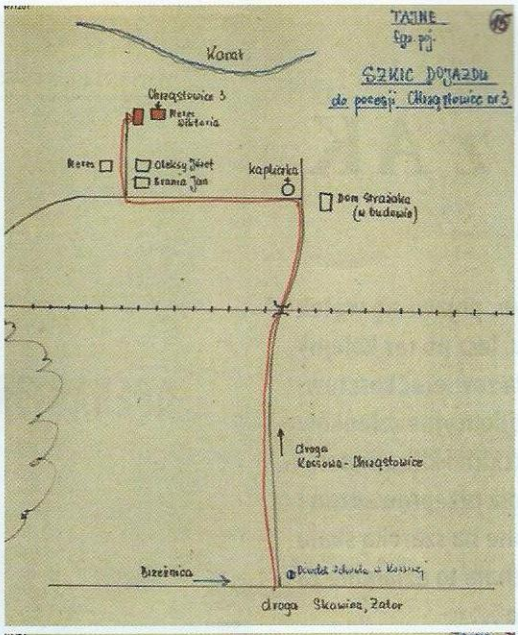

Jeden z pierwszych szkiców sytuacyjnych.

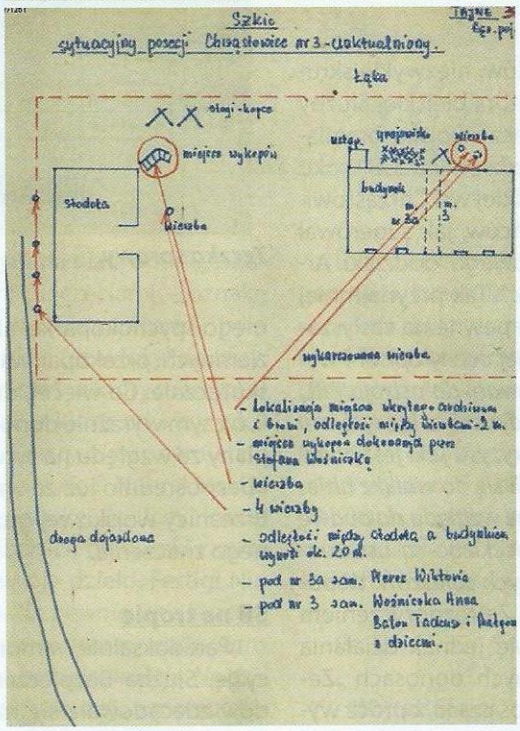

Jak widać po rysunku, wierzb w okolicy zabudowań było znacznie więcej.

operacyjnej postanowiono założyć sprawę operacyjnego sprawdzenia kryptonim »Archiwum«, której celem jest sprawdzenie czy istotnie podjęte działania przez grupę b. nieujawnionych członków AK nie są następstwem wrogiego działania, pełnego i wnikliwego rozpoznania składu osobowego grupy oraz ich zamierzeń. Ponadto końcowym elementem sprawy jest odnalezienie zakopanej broni, jej zakwestionowanie dla ewentualnych celów procesowych, a tym samym zlikwidowanie zagrożenia".

Infiltracja

W związku z rozpoczętą sprawą tajny współpracownik „Zenek" stał się od tego momentu głęboko zakamuflowanym infiltratorem, objętym parasolem ochronnym Służby Bezpieczeństwa. Przedsięwzięto szereg czynności odwracających uwagę otoczenia od jego osoby, by nie padł na niego nawet cień podejrzeń o współpracę z SB. Przeprowadzono również działania dezinformujące, mające na celu odwrócić uwagę byłych członków AK i lokalnej społeczności od głównego celu dochodzenia, jakim było uzyskanie precyzyjnych informacji na temat lokalizacji skrytki z pistoletami. Wprowadzone środki ostrożności wynikały z faktu, że jedynie „Zenek" mógł uzyskać kluczowe dla sprawy informacje. Łączyły go bowiem dość bliskie więzy pokrewieństwa z inicjatorami poszukiwań, a także innymi mieszkańcami wsi mogącymi mieć związek ze sprawą. Jego dekonspiracja mogła więc mieć daleko posunięte dla niego konsekwencje, zważywszy na to, że zwyczajnie donosił i zdradzał swych najbliższych. W razie wpadki, bądź braku efektów inwigilacji podejrzanych, bezpieka miała jednak plan awaryjny. Zamierzała bowiem na podstawie dotychczas ustalonych szczegółów i posiadanej wiedzy doraźnie przeprowadzić po-

Szczegółowość schematów może sugerować, że skrytka zawiera coś więcej niż partyzancki depozyt.

szukiwania *„przez grupę operacyjno-śledczą KWMO przy udziale żołnierzy specjalistów-saperów"*, lub *„przeprowadzenie kombinacji operacyjnej – akcji wspólnie z Wydziałem Śledczym tut. KWMO oraz żołnierzami miejscowej jednostki wojskowej pod legendą poszukiwania niewypałów, celem odnalezienia zakopanej broni i jej zakwestionowanie dla ewentualnych celów procesowych"*. Proponowano więc dość finezyjne rozwiązanie, świadczące o sporym doświadczeniu SB w tego typu sprawach. By jednak je przeprowadzić i jednocześnie nie działać na ślepo, należało wciąż doprecyzować informacje na temat lokalizacji skrytek. Było to tym trudniejsze, że od dłuższego czasu „Zenek" nie był w stanie niczego nowego się dowiedzieć, gdyż byli członkowie AK do sprawy poszukiwań w rozmowach już nie wracali.

Króliki

„Zenek", by wykazać jakiekolwiek rezultaty zaczął desperacko chwytać się każdego punktu zaczepienia. Dowiedział się na przykład, że z gospodarstwa, przy którym miało być zakopane archiwum, skradzione zostały... *„2 lub 3 króliki"*. Było to o tyle istotne, że właścicielka gospodarstwa i królików była również krewną głównego inicjatora poszukiwań. Co więcej, na tyle sędziwą, by pamiętać okoliczności zakopania pod swym domem broni i dokumentów. W związku z tym „Zenek" proponował, aby porozmawiać z pechową gospodynią *„pod pozorem legendy kradzieży królików"* na temat okupacji, i jej ewentualnej wiedzy o aktywności oddziału AK, którego członkowie mieli spotykać się również w jej domu. Niestety nie przedstawił w jaki sposób płynnie przejść z tematu utraconych kłapouchów do ponurych czasów II wojny światowej. Ale wbrew pozorom królicza legenda spodobała się na tyle przełożonym z SB, że postanowili ją faktycznie wykorzystać podczas rozmowy ze starszą Panią. Miała ona jednak dotyczyć zupełnie innego zagadnienia. Mianowicie odbyć się *„pod kątem ewentualnego ustalenia powodów, dla których »Zenek« tak chętnie pomaga w temacie archiwum i broni zakopanej w posesji Chrząstowice nr 3. Należy domniemywać, iż może zachodzić tu typowy konflikt rodzinny"*. Weryfikacja wiarygodności osobowego źródła informacji była typowa w przypadku tego rodzaju współpracy, zwłaszcza, jeżeli było ono jednostronne. Innymi słowy, bezpieka musiała się opierać tylko i wyłącznie na jednym informatorze. Mimo jego niezaprzeczal-

nych zalet, jakim były jego bliskie relacje z byłymi żołnierzami AK, zawsze zachodziło podejrzenie, że motywacją donosów jest konflikt rodzinny, zemsta lub osobiste porachunki. W tym wypadku udało się wykluczyć taką ewentualność, jednak i tak należało wejść w niezależny kontakt z osobami powiązanymi ze sprawą. Dlatego też planowano, już bez pośrednictwa dotychczasowego informatora, *„przeprowadzić rozmowy sondażowe z byłymi członkami miejscowego podziemia. Pozwoli to bowiem na lepsze ukrycie /konspirowanie/ w środowisku TW. ps. »Zenek« w wypadku podjęcia działań poszukiwawczych przez SB zakopanej broni. W rozmowach tych w żadnym wypadku nie należy nawiązywać do sprawy archiwum i broni".*

Kontrola p.poż

Był początek grudnia 1981 roku, gdy we wsi pojawili się umundurowani funkcjonariusze MO. *„Pod pozorem kontroli p.poż, spraw meldunkowych oraz dokonywania kradzieży inwentarza"*, prowadzący sprawę esbek wspólnie z milicjantem pobliskiego posterunku odwiedzili Chrząstowice, a szczególnie domy byłych żołnierzy Armii Krajowej. Celem wizyty, z pozoru rutynowej, było rozpoznanie panujących we wsi stosunków, a także konfliktów sąsiedzkich i rodzinnych pomiędzy zaangażowanymi w sprawę. Funkcjonariusze mieli też za zadanie odwrócić uwagę lokalnej społeczności od głównego, całkowicie toczonego poza jej wiedzą, dochodzenia w sprawie ukrytej broni. Wieś huczała więc od plotek, lecz nikomu nawet nie przyszło do głowy, że niespodziewana wizyta władzy mogła mieć cokolwiek wspólnego z planami byłych żołnierzy AK. Milicjanci złożyli przy okazji również wizytę prezesowi koła gminnego ZBoWiD w pobliskiej Brzeźnicy, który notabene był kuzynem nieżyjącego dowódcy oddziału AK z Chrząstowic. W jej wyniku niewiele dało się ustalić, poza faktem, że nikt z mieszkańców wsi nie należał do Związku i nie posiadał żadnych związanych z tym przywilejów. Informacja ta jednak została całkowicie zignorowana i uznana za nieistotną. Tymczasem wydaje się mieć kluczowe znaczenie. Nie uprzedzając jednak faktów, przyjrzyjmy się ciągowi dalszemu tej sprawy.

Gdzie jest schowek?

W związku z impasem, nie pozostało nic innego, jak przeanalizować dotychczas zebrane dane. Informacji było już tyle, że SB była w stanie przygotować szczegółowe szkice z naniesionymi opcjami umiejscowienia depozytów. Wydaje się wręcz, że od pewnego momentu bezpieka posiadała w tym względzie dużo większą wiedzę, niż... główni zainteresowani. Od samego początku bowiem, gdy byli członkowie AK podjęli się poszukiwań ukrytych w 1945 roku dokumentów i broni, pojawił się problem z ich precyzyjną lokalizacją. Okazało się też, w miarę upływu czasu, że żaden z nich nie brał bezpośrednio udziału w zakopaniu depozytu, a szczegóły dotyczące lokalizacji przekazał inicjatorowi poszukiwań jego ojciec, biorący bezpośrednio udział w akcji. Nie mógł mu w żaden sposób niestety już pomóc, gdyż zmarł niedługo po wojnie. Wiadomo było, że kluczem do tajemnicy skrytki, były dwie wierzby rosnące obok jednego z gospodarstw we wsi. Pomiędzy nimi partyzanci wykopali dół i złożyli depozyt. Wszelako problem polegał na tym, że jedno z drzew, nie tyle zostało wycięte, co wykarczowane i nie został po nim żaden ślad. Również w ludzkiej pamięci. Tym samym brakowało najistotniejszej wskazówki, chociaż obszar poszukiwań nie był zbyt znaczny. Zachodziło również podejrzenie, że w trakcie karczowania wierzby, odnaleziono przy okazji schowek.

Nadszedł jednak 13 grudnia 1981 roku i już nikt, ani SB, ani tym bardziej b. członkowie AK nie mieli czasu i ochoty poszukiwać depozytu. Przez kolejne 3 lata „Zenek" raz lub dwa razy do roku wspominał w swych meldunkach o sprawie, lecz w związku z sytuacją polityczno-społeczną, wciąż obowiązującym stanem wojennym i możliwymi sankcjami, nikt z zainteresowanych o odzyskaniu archiwum już nawet się nie zająknął. Tym samym w 1984 SOS „Archiwum" została zamknięta.

Dodatek kombatancki...

Przyglądając się zaangażowanym w sprawę byłym członkom Armii Krajowej z Chrząstowic, nasuwa się uzasadnione podejrzenie, że główny cel wykopania przez nich dokumentów i ewentualnie broni, był daleki od planów reaktywacji działalność konspiracyjnej czy terrorystycznej, czego obawiała się SB. W 1981 roku byli panami w wieku więcej niż dojrzałym, praktycznie przedemerytalnym, w większości z grupą inwalidzką, pobierający niewielkie renty i dorabiający sobie na roli. Nie będzie wielkim nadużyciem wyciągnięcie więc jednoznacznego wniosku, czym się kierowali planując odzyskanie archiwum swojego oddziału. Wśród znajdujących się w nim dokumentów, znajdować się miały listy ewidencyjne partyzantów do niego należących. Materiały te mogły być dowodem potwierdzającym ich przynależność do ruchu oporu, co miało pomóc wstąpić im w szeregi Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, i tym samym umożliwić ubieganie się o nadanie uprawnień kombatanckich i takowego dodatku do renty. Biorąc pod uwagę, że zamieszkiwali niewielką wieś, byli starszymi ludźmi, zaniechali poszukiwań w związku z obecnością w pobliskiej miejscowości wojskowej grupy operacyjnej i sytuacją w kraju – można więc przypuszczać, że przyświecał im jedynie czynnik ekonomiczny. Gdyby nie burzliwy czas, w którym powyższa historia miała miejsce, zapewne by im się udało. O ile oczywiście odnaleźliby schowek.

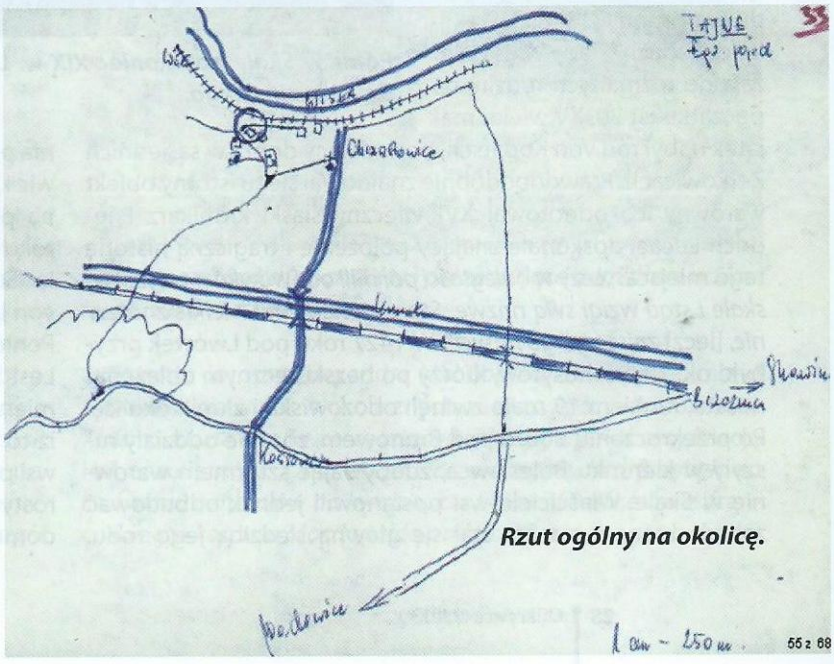

Rzut ogólny na okolicę.

Pałac w Skale w drugiej dekadzie XX w. Fot. ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

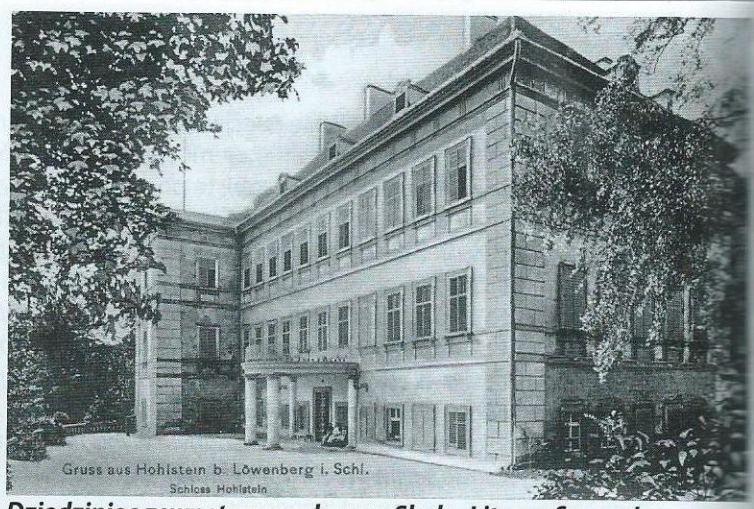

Dziedziniec zewnętrzny pałacu w Skale. Litografia ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 2)

Kwatery wojenne w Skale

TEKST: SZYMON WRZESIŃSKI, WSPÓŁPRACA: EUGENIUSZ BRANIEWSKI, MAŁGORZATA STANKIEWICZ

Dawniej znajdowały się tu jedne z piękniejszych ogrodów na Śląsku, po których poruszano się w rytm dworskiej kapeli. W nich odrobinę relaksu zaznawały rodziny królewskie i książęce, a także znani artyści. Sytuacja zmieniła się w roku 1813, kiedy w pałacu kilkakrotnie stacjonowali oficerowie, wykorzystując to miejsce w zupełnie odmiennym celu…

Zdaniem nowożytnych autorów początki wsi Skała, zwanej wówczas Holenstein (Hohlstein), sięgają pierwszej połowy XIV stulecia. W 1347 r. książę Bolko II nadał ją rycerzowi Seyfriedowi von Raussendorf, który miał wznieść tutaj gotycki dwór obronny (1348 r.). Po kilku dekadach, kiedy wieś należała do rozmaitych rodzin, na początku lat 20. XV wieku majątek nabył ród von Kopatsch, posiadający dobra w sąsiednich Żerkowicach. Prawdopodobnie znajdował się tu istotny obiekt warowny, co odnotował XVII-wieczny śląski kronikarz Friedrich Lucae, doskonale znający położenie i tragiczną historię tego miejsca: *„Leży w odległości pół mili od Lwówka na wysokiej skale i stąd wziął swą nazwę. Stary zamek miał wielkie znaczenie,* [lecz] *zniszczyli go husyci"*. W 1427 roku pod Lwówek przybyło ok. 18 tys. husytów, którzy po bezskutecznym oblężeniu miasta, rankiem 19 maja zwinęli obozowiska i złupili okolicę. Po przekroczeniu Bobru pod Brunowem, zbrojne oddziały ruszyły w kierunku Bolesławca, zdobywając szturmem warownię w Skale. Właściciele wsi postanowili jednak odbudować zamek, który z czasem stał się główną siedzibą jego rodu.

Pałac w Skale pod koniec XIX w. Litografia ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

Hans von Kopatsch był tak dumny ze swej siedziby, że obok swego imienia oraz nazwy rodu dodawał: zu Hohlstein. Kolejna, tym razem renesansowa przebudowa rezydencji miała miejsce w 1513 roku. Inicjatorem prac budowlanych był Melchior bądź Balthasar von Kopatsch. Następnym właścicielem został Kasper, który zasłynął w historii wsi z tego, iż ku przestrodze dla mieszkańców wzniósł pręgierz w Żerkowicach oraz szubienicę w Skale. Oburzeni rajcy lwóweccy stwierdzili w 1571 roku, że Kopatsch złamał prawo, albowiem karać w ten sposób mógł jedynie sąd miejski. Sprytny dziedzic powołał się jednak na stary dokument, wg którego ród von Kopatsch miał prawo wystawiać w swych dobrach kilka szubienic i użytkować je bez ograniczeń. Spór trafił przed oblicze starosty księstwa świdnicko-jaworskiego Adama von Lesta, a następnie cesarza Maximiliana II, który uznał prawa Lwówka. Sprawa przeciągnęła się do 1583 roku. Wówczas to została rozstrzygnięta na niekorzyść Kaspra, który został zmuszony do usunięcia pręgierza, rozebrania szubienicy oraz uznania prawa miasta do wyższego sądu nad mieszkańcami Żerkowic i Skały. Niewykluczone, iż wieloletni spór miał swój wpływ na podjęcie radykalnej decyzji, bowiem we wrześniu 1585 roku Kasper von Kopatsch sprzedał ponoć swoje dobra w Skale, Suszkach, Ustroniu, Żerkowicach i Żeliszowie – rodzinie von Lest, pochodzącej z niewielkiej Górczycy pod Lwówkiem. Ponieważ w pałacu w Skale zamieszkali wspólnie Adam von Lest z synem Melchiorem, w toku kolejnych stuleci obu wymieniano, jako prawowitych dziedziców. Wydaje się jednak, iż to Melchior podejmował najważniejsze decyzje w sprawie wsi ponieważ jego ojciec Adam von Lest, piastujący urząd starosty księstwa świdnicko-jaworskiego, był niemal stale poza domem. Dopiero po śmiertelnym ataku apopleksji u Adama

(1607 r.), jedynym panem na wsi został jego syn Melchior. Ten ostatni w pamięci poddanych pozostał głównie jako miłośnik polowań i uczestnik wielu zawodów strzeleckich. Na początku XVII wieku przedstawiciel rodziny von Lest przeprowadził modernizację swej siedziby. Odtąd pałac wyróżniały widokowa loggia kolumnowa oraz przebudowany alkierz, w którym wstawiono klatkę schodową, dzięki czemu goście mogli podziwiać wspaniały widok na okolicę.

W okresie wojny 30-letniej (1618-1648) oraz po jej zakończeniu majątek w Skale należał do kilku kolejnych rodzin. Spośród właścicieli godnym uwagi jest hrabia Wilhelm von Gall baron von Burg, pełniący zaszczytną funkcję szambelana cesarza Ferdynanda III. Po jego śmierci (1656 r.), Skałę odziedziczył jego kuzyn, hrabia Walter von Gall. Zapewne to właśnie on zdecydował się, w drugiej połowie XVII wieku, dokonać dalszych zmian w wyglądzie pałacu, poprzez dodanie zachodniego skrzydła i przedłużenie głównego korpusu w kierunku północnym.

Po niemal stuletnim władaniu majątkiem w Skale przez hrabiów von Reder, ostatni przedstawiciel tego rodu Karl Wilhelm za 300 tys. talarów sprzedał jesienią 1795 roku Skałę, Gaszów, Nową, Suszki, Ustronie, Żeliszów i dwa majątki w powiecie opolskim, hrabiemu Johannowi Friedrichowi von Pückler. Niestety, hrabia uwielbiający hazard przegrał swój majątek w karty. W efekcie w grudniu 1798 roku przygotowano specjalną umowę, na podstawie której prawo do odkupienia całego majątku po korzystnej cenie otrzymał książę kurlandzko-żagański Peter Biron. Nowy pan na włościach również nie stroniący od hazardu, pijaństwa i rozmaitych hulaszczych zabaw, nieco ponad rok cieszył się nowym nabytkiem. Zmarł bowiem na początku stycznia 1800 roku. Na mocy testamentu Skałę otrzymała jego 18-letnia córka Marie Luise. Kilka tygodni później (26 lutego) księżniczka żagańska wyszła za księcia Friedricha Hermanna von Hohenzollern-Hechingen. Latem 1809 roku przybył na kilka dni do Skały młody niemiecki poeta i dramaturg Theodor Körner. Majątek stanowił jeden z przystanków, podczas jego podróży po Dolnym Śląsku. Wraz z innymi zaproszonymi gośćmi, mogli podziwiać pałac poddany na początku XIX stulecia nowym aranżacjom wnętrz (w sumie w pałacu było 40 pokoi oraz sala balowa). Ponadto zmieniono, tym razem w duchu romantyzmu, południową i zachodnią część ogrodu z parkiem. Wzniesiono tam „leśną chatę", domek herbaciany obłożony korą, do którego zapraszano gości na popołudniowe spotkania. Dodatkowo park uzupełniały liczne tarasy oraz pawilony rekreacyjno-wypoczynkowe. Czas wypoczynku i spokoju zakończyły pierwsze oznaki kampanii napoleońskiej. 25 maja 1813 roku generał Reynier, stacjonujący z częścią VII Korpusu w pobliskich Nowych Jaroszowicach, wysłał patrole do Skały i Żerkowic, gdzie złapano trzech rosyjskich dragonów. O tym co wydarzyło się następnego dnia pisał między innymi Hermann Scholz: *„V Korpus francuski pod generałem Bertrandem, składający się w większości z oddziałów Związku Reńskiego, 26 maja przeprawił się przez Bóbr koło Rakowic Małych i dotarł do obozowisk koło wiosek Skała, Żeliszów, Ustronie i Chmielno. W godzinach porannych kozacy, którzy na wzgórzach koło Skały wystawili silne patrole, w obliczu zbliżających się Francuzów, wycofali się"*. Przed południem doszło tam do potyczki z kozacką pikietą, w wyniku której Bertrand wziął do niewoli 35 jeńców, w tym 1 oficera. Po zakończeniu walk część Francuzów rozpoczęła plądrowanie kolejnych domostw, natomiast pozostali przybyli w podobnym celu do pałacu. Po ustawieniu warty na dziedzińcu, grupa żołnierzy weszła do piwnic w poszukiwaniu wina. Nieliczna część z zabranych wówczas butelek trafiła wieczorem na suto zastawiony stół, przy którym usiedli generałowie i niżsi stopniem oficerowie. Następnego dnia Francuzi opuścili „pałac na skale". Po kilkunastu dniach względnego spokoju do Skały przybył dowódca ksią-

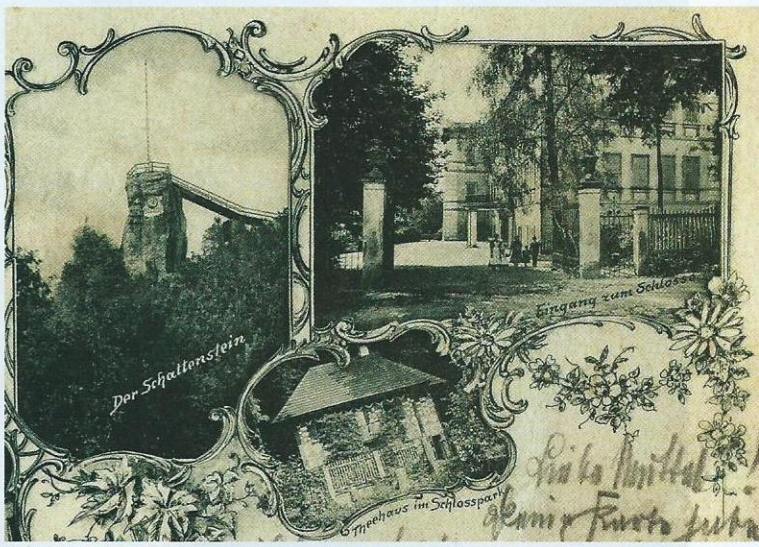

Dziedziniec pałacu w Skale oraz obiekty rekreacyjne w parku na pocztówce z ok. 1900 r. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

Piękna pocztówka (pocz. XX w.) prezentująca dominium w Skale. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

żę Tarentu Jacques Alexandre Macdonald. Co ciekawe, mimo rozlokowania wojsk w okolicznych miejscowościach, dowódca XI Korpusu na swą kwaterę zdecydował się wybrać rezydencję Hohenzollernów: *„Dnia 14 czerwca, około południa, przybyło do Lwówka 6 generałów na kwaterę oraz około 50 oficerów z* [francuskiego] *korpusu Macdonalda pod dowództwem generała dy-*

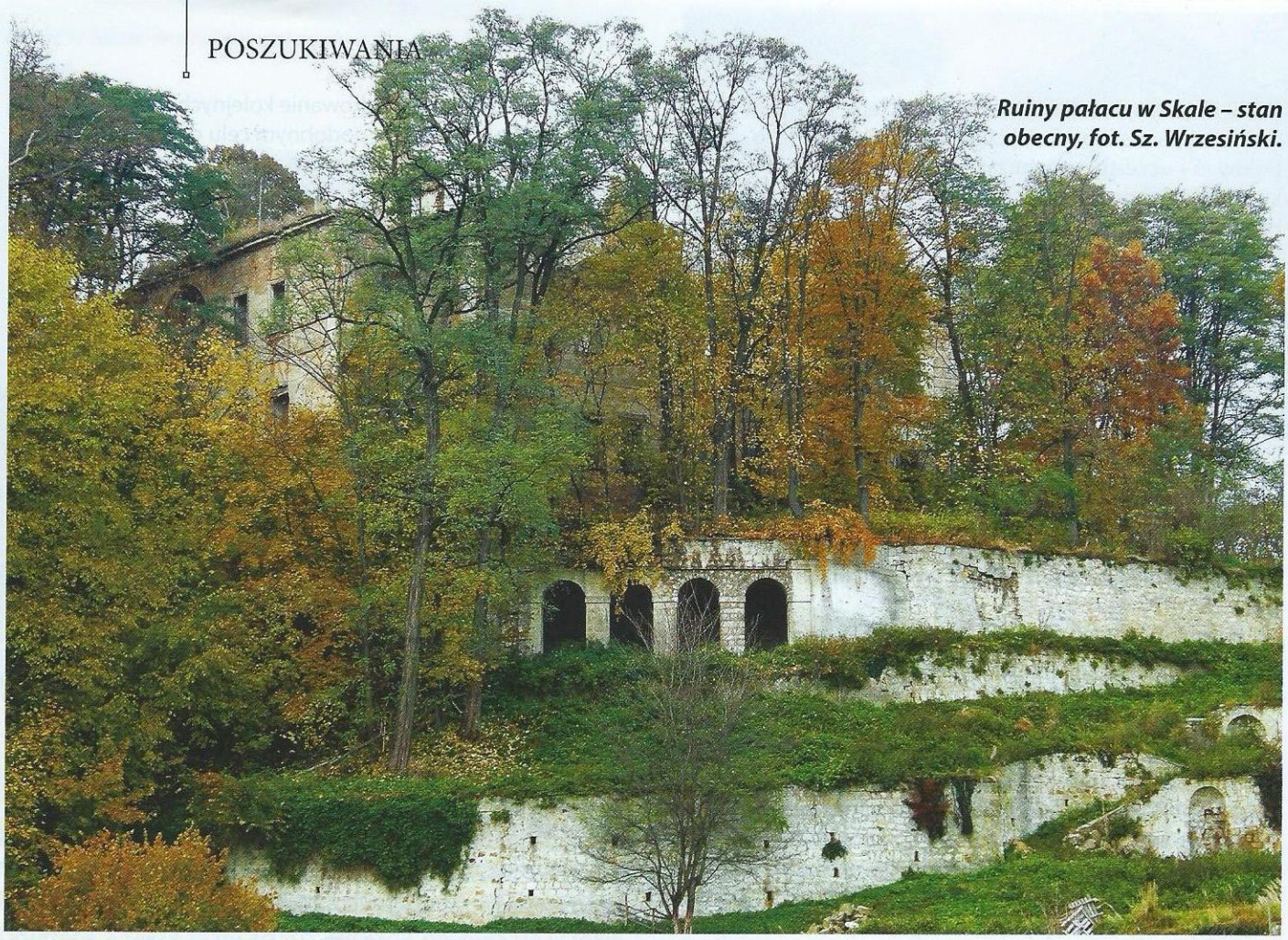

Ruiny pałacu w Skale – stan obecny, fot. Sz. Wrzesiński.

Zniszczone skrzydła pałacu od strony parku – stan obecny, fot. Sz. Wrzesiński.

wizji Gerarda. Po kilku godzinach pojawił się sam marszałek w towarzystwie licznej żandarmerii. Nie zatrzymał się on tu, lecz udał do Skały, gdzie na czas zawieszenia broni mieścić się miała jego kwatera. Natychmiast po przybyciu do miasta dotarł rozkaz dostarczenia na ten dzień 150 butelek czerwonego i tyleż białego wina, 15 butelek francuskiej brandy, 25 funtów cukru, 10 funtów kawy, 300 kwart piwa i warzyw potrzebnych do kuchni marszałkowskiej. Poza tym, co drugi dzień, miasto musiało dostarczać 2 zające, 16 kur, 12 gołębi, 4 gęsi, 12 funtów słoniny, 1 szynkę, 20 funtów ryb i raków, 4 funty ryżu, 4 funty białej fasoli, 1 funt pieprzu, 1 funt goździków, 12 funtów masła, 2,5 kopy jaj, 4 funty kawy, 4 funty cukru, 2 funty oleju spożywczego, 2 kwarty octu, 2 funty migdałów, 2 funty rodzynek, 1 butelkę francuskiej brandy, 8 kozich serków, 40 kwart wina, 24 kwarty piwa (…). Na potrzeby zaopatrzenia w mięso dla marszałkowskiej kuchni na łąkach w Żerkowicach utrzymywane było stado posiadające przeciętnie 500 sztuk bydła oraz 300 owiec (…). Ponadto, jak dowiadywał się sekretarz powiatowy Heinze od generała Gerarda, utrzymanie stołu sięgało ponad 1 tys. talarów, do czego [doliczyć należało] *dzienne kwaterunki sięgające 160-190 oficerów oraz 1.100-1.500 żołnierzy"* – pisał na podstawie relacji świadków Herman Scholz. Do dyspozycji Macdonalda i jego żołnierzy z Gryfowa doprowadzono ponad 300 koni. Ponadto dworskie ogrody w Skale i Płakowicach oddano do wyłącznej dyspozycji kuchni marszałka. Podczas posiłków zasiadało z nim do stołu blisko 40 osób z najbliższego otoczenia i sztabu, które w wolnym czasie zajmowały wszystkie pokoje pałacu. Część oficerów, z powodu braku miejsca, umieszczono w położonej obok wielkiej oficynie dworskiej. Macdonald starał się utrzymać porządek i dyscyplinę wśród swoich żołnierzy, a ponadto oszczędzać miejscową ludność przez ograniczanie do minimum żądań dotyczących najbardziej potrzebnych przedmiotów, posług i żywności. Niewy-

kluczone, że głównym powodem dbania o majątek w Skale był fakt, iż sam Bonaparte był ojcem chrzestnym urodzonego w 1801 roku syna właścicieli, księcia Friedricha von Hohenzollerna (otrzymał pozłacany zegar z brązu, na którym był wizerunek Napoleona). Mimo to okolicznym mieszkańcom było bardzo ciężko: *„Po 19 lipca (…) bieda w okolicach pogłębiała się. Wiele gmin* [wiejskich], *jak Skała (…) nie mogło wywiązać się ze zobowiązań.* [Tymczasem] *22 lipca intendent wydał surowy rozkaz przekazywania przez gminy wszelkich zapasów zboża, koni i bydła"* – twierdzi Herman Scholz. Zdarzały się też rabunki dokonywane przez Francuzów. Pewnego dnia 8-9 żołnierzy napadło na kilka gospodarstw w położonej o ćwierć mili kolonii należącej do Skały. Na szczęście grupa maruderów została pojmana i osadzona w więzieniu, zaś rannego chłopa opatrzył francuski lekarz. Innym razem okazało się, że jeden z generałów stacjonujących w pałacu był tak przyzwyczajony do wygód, iż kazał codziennie dostarczać sobie wody ze źródła położonego pół mili od dominium.

Wyjazd Macdonalda ze Skały był ściśle związany z przeniesieniem centralnego punktu XI Korpusu do Lwówka oraz z trwającymi od 17 sierpnia krwawymi walkami we Wleniu. Niedługo po tym, do dawnej kwatery Macdonalda przyjechał pruski feldmarszałek: *„Blücher stanął kwaterą na zamku w Skale w nocy 20/21. sierpnia. Planował odbudowę mostów, które Francuzi spalili dzień wcześniej, zamierzał przecież gonić ich dalej. Dla rozpoznania polecił pionierom znowu odbudować* [drewnianą] *przeprawę pod Żerkowicami. (…)* [Następnie] *wydał osobiście rozkaz majorowi von Sohr z brandenburskiego regimentu huzarów, by z jednym szwadronem huzarów i kompanią lekkiej piechoty przeprawił się przez świeżo przerzucony most koło Żerkowic celem rozpoznania francuskich zamiarów. Gdyby się okazało, że obóz lwówecki nie miał żadnego kontaktu z wojskami Neya pod Bolesławcem, korpusy Yorcka i Langerona pod Żerkowicami miały być przeprawione na drugi brzeg i skierowane szybkim marszem na Lubań, lewe skrzydło wojsk francuskich miało być tu pod Lwówkiem okrążone i przyciśnięte do Bobru. Major Sohr udał się na rekonesans, lecz natychmiast nadział się na liczne wojska korpusu Marmonta i musiał błyskawicznie zawrócić, niszcząc za sobą most koło Żerkowic"* – dodaje w swej publikacji Herman Scholz. Uszkodzenie drewnianej przeprawy tylko na pewien czas odwlekło przybycie Francuzów. W południe 21 sierpnia między Żerkowicami a Skałą, oddziały VI Korpusu Marmonta wykonały tak silne uderzenie, że pruska piechota z wielkim trudem stawiała im opór: *„Pierwszy pruski strzał urwał szczękę francuskiemu oficerowi kawalerii, co zniósł on ze znacznym męstwem.* [Ponieważ] *wkrótce liczba przeważającej francuskiej piechoty, z ciężkim ostrzałem, przybliżała się – pociągnęli stąd pruscy z powrotem, z utratą wielu jeńców, zaś w Skale zlikwidowano kwaterę Blüchera"*. Według naocznego świadka, podczas trwania potyczki przy piaskowcowych

Feldmarszałek pruski von Blücher, który dwukrotnie kwaterował w Skale. Ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

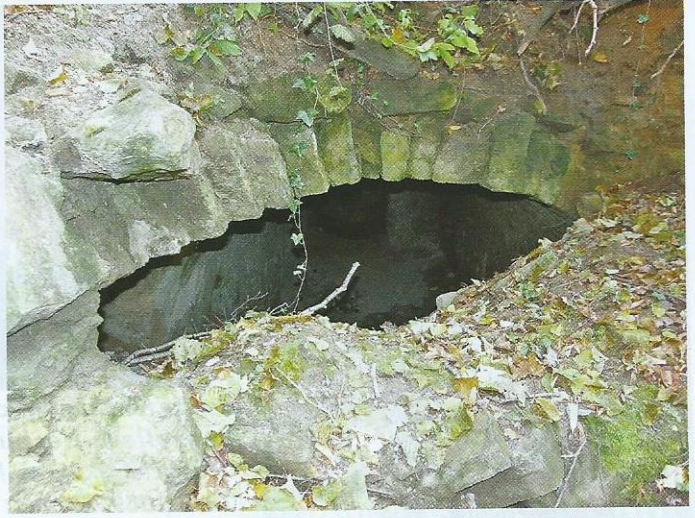

Pozostałości po piwnicach pałacu w Skale. Tutaj w 1813 r. żołnierze francuscy szukali wina. Fot. Sz. Wrzesiński.

skałkach, jeden z pruskich huzarów popisał się odwagą walcząc naraz z czterema francuskimi kawalerzystami. Francuski marszałek zapamiętał ten bój nieco inaczej: *„21 sierpnia nad ranem (…) wyruszyłem z mojej pozycji w Ocicach, przekroczyłem Bóbr w Rakowicach* [Małych] *i zająłem pozycję na wysokości Skały. Przy okazji mieliśmy małą potyczkę z nieprzyjacielem, gdzie wyróżnił się 32. lekki* [Pułk Piechoty z 20. Dywizji] *i dowódcą 16. Pułku Piechoty Liniowej z 22. Dywizji Svalborino. Ja pozostałem tego dnia na pozycji. W tym czasie Napoleon maszerował naprzód z III i XI Korpusem. Podążał za nieprzyjacielem (…). 23 sierpnia otrzymałem rozkaz ponownego przekroczenia Bobru i rozłożenia oddziałów na Nowogrodziec i Lubań i przygotowania się do szybkiego wymarszu na Drezno"*. Zdaniem Scholza następnego dnia mieszkańcy obu wsi doświadczyli znacznie gorszych skutków kampanii napoleońskiej: *„Rankiem w okolicy Skały i Żerkowic znaleźli się kozacy, a krótko po nich oddział czarnych huzarów brandenburskich, którzy wzięli do niewoli wszelkich Francuzów, jacy tu jeszcze tylko się znajdowali. Całe dominium zostało splądrowane, poniosło wiele strat w kontrybucjach, w pięciu podległych folwarkach spustoszono wszelkie zbiory, uprowadzono bydło, drób, zwierzynę"* – pisze Scholz w oparciu o relację jednego ze świadków tych wydarzeń.

Książę Friedrich von Hohenzollern-Hechingen, współwłaściciel Skały w latach 1800-1838. Źródło: wikimedia

Generał August von Gneisenau przebywający w sierpniu z feldmarszałkiem pruskim w pałacu w Skale. Źródło: wikimedia

Książę Konstantin von Hohenzollern-Hechingen, właściciel Skały w latach 1845-1869. Źródło: wikimedia

Księżna kurlandzko-żagańska Luise Pauline Maria, właścicielka Skały w latach 1800-1845. Źródło: wikimedia

Po raz ostatni pałac w Skale, jako kwaterę, postanowił wykorzystać Gebhard Leberecht von Blücher. Wieczorem 29 sierpnia w rezydencji rodowej Hohenzollernów pojawił się porucznik von Reibnitz. Po zameldowaniu się przed obliczem pruskiego feldmarszałka, przekazał list napisany przez dowódcę korpusu Johanna Ludwika Yorcka von Wartenburga, w którym ten ostatni meldował o położeniu swoich wojsk i ogólnej sytuacji. Próbował przekonać Blüchera, by dać wytchnienie zmęczonym żołnierzom. Pomysł Yorcka jednak zdenerwował feldmarszałka, który jak najszybciej chciał zaatakować pozycje francuskie w Bolesławcu. Stąd niebawem wysłano do dowódcy korpusu oficera łącznikowego z listem, w którym została udzielona reprymenda Yorckowi oraz rozkaz zwinięcia obozu w Uniejowicach k. Złotoryi i natychmiastowy wymarsz w kierunku Bobru. Rankiem 30 sierpnia doszło do potyczki o Bolesławiec, nader krwawej i wyniszczającej obie strony. Walczono na przedmieściach i w centrum miasta o każdą ulicę. Ogarnięty szałem wojennym generał Horn z korpusu Yorcka w pewnym momencie rozkazał, by nie brać jeńców, lecz wrzucać ich do płonących zabudowań! W tym czasie głównodowodzący Armii Śląskiej nadal przebywał w Skale, gdzie donoszono mu o powolnym, acz sukcesywnym wypieraniu wroga. Przebywający razem z nim generał August Wilhelm von Gneisenau w wolnej chwili udał się do swego pokoju, by napisać list do żony. Chwalił się w nim, iż cztery dni wcześniej w bitwie nad Kaczawą zdobyto 80 dział, 300 jaszczyków i 15 tys. jeńców. Wspomniał również o kilku innych bataliach nad Bobrem. 31 sierpnia, po wycofaniu się Francuzów pod Kwisę, Blücher wraz ze swym sztabem opuścił swą kwaterę i o godzinie 17. zjawił się we Lwówku w towarzystwie księcia Karola Meklemburskiego oraz generała Gneisenau. Do Skały feldmarszałek już nie wrócił.

Po wojnach napoleońskich właścicielami wsi nadal była książęca para Friedrich Hermann von Hohenzollern-Hechingen (zm. 1838 r.) oraz Marie Luise z domu Biron (zm. 1845 r.). Kolejnym dziedzicem Skały został ich syn książę Konstantin. Słynący z miłości do muzyki w 1850 roku sprowadził kapelę dworską ze stolicy rodzimego księstwa. W lutym 1851 roku zawarł on drugi związek małżeński, a na jego przyjęciu weselnym bawił się sam król pruski Fryderyk IV. W latach 1857-1863 koncerty w Skale prowadzili między innymi: Franciszek Liszt, Ryszard Wagner, Hector Berlioz. Natomiast w czerwcu 1867 roku pałac odwiedził król Wilhelm I, późniejszy cesarz Niemiec.

Powolny upadek rezydencji w Skale nastąpił po śmierci księcia Konstantina von Hohenzollern-Hechingen (1869 r.). Nowi właściciele zamiast korzystać z uroków tego miejsca, postanowili wywieźć do rodowej posiadłości w Sigmaringen najwartościowsze wyposażenie. W okresie międzywojennym pałac dzierżawiono. Stan ten trwał niemal do końca II wojny światowej. W 1945 roku do wsi przybyli żołnierze radzieccy, którzy zdewastowali niemal całe dominium. Po nich zjawili się polscy szabrownicy, którzy dokonali wielu grabieży pięknego ongiś pałacu. Nic nie zmieniło się na dobre po przejęciu obiektu przez PGR oraz Nadleśnictwo Lwówek Śląski. Okres ten zaznaczył się dalszą dewastacją. Ponieważ nie przeprowadzono remontów, od końca lat 50. zaczął się proces stałej destrukcji. Po zapadnięciu się części dachu, powoli znikały kolejne stropy. Dzisiaj o dawnej świetności przypominają tylko ściany szczytowe i resztki założeń ogrodowo-parkowych.

Autor dziękuje p. Eugeniuszowi Braniewskiemu i p. Małgorzacie Stankiewicz za pomoc w poszukiwaniu źródeł i tłumaczeniach.

Literatura i źródła:
1. E. Braniewski „Leoriana, czyli kalendarium Lwówka Śląskiego i okolic", Lwówek Śl. 2007
2. J. W. Löbell, F. A. Nösselt „Kriegs-geschichten aus dem Jahren 1812/1813", Breslau 1814
3. F. Lucae „Schlesiens curiose Denckwürdigkeiten oder vollkommene Chronica", Frankfurf a. M. 1689
4. „Mémoires du maréchal Marmont, duc de Raguse de 1792 à 1841...", Paris 1857
5. M. Olczak „Kampania 1813. Śląsk i Łużyce", Warszawa 2004
6. H. Scholz „Löwenberg im Jahre 1813", Löwenberg 1909
7. Sz. Wrzesiński „Kamienne zabytki dawnego prawa na ziemiach polskich", Zakrzewo 2009

Szymon Wrzesiński
Historyk, filokartysta, autor kilkunastu książek popularno-naukowych. Jego ostatnie publikacje to: „Hitlerjugend na Śląsku", „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku", „Podziemne tajemnice III Rzeszy" oraz „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy".

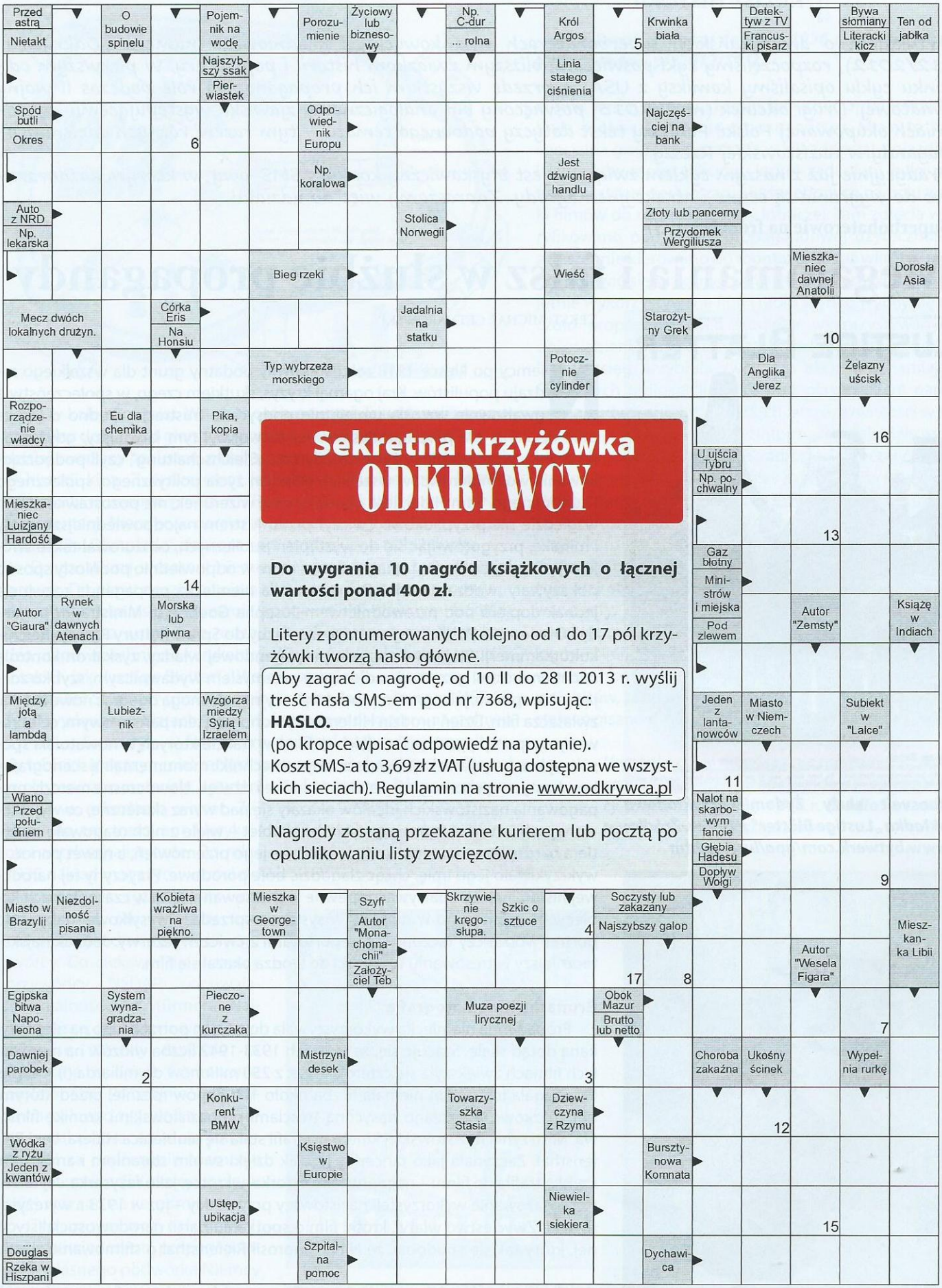

Sekretna krzyżówka
ODKRYWCY

Do wygrania 10 nagród książkowych o łącznej wartości ponad 400 zł.

Litery z ponumerowanych kolejno od 1 do 17 pól krzyżówki tworzą hasło główne.

Aby zagrać o nagrodę, od 10 II do 28 II 2013 r. wyślij treść hasła SMS-em pod nr 7368, wpisując:
HASLO._____
(po kropce wpisać odpowiedź na pytanie).
Koszt SMS-a to 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach). Regulamin na stronie www.odkrywca.pl

Nagrody zostaną przekazane kurierem lub pocztą po opublikowaniu listy zwycięzców.

Artykułem o amerykańskich superbohaterach rysunkowych, z grudniowego numeru „Odkrywcy" (12/2012), rozpoczęliśmy cykl poświęcony bliższym związkom historii i popkultury. W pierwszym odcinku cyklu opisaliśmy komiksy z USA, a przede wszystkim ich propagandową rolę podczas II wojny światowej. Drugi odcinek (nr 1/2013) poświęcony był analogicznemu zjawisku występującemu na ziemiach okupowanej Polski. Poniższy tekst dotyczy podobnego tematu – tym razem różnych odcieni propagandy w nazistowskiej Rzeszy.
Tradycyjnie już z naszym cyklem związany jest błyskawiczny konkurs SMS-owy, w którym każdorazowo do wygrania są cenne i atrakcyjne nagrody. Zapraszamy więc do udziału!

Superbohaterowie na froncie (cz. 3)

Megalomania i fałsz w służbie propagandy

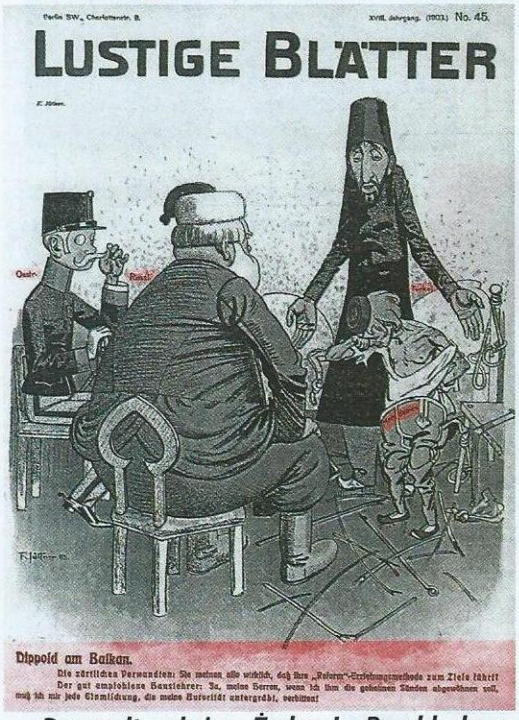

Roosvelt służy Żydom! Przykładowa okładka „Lustige Blätter" z 1942 r. Źródło: www.bytwerk.com/gpa/lustige.htm

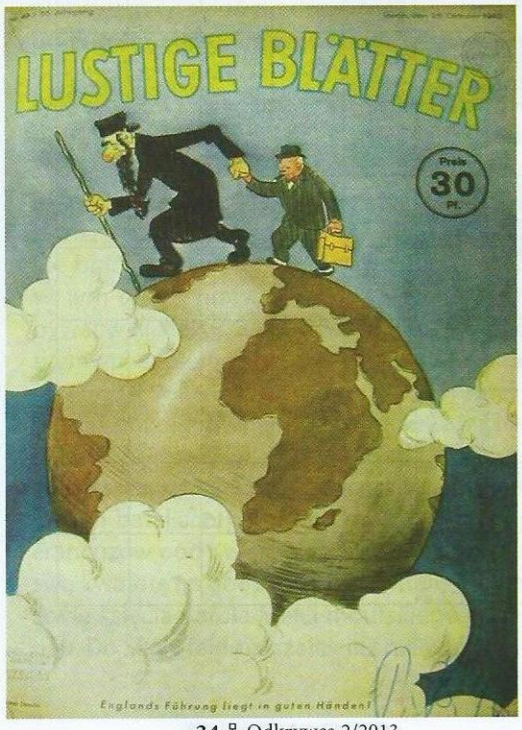

TEKST: MICHAŁ CETNAROWSKI

Niemcy po klęsce 1918 roku stanowiły podatny grunt dla wszelkiego rodzaju populistów. Kraj ogarnął kryzys, skutkiem czego, w społeczeństwie gwałtownie wzrosła umiejętnie podsycana frustracja. Trudno o lepsze pole działania dla propagandystów. Jej rozwój był tym łatwiejszy, gdyż naziści szybko wprowadzili w życie zasady tzw. „Gleichschaltung", czyli podporządkowania woli hitlerowców wszelkich dziedzin życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Sam Hitler, jeśli chodzi o swój wizerunek, nie pozostawiał w tym względzie nic przypadkowi. Ćwiczył przed lustrem najodpowiedniejsze gesty i mimikę, przygotowując się do wystąpień publicznych, cenzurował także swoje zdjęcia, aby do druku trafiały tylko te, które w odpowiednio podniosły sposób pokazywały „wodza narodu". Pełne skrzydła niemiecka propaganda rozwinęła jednak dopiero pod przewodnictwem Josepha Goebbelsa Ministra Propagandy i Oświecenia Publicznego oraz prezesa Izby do Spraw Kultury Rzeszy (Reichskulturkammer). Stojąc na szczycie propagandowej władzy, zyskał on kontrolę nad niemieckimi gazetami, radiem, czy przemysłem wydawniczym, szybko zdając sobie sprawę, jak ogromną, indoktrynacyjną rolę mogą odegrać nowe media, zwłaszcza film. Dzień urodzin Hitlera uczyniono świętem państwowym, celebrowanym z pompą podczas wielkich defilad, w trakcie których w nowatorski sposób wykorzystywano najnowsze zdobycze techniki: monumentalną scenografię, bombastyczną choreografię, efekty świetlne i dźwięk. Nowoczesne metody propagowania nazistowskich ideałów okazały się nad wyraz skuteczne, co wyjątkowo wyraźnie widać było na przykładzie kobiet – wiele z nich reagowało na Hitlera bardzo emocjonalnie, mdlało podczas jego przemówień, a nawet ponoć... wykrzykiwało jego imię, chcąc złagodzić bóle porodowe. Przyczyny tej narodowej histerii należy upatrywać zapewne w zmasowanej akcji w czasopismach kobiecych – zachęcano w nich, by w systemie sprzedaży wysyłkowej nabywano portret wodza czy raczono fotoreportażami z ćwiczeń rezerwy. Jednak najskuteczniejszy w tresowaniu w miłości do wodza okazał się film.

Brunatna kinematografia

Propaganda niemiecka wykorzystywała do swoich potrzeb kino na niespotykaną dotąd skalę. Szacuje się, że w latach 1933-1942 liczba widzów na niemieckich filmach zwiększyła się czterokrotnie: z 250 milionów do miliarda (!) rocznie. Przyciągała ich do kin niemała liczba około 100 filmów rocznie, przed którymi obowiązkowo puszczano nasyconą treściami pronazistowskimi kronikę filmową. Mistrzynią nazistowskiej kinematografii stała się ulubienica Hitlera, Leni Riefensthal. Zaczynała jako tancerka, jednak dzięki swoim staraniom i ambicjom, szybko trafiła do filmu – najpierw jako aktorka, wkrótce, jako reżyserka. Jej talent i zaangażowanie wykorzystali nazistowscy przywódcy – już w 1933 r. wyreżyserowała „Zwycięstwo wiary", krótki film o spotkaniu partii narodowosocjalistycznej, który tak się spodobał, że Hitler poprosił Riefensthal o sfilmowanie zjazdu

Anglicy prowadzeni do zwycięstwa... Propaganda nazistowska z czasów wojny. Źródło: www.radioislam.org/cartoons/german-ww2/satiric.htm

„Juden Raus!". Plansza do gry z 1936 r. Źródło: www.gadzetomania.pl /2012/11/22

partii w kolejnym roku. W ten sposób powstał „Triumf woli", monumentalny dokument gloryfikujący ruch narodowosocjalistyczny, do dzisiaj uważany za jeden z najlepszych filmów propagandowych w historii kina. Zwieńczeniem jej wczesnej kariery była kronika Olimpiady w Berlinie z 1936 r. – Riefenstahl zakwalifikowała się do reprezentacji Niemiec w narciarstwie, ale zrezygnowała z występu i nakręciła „Olimpiadę", sławiącą hart nordyckiego ciała i ducha.

Druga strona wczesnej niemieckiej propagandy była bardziej ponura. Do głosu doszły bowiem skrajne szowinizmy, a propaganda antysemicka osiągnęła swoje apogeum. Jej głównym źródłem były zwłaszcza wszelkiego rodzaju druki gazetowe, a w nich bardzo rozpowszechnione karykatury. Wśród publikujących je tytułów – takich jak „Lustige Blätter" („Wesołe stronice") – niesławny prym wiódł „Der Stürmer" („Szturmowiec"), tygodnik polityczny NSDAP. Tytuł wydawany w latach 1923-45, którego redaktorem naczelnym był Julius Estreicher, w formie przypominał najbardziej prymitywny tabloid. Magazyn miał zaciekle antysemicki charakter i obfitował w obsceniczne materiały, antysemickie karykatury, fałszywe propagandowe oskarżenia wobec Żydów, ale też treści antyklerykalne i antykapitalistyczne. Do roku 1935 nakład magazynu wzrósł do blisko 480 tys. egzemplarzy i już to pokazuje, jak ogromny sukces propagandowy odnieśli jego twórcy. Co ciekawe, nie wszyscy przywódcy NSDAP pochwalali działalność „Der Stürmera". Najważniejsze, że Hitler uważał prymitywne metody tabloidu za skuteczne w dziele formowania proletariatu. Po wojnie redaktora naczelnego tygodnika osądzono w trakcie procesów norymberskich, i za podżeganie Niemców do eksterminacji ludności żydowskiej skazano na karę śmierci.

Tymczasem zaczynała się wojna, i doświadczenia propagandowe z własnego podwórka Niemcy zaczęli wypróbowywać na terenach okupowanych krajów. Goebbels wydał rozporządzenie, by każdej armii towarzyszyła osobna kompania propagandowa. Miała to być specjalna grupa wyposażona w kilkadziesiąt pojazdów i łączników-motocyklistów, której zadaniem było natychmiastowe dostarczanie naświetlonych na polu walki filmów do najbliższej bazy lotniczej. Tam zdjęcia weryfikowano pod kątem propagandowej użyteczności, a następnie kierowano do montażu, by już wkrótce mogły pojawić się w licznych kronikach filmowych. Umiejętnie wykorzystywane film i radio szybko wybiły się na czoło propagandowych środków wykorzystywanych do osłabienia ducha obywateli podbijanych narodów. Duży zasięg przybrała zwłaszcza akcja uruchamiania fałszywych radiostacji, które pod płaszczykiem nadawania audycji antyhitlerowskich, w rzeczywistości w językach narodowych siały dezinformację i osłabiały wolę walki. Już wkrótce fałszywe radiostacje zaczęły nadawać po francusku, angielsku czy rosyjsku, a w miarę postępu działań wojennych dołączyły do nich takie fikcyjne rozgłośnie, jak Głos Wolnych Arabów, Wolne Radio Amerykańskie, Radio Starej Gwardii Lenina czy Głos Wolnych Indii... By dodatkowo podkopać morale, do żołnierzy stacjonujących na froncie wysyłano sfabrykowane listy, w których informowano ich o niewierności oczekujących w domu żon. Pod lupę wzięto też... astrologów. Niemiecka propaganda przypomniała przepowiednie Nostradamusa i starała się wpłynąć na klientów wróżbitów, przekonując ich, że zwycięstwo Niemiec zostało zapisane w gwiazdach.

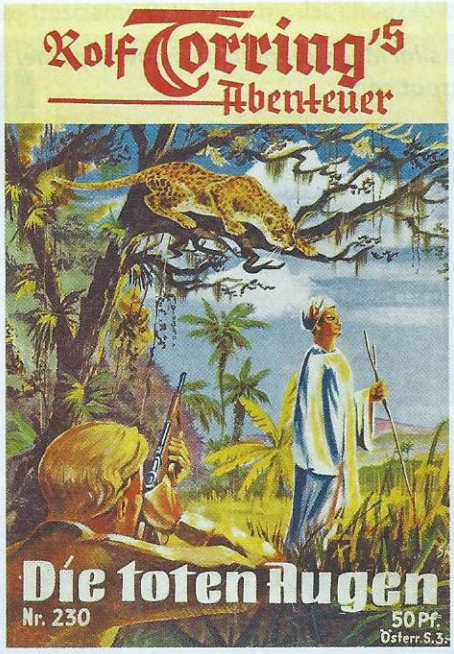

Okładka pulpowego czytadła dla młodzieży. Źródło: www.io9.com

Uważaj o czym mówisz z nieznajomymi – wróg czuwa! Rysunek propagandowy ostrzegający przed szpiegami, 1944 r. Źródło: www.bytwerk.com/gpa/lustige.htm

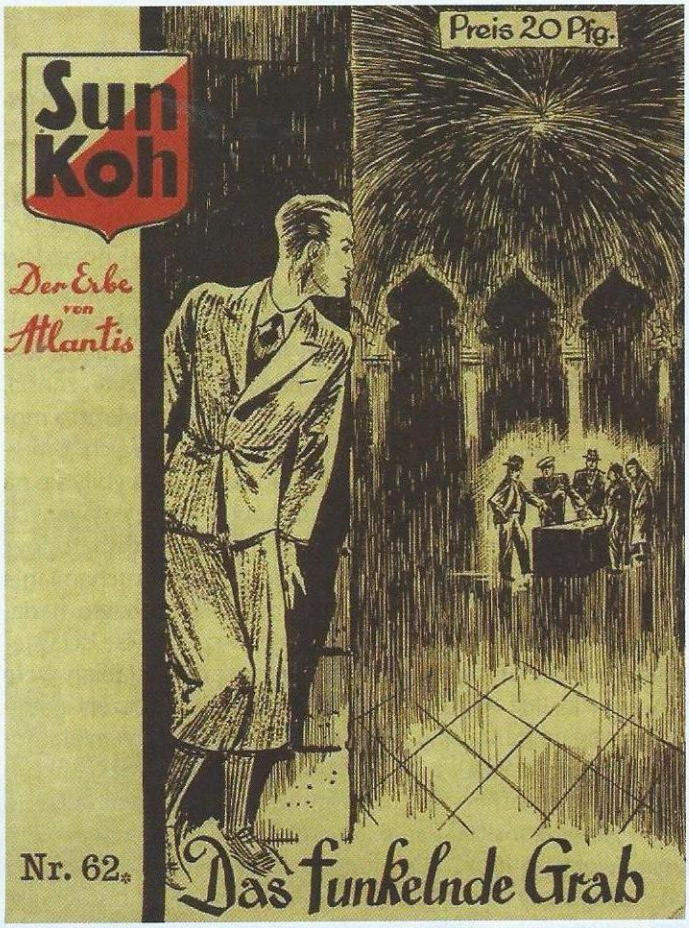

Okładka jednego z zeszytów „Sun Koh. Der Erbe von Atlantis". Źródło: www.sammelpunkt.ch

Do podobnych działań dołączyło kino. Okupantom zależało, aby filmową akcją propagandową objąć możliwie najszersze kręgi społeczeństwa – w okupowanej Polsce, w poszczególnych miastach powiatowych utworzono nawet specjalne jednostki, które z odpowiednio przygotowaną „rozrywką" miały docierać tam, gdzie nie istniały kina stacjonarne. Grupy te dysponowały pojazdami wyposażonymi w przenośne projektory, i z tym sprzętem objeżdżały wsie i miasteczka danego okręgu, pokonując w ciągu tygodnia trasę średnio 1000 km. Na seansach gromadzono łącznie aż kilkanaście tysięcy widzów. Odpowiedzią polskich władz podziemnych była akcja antykinowa, mająca zniechęcić rodaków do odwiedzania sal kinowych. Gremialnie nawoływano do bojkotu pozornie neutralnych „seansów nienawiści" w kinach, wówczas też ukuto hasło: „Tylko świnie siedzą w kinie". Uciekano się również do dużo brutalniejszych działań niż sama akcja informacyjna. Od 1940 roku rozpoczęto rozpylanie w salach kinowych śmierdzących wyziewów, a na ubrania widzów rozlewano żrące chemikalia i farby. Z balkonów kinowych rozrzucano ulotki i ciskano petardy, a podczas pokazów kronik pod gołym niebem umyślnie siano panikę, np. wzbudzając popłoch okrzykiem „Łapanka!". W żadnym z okupowanych europejskich krajów akcja bojkotu kin nie osiągnęła takich rozmiarów.

Gra w wojnę

Naziści, w odróżnieniu od Amerykanów, a nawet Polaków, w czasie wojny nie mieli raczej swoich superbohaterów komiksowych. Jedynymi bohaterami mogli być wtedy naziści, a komiks uważano za zbyt niepoważne medium, by przedstawiać w nich przygody koturnowych, posągowych „Aryjczyków". Do indoktrynacji młodzieży służyły jednak przygodowo-fantastyczne czytadła pulpowe, których całkiem sporo wydawano w Niemczech od początków XX wieku. Typowymi tytułami z tego czasu były serie „Horst Kraft der Pfadfinder" (150 zeszytów wydawanych w latach 1913-1916), w której bohater poszukiwał zaginionych ras, miast starożytnych cywilizacji i zmagał się z szalonymi naukowcami oraz ich wymyślnymi wynalazkami, czy „Erlebnisse Deutscher Fremdenlegionäre" (40 części w latach 1914-1915), gdzie protagonista walczył z wampirami czy starożytnymi Rzymianami, którzy przetrwali na Saharze... Magazyny tego typu szybko zdobyły sporą popularność wśród młodych odbiorców, na tyle, że w czasie Wielkiej Wojny władze dostrzegły ich potencjał propagandowy i zaczęły naciskać, aby egzotyczne przygody fikcyjnych bohaterów zyskały odpowiedni propaństwowy sznyt. Jednym z zabiegów były próby wymuszenia na wydawcach, żeby bohaterów-obcokrajowców podmienić bohaterami-Niemcami, umacniając wizerunek silnych Germanów. Jednak te początkowe próby nie odniosły większych sukcesów. Dopiero z przejęciem władzy przez nazistów dla „pulpowych superbohaterów" zaczęły się ciężkie czasy.

Wymogów nowej cenzury nie dało się tak łatwo obejść jak w czasach I wojny (wtedy najczęściej zmieniano tylko tytuł historyjki i nazwiska bohaterów, całą akcję pozostawiając bez zmian). Kiedy autorzy przeciwstawili się wprowadzeniu oczekiwanych przez nazistów zmian – tak jak Walther Kabel, autor

W masie siła! Megalomania nazistów w pełnej krasie... Źródło: www.thinkclassical.blogspot.com

„Der Detektiva", powieści z podobnym do Sherlocka Holmesa bohaterem-detektywem, który rozwiązywał sprawy „kosmicznych kryształów" czy, jak zwykle, szalonych naukowców – cenzura wymusiła na nim... zabicie bohatera, co autor uczynił w ostatnim odcinku swojego cyklu, po kilkunastu latach jego ukazywania się. Do najpopularniejszych serii, pisanych już w zgodzie z obowiązującymi wytycznymi, należały „Sun Koh. Die Erbe von Atlantis" (wydawany w latach 1933-1936) czy „Jan Mayen. Der Herr der Atomkraft" (1936-1938), obie autorstwa Paula A. Müllera-Murnaua. Fabuła im podobnych opowieści działa się często w zamierzchłych czasach. Bohaterami byli Aryjczycy bądź ich bezpośredni potomkowie, a akcja tekstów miała miejsce w zaginionych miastach Atlantów lub w wydrążonej Ziemi, gdzie protoplaści Germanów, czasem przy użyciu kosmicznych technologii, przygotowywali rasę aryjską do objęcia rządów nad światem... Niektóre z tytułów były jawnie antysemickie lub antykomunistyczne, w innych treści propagandowe przemycano pod pozornie neutralnymi przygodami. Brzmiące z angielska nazwiska znów stały się niemile widziane – tytuły z takimi bohaterami zamykano i zastępowano je nowymi, już „poprawnymi" bohaterami. Taki los spotkał np. Alaska Jima z serii „Alaska-Jim. Ein Held der Kanadischen Polizei" (1935-1939). Jej bohater – o „prawdziwym" imieniu Jim Hoover – był XIX-wiecznym pionierem w Kanadzie. Po restarcie cyklu jego tytuł zmieniono na „Sturmvögel", a bohaterem uczyniono Rolfa Rauhaara, łowcę przygód o nie budzącym wątpliwości rasowych pochodzeniu, który krzewił aryjskiego ducha na mroźnych pustkowiach północy. Większość z tych zainfekowanych ideologią nazistowską czytadeł przestano wydawać w 1941 r., po ataku na Związek Radziecki, kiedy zaczęły się problemy z papierem.

Inny sposób na indoktrynację najmłodszych był jeszcze bardziej perfidny. Chodzi mianowicie o... gry planszowe, które nasycano pożądanymi przez władze treściami. Było to tym łatwiejsze, że już od XIX w. gry strategiczne wykorzystywano jako element edukacji oficerów w armiach Europy i Stanów Zjednoczonych. Pod okiem Goebbelsa podobna rozrywka szybko znalazła zastosowanie do indoktrynowania młodzieży. Jedną z pierwszych takich gier – jawnie antysemicką – była gra z 1936 r. o wszystko mówiącej nazwie „Juden Raus!". Jak reklamowali ją twórcy, była ona *„zabawna, pouczająca i solidnie wykonana"*... Zadaniem graczy było wyprowadzenie Żydów poza mury odwzorowanego na planszy miasta i wysłanie ich do Palestyny. Gra jednak nie spodobała się władzom NSDAP – ich zdaniem bagatelizowała problem, bo sugerowała, że można go rozwiązać kilkoma rzutami kostką... Kolejną planszówkę przygotował sam Wehrmacht. Była to gra o nazwie „Wehrschach" z 1938 r., a chodziło w niej o przybliżenie graczom zasad pola walki. Rozgrywka przypominała zmodyfikowane szachy – też grano na szachownicy, na której rozmieszczano figurki odzwierciedlające różne rodzaje wojsk. „Bomber über England" z 1940 r. i jej następczynie wydano już w takcie działań wojennych. Gra odwołująca się do lotniczej „Bitwy o Anglię" była odpowiednikiem współczesnych „flipperów" – gracz wystrzeliwał kulkę za pomocą sprężyny, a następnie usiłował trafić nią w jedną z dziur na planszy, co symbolizowało trafienie bombą w cel. Przypadkowe zbombardowanie własnych terenów oznaczało punkty ujemne. Z kolei planszówka „Fallschirmjäger Spiel" (1940 r.) opowiadała o zrzucaniu spadochroniarzy na angielską prowincję. Na kartonie znajdowały się pola z różną liczbą punktów, a zadaniem graczy było trafienie spadochroniarzem na planszę tak, by zająć pole najwyżej punktowane. W grze „Prien" (1941) gracze wcielali się w dowódców okrętów podwodnych patrolujących Morze Północne. Do gry dołączono książeczkę zawierającą zdjęcia i opisy brytyjskich okrętów. Z kolei „Adler Luftverteidigungsspiel" (1941) promowała Luftwaffe. W grze można było przeprowadzić nalot bombowy i toczyć walki powietrzne. Każdy z graczy dysponował sześcioma figurkami-bombowcami i tyloma figurkami-myśliwcami, a rozgrywka miała na celu zbombardowanie różnych obiektów przemysłowych i uniknięcie ataku przeciwnika. Kiedy zaś na froncie kończył się okres sukcesów i szybkich zwycięstw, a zaczynał czas klęsk i wyrzeczeń, do oszczędzania zachęcała gra, której tematem było ograniczanie użycia energii, gazu i prądu. Symbolizować to miał pościg na planszy za złodziejem kradnącym węgiel... Gra była niezwykle popularna – w obiegu znalazło się jej aż 4 mln egzemplarzy.

Przykłady te pokazują, że walka militarna była często tylko przedłużeniem zmagań ukrytych, pozornie mało znaczących, których stawka była jednak najwyższa. Od najmłodszych lat chodziło o to, żeby wychować obywateli posłusznych wizji wodza i partii, bez wątpliwości wierzących w głoszone ideały i sny o nazistowskiej potędze oraz zdolnych do największych okropieństw w imię tych ideałów. To, co zaczynało się od karykatur, swój gorzki koniec znalazło w obozach śmierci i na polach bitwy największej wojny naszych czasów.

PYTANIE: Jak brzmi nazwisko najsłynniejszej, nazistowskiej reżyserki filmów propagandowych?

ODPOWIEDŹ: SMS pod nr 7368 o treści: Odkrywca._____ (po kropce, bez spacji wpisać odpowiedź na pytanie).

KONKURS SMS-owy nr 3

10 nagród książkowych.
Ogólna wartość nagród – 409 zł.

Aby zagrać o nagrodę od 10 II 2013 r. do 28 II 2013 r. wyślij odpowiedź na pytanie SMS-em w treści wpisując: ODKRYWCA.odpowiedź na pytanie odpowiedź na pytanie konkursowe należy wpisać bezpośrednio po kropce, nie używając spacji po treści kodu pod numer 7368 za 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach GSM)

Nagroda zostanie przekazana zwycięzcy Konkursu kurierem lub pocztą po opublikowaniu listy zwycięzców.

Pełny regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl

Literatura i źródła:
1. S. Newcourt-Nowodworski „Czarna propaganda", Znak 2008
2. K. Kotula „Deutschland, Deutschland über Alles...! – Czyli film na usługach niemieckiej propagandy na przykładzie Generalnego Gubernatorstwa", konflikty.pl, Portal Historyczno-Militarny.
3. B. Drewniak, „Kult w cieniu swastyki", Poznań 1969
4. E. Król „Propaganda i indoktrynacja narodowego socjalizmu w Niemczech 1919-1945", Warszawa 1999

– Ten z obstawy Hitlera? Wiem, o kogo chodzi. To on jeszcze żyje? Niech pan idzie do... (nazwisko i imię znane autorowi). Oni się znali. Chyba nawet razem chodzili do szkoły. On na pewno coś panu o nim powie – odpowiedź przypadkowego mieszkańca Starych Siołkowic pod Opolem.
„Misch, Misch, jesteś rybą"... słowa najmłodszej córki Goebbelsa Heidi wypowiedziane na chwilę przed tym, jak została zabita przez Magdę Goebbels w bunkrze Hitlera, 1 V 1945 roku.

Rochus Misch

– człowiek, któremu los przeznaczył życie

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA
ZDJĘCIA: ZB. AUTORA

Berlin. Gigantyczne miasto pełne monumentalnych i reprezentacyjnych budowli, wizytówka europejskiej kultury. Miasto, o którym piękna i wyniosła Marlene Dietrich w piosence „Das ist Berlin" słusznie śpiewała jako o perle nad Sprewą. Miasto pełne różnorakich idei, rozbrzmiewające różnymi językami, będące kolebką wielu ideologii, mekka artystów, polityków i szarlatanów. Takim było dotąd. W kwietniu 1945 r. przypominało miejsce, w które uderzyła bomba atomowa. Zdruzgotane i ciężko poranione wojną, wypełnione morzem ruin i zapachem śmierci, którego nawet nie były w stanie strawić pożary. Umierające miasto, które płaciło rachunek zaciągnięty przez szaleńców. W takim właśnie Berlinie znalazł się bohater mojej opowieści.

W ciemnym, dusznym i klaustrofobicznym bunkrze Führera, ukrytym pod ziemią nieopodal zrujnowanej Kancelarii Rzeszy, szaleństwo odgrywało ostatni akt wielkiej sztuki, której dotąd sceną był cały świat. Wszechobecne mundury różnych formacji tylko przypominały czasy świetności III Rzeszy, gdy większość Europy żyła w cieniu flagi ze swastyką. Teraz świat Hitlera skurczył się do tego miejsca, oczekując na nieuchronną agonię. Już nie pomagały wojenne narady, gniewne, pełne krytyki słowa Führera, przesuwanie na mapie nieistniejących dywizji i puste obietnice tych, którzy zawsze byli nieszczerzy. Tak naprawdę najbardziej chodliwym towarem były wyprodukowane przez więźniów kapsułki zawierające szybką i pewną śmierć. To antidotum na wypadek najgorszego. W jednym z pomieszczeń młody, wysoki mężczyzna z uwagą obserwował centralę telefoniczną nasłuchując dźwięku nadchodzących rozmów, a czasami wysyłając w świat ostatnie komunikaty tych, których za chwilę śmierć miała ogarnąć swoimi ciemnymi skrzydłami. Wykonywał swoje czynności automatycznie i z wielką precyzją. Zajmował się tym od lat. Był w mundurze SS-mana, gdyż od dawna służył w formacji Leibstandarte Adolf Hitler – LAH, elitarnej jednostce kojarzonej z Berlinem i samym Führerem. Był w stopniu Oberscharführera SS. Skupiał się na swojej pracy, mając jednocześnie myśli pełne zatroskania o swoją rodzinę. Już kilka razy starał się połączyć telefonicznie z domem w jednej z dzielnic Berlina. Bezskutecznie. Miał czarne myśli, lecz migoczące światełka centrali telefonicznej hipnotyzowały i nie pozwalały oszaleć. Skupiał się na nich, czasami ze zmęczenia przysypiając. Pewnie dlatego nie zauważył anioła śmierci, który wolno przechadzając się korytarzem najpierw zabrał pod swoje ciemne skrzydła Adolfa Hitlera i jego młodą małżonkę, potem dzieci Goebbelsów, pełnego chorej dumy Josepha Goebbelsa i jego fanatyczną małżonkę Magdę oraz kolejnych uczestników tej bezsensownej tragedii. Ale Rochus Misch nie miał zamiaru umierać. Dla niego koniec III Rzeszy wcale nie oznaczał upadku świata. Doprowadzony do granic wytrzymałości zasnął. I obudził się w zupełnie innym, pełnym złowrogiej ciszy świecie.

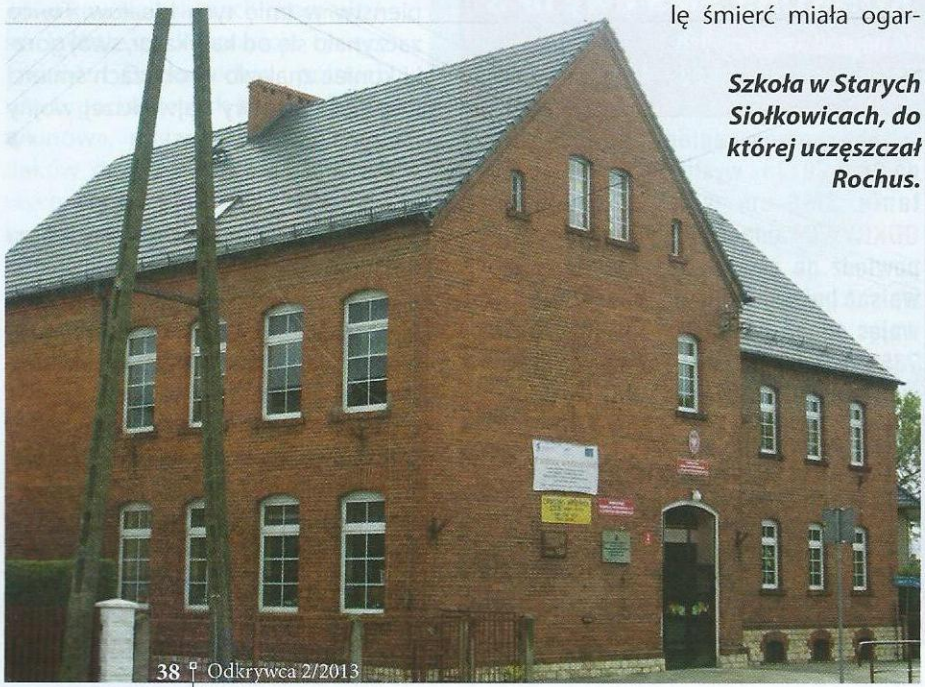

Szkoła w Starych Siołkowicach, do której uczęszczał Rochus.

Przenieśmy się teraz w inne miejsce. Stare Siołkowice (niem. Alt Schalkowitz, od 1936 r. Alt Schalkendorf) to mała, senna miejscowość pod Opolem. Ma bardzo bogatą historię sięgającą swoimi korzeniami gdzieś do XIII wieku. Zawsze można było w niej usłyszeć zarówno język niemiecki, jak i polski. Jeszcze w połowie XIX w. miejscowość składała się z około 50 gospodarstw. W pierwszej połowie XIX w. wikarym w miejscowej katolickiej parafii był doskonale znany Ślązakom „pszczeli ojciec", czyli ksiądz Jan Dzierżoń, który urodził się niedaleko stąd. W 1910 r. wieś połączono linią kolejową z Opolem i Wrocławiem, tak

więc dla miejscowych ludzi otworzyło się okno na szeroki świat, niekoniecznie pełen dobrych myśli. I wojna światowa pochłonęła część mieszkańców, którym pozostali, ku wiecznej pamięci, wystawili pomnik. Po plebiscycie i ostatecznym podziale Górnego Śląska, miejscowość pozostała po stronie niemieckiej, choć 1/4 jej mieszkańców deklarowała się jako Polacy.

Bohater mojej opowieści Rochus Misch urodził się 27 VII 1917 r. w Starych Siołkowicach. Przyszedł na świat w tym samym dniu, w którym mężczyźni z jego wsi nieśli na cmentarz trumnę z ciałem jego ojca. Ojciec Rochusa, który także miał na imię Rochus, z wykształcenia był robotnikiem budowlanym, a jeszcze do niedawna żołnierzem niemieckiej cesarskiej armii. Kilka dni wcześniej, ciężko ranny powrócił z frontu do domu. Właściwie nie przyjechał odpoczywać, lecz spokojnie umrzeć. W dniu swojej śmierci miał 36 lat. Jego syn, Rochus junior, przyszedł na świat w katolickiej rodzinie i w tej wierze wytrwał przez resztę swojego życia. Zresztą w tym rejonie Opolszczyzny katolicyzm wyraźnie dominował nad protestantyzmem. Dano mu na imię Rochus nie bez powodu. Roch to stare nordyckie i germańskie imię, które oznacza kogoś, kto jest surowym i nieustraszonym wojownikiem. W języku łacińskim powstała odmiana tego imienia o brzmieniu Rochus. Katolicy szanowali owe imię ze względu na postać św. Rochusa – patrona aptekarzy, lekarzy, ogrodników, rolników, szpitali i więźniów. Na Śląsku był powszechnie czczony jako święty chroniący od zarazy. W momencie, gdy pozbawiony opieki ojca młody Rochus najbardziej potrzebował swojej matki, zabrakło i jej. Zmarła na infekcję płuc, która najprawdopodobniej była rodzajem powikłania po ciężkiej grypie. Rochus miał wtedy 2,5 roku. Od tego momentu wychowywali go mieszkający w Starych Siołkowicach dziadkowie (rodzice jego matki), choć jego prawnym opiekunem była ciotka, siostra matki, która mieszkała w Berlinie. Dziadkowie nie opowiadali młodemu Rochusowi o swojej córce i nigdzie nie powiesili jej zdjęcia. Być może w ten sposób chcieli uciszyć swój ból. Nie dość, że Rochus nigdy nie poznał swojego ojca, matki właściwie też nie pamiętał. Dziadek Rochusa był surowym i uczciwym człowiekiem, doskonałym adeptem XIX-wiecznego pruskiego wychowania. To właśnie on wpoił młodemu Rochusowi zasadę posłuszeństwa, której ten starał się być wierny przez całe życie. Dla Rochusa tak naprawdę był ojcem. Rochus rozpoczął naukę w miejscowej szkole, której dyrektor zauważył jego zdolności i nalegał na dziadka, aby ten zapisał swojego wnuczka do liceum w Opolu. Ten, w zgodzie ze śląską tradycją chciał, aby Rochus jak najszybciej zdobył fach, więc nie zgodził się na to. Górę wzięło realistyczne pruskie wychowanie. Rochus określał swoje dzieciństwo jako szczęśliwe. Dobrze szedł mu w szkole rysunek, więc dziadek postanowił, że zostanie malarzem. Z pomocą kuzynki Rochusa wysłano go na kurs czeladniczy do pracowni rzemieślniczej w Hoyerswerda w Saksonii. Wyjechał ze Starych Siołkowic w 1932 roku, gdy miał 15 lat. W Hoyerswerda skupił się na nauce zawodu i nie wciągał się w ówczesne wydarzenia polityczne. Jako przyszły adept sztuki malarskiej musiał wykazywać się niebagatelnymi zdolnościami, gdyż w 1935 r. zlecono mu dokończenie dwóch wielkich obrazów przeznaczonych dla miejscowego klubu strzeleckiego (w zastępstwie etatowego malarza, który zachorował). Rochus dość dobrze na tym zarobił, a zdobyte pieniądze przeznaczył na opłacenie kursu doskonalenia zawodowego w Kolonii, w szkole rzemiosł artystycznych. Wiosną 1936 r. powrócił z Kolonii do Hoyerswerda i dokończył praktykę w szkole czeladniczej.

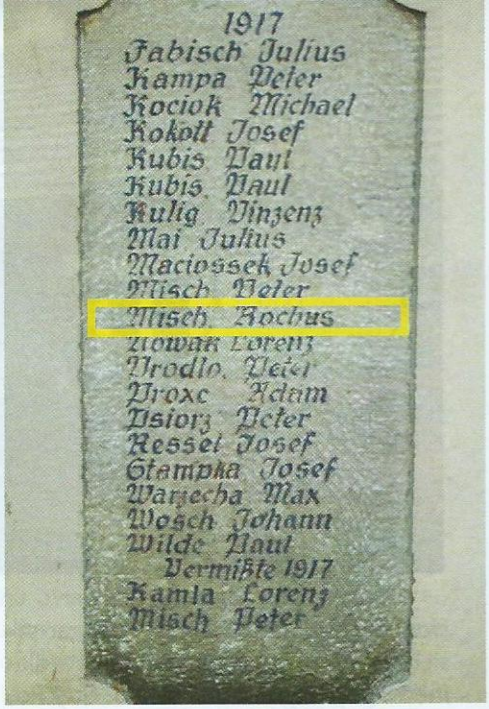

Tablica poległych z 1917 r., na której widnieje nazwisko ojca Rochusa.

Pod koniec 1936 r. otrzymał dyplom wykwalifikowanego malarza i znalazł zatrudnienie w Schwarzwaldzie, w miejscowości Hornberg. W tym roku także zmarł jego dziadek. Zanim zakończył swoją edukację, w miejskim konkursie zdobył dwa bilety na otwarcie Igrzysk Olimpijskich w Berlinie w 1936 roku. Chciał zobaczyć to wielkie sportowe widowisko, które naziści przekształcili w polityczną manifestację siły III Rzeszy. Tam po raz pierwszy w życiu zobaczył Hitlera. Jeszcze nie wiedział, że wkrótce los złączy go z tym człowiekiem. Po wyjeździe do Hornbergu od razu wziął się do nowej pracy. Jego szef w ramach

Kościół w Starych Siołkowicach.

Dom działków Rochusa, w którym się wychował.

środków publicznych miał upiększać sąsiednie wsie i miasteczka malowidłami, więc pracy nie brakowało. Gdy Rochus skończył 19 lat, został wezwany do odbycia służby wojskowej. Centrum rekrutacji znajdowało się w Offenburgu. Rochus przybył tam ze swoim kolegą z pracy, Hermannem. Tam natknęli się na ludzi, którzy werbowali do SS-Verfüngstruppe (w Monachium znajdował się specjalny urząd werbunku do tej formacji – niem. Ergänzungstellen). Rochus i Hermann wiedzieli, że jest to armia rezerwowa w sile trzech pułków nie wchodząca w skład Wehrmachtu. Powiedziano im, że służba w Verfüngstruppe trwa co prawda cztery lata, ale po jej odbyciu będzie można starać się o przyjęcie do korpusu funkcjonariuszy państwowych. To ich przyciągnęło i w ten sposób obydwaj zdecydowali się zostać członkami SS. Czekał ich jeszcze jednak sprawdzian – testy kwalifikacyjne w formie badań i ćwiczeń gimnastycznych, które Rochus przeszedł pomyślnie. On sam twierdzi, że nie pytano go wtedy o pochodzenie rodzinne i przynależność do partii nazistowskiej. To dosyć dziwne, bo Reichsführer SS Heinrich Himmler dopiero w 1938 r. złagodził nieco warunki przyjmowania do SS. Wcześniej twardo trzymano się zasady badania aryjskości, sięgając wstecz do 1800, a nawet 1750 roku. Jednakże Rochus pochodził ze wsi, a takich dość chętnie przyjmowano do SS. Wkrótce dostał wezwanie do stawienia się w Berlinie w dniu 1 X 1937 roku, gdzie trafił do szkoły kadetów w Lichterfelde. Otrzymał mundur feldgrau z oznakami SS i został wcielony do LAH. Na lewym ramieniu wytatuowano mu grupę krwi. W Lichterfelde rozpoczął się cykl mozolnych i niełatwych ćwiczeń, ale dzięki nim Rochus miał odczucie, że staje się kimś lepszym, wybrańcem, któremu ojczyzna powierzyła swój los. Jednakże nadal nie miał ukształtowanych poglądów politycznych.

Jego oddział w marcu 1938 r. brał udział w anschlussie Austrii. Z tego okresu Rochus właściwie zapamiętał jedynie wiedeński klasztor, a także ludzi witających ich kwiatami na ulicach. Ani razu nie wystrzelił, bo nie było takiej potrzeby. Podobno nic nie wiedział o „kryształowej nocy" i sam w niej nie uczestniczył (choć część LAH była zaangażowana w pogrom Żydów). Na wiosnę 1939 r. wraz ze swoim oddziałem uczestniczył w zajęciu Czech. Jego jednostka poprzez Sudety dotarła na Słowację, do Żyliny, gdzie przebywali przez tydzień. W lecie 1939 r. zostali skierowani na południe Niemiec, w pobliże Obersalzbergu, gdzie wkrótce dostali rozkaz wyjazdu do Polski. W ten sposób rozpoczęła się wędrówka Rochusa ku wrotom II wojny światowej.

W tym okresie w jego prywatnym życiu zaszły spore zmiany. W maju 1938 r. spotkał w berlińskim parku Treptow swoją przyszłą żonę. Gerda Lachmund skończyła wtedy 18 lat i po raz pierwszy sama wyszła na publiczną imprezę, gdzie poznała 21-letniego Rochusa. Podobno nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Wzajemne zauroczenie nadeszło nieco później. Co ciekawe, rodzice Gerdy byli zwolennikami socjaldemokratów i doskonale wiedzieli, czym jest formacja, w której służył ulubieniec ich córki. On sam nigdy nie dyskutował z ojcem Gerdy na temat Hitlera, a ten nie wypytywał go o służbę w SS. Jeszcze nie wiedział, że rodzina jego przyszłej żony skrywa wielką tajemnicę.

Gdy wybuchła II wojna światowa i jednostkę Rochusa przerzucono w kierunku Polski, przez kilka dni byli w dawnej polskiej części Górnego Śląska. Później ruszyli na wschód Polski, gdzie po raz pierwszy znaleźli się w ogniu prawdziwej walki. Dotarli w okolice rozpaczliwie broniących się Warszawy i Modlina. 24 IX 1939 r. Rochus wraz z oficerem i dwójką innych żołnierzy, z białą flagą ruszyli w stronę twierdzy Modlin, by ze stroną polską wynegocjować warunki kapitulacji. O jego udziale w grupie parlamentariuszy zapewne zadecydowała znajomość języka polskiego. Załoga twierdzy Modlin odmówiła prowadzenia rozmów kapitulacyjnych, zasłaniając się zależnością od swoich przełożonych. Gdy parlamentariusze wracali na swoje stanowiska, nagle zostali ostrzelani. Rochus został trafiony dwoma kulami (jedna kula przeszyła mu klatkę piersiową, przedziurawiła płuco i przeszła w odległości 2 cm od serca, a druga utkwiła w ramieniu). Jego koledzy zabrali go z odsłoniętej pozycji, a następnie przewieziony został do szpitala w Łodzi. Za odniesioną ranę otrzymał później Krzyż Żelazny II Klasy. Ze szpitala w Łodzi specjalnym pociągiem sanitarnym przewieziono go w okolice Weimaru. Po pobycie w tamtejszym szpitalu wysłano go na 6 tygodni do Bayrischzell w Bawarii. Przebywając w bawarskim uzdrowisku znalazł się w pobliżu jednego z podobozów KL Dachau, a nawet rozmawiał z jednym z więźniów, który był świadkiem Jehowy. Podobno... nie dowiedział się niczego, co wzbudziłoby w nim podejrzenie, że w obozach ludzkie życie jest warte tyle, ile źdźbło trawy. W niemieckiej armii ciągle jeszcze obowiązywał przepis, że ostatni żyjący syn w rodzinie powinienem pozostać na tyłach, z dala od walk, aby rodzina zachowała swoją ciągłość. Dlatego Rochusowi raczej nie groził ponowny przydział do jednostki liniowej. Po rekonwalescencji powrócił do Berlina, do koszar w Lichterfelde, gdzie w kwietniu 1940 r. spotkał swojego szefa kompanii, Hauptsturmführera SS Wilhelma Mohnke, który załatwił mu przydział do Kancelarii Rzeszy, co miało całkowicie odmienić jego życie. Pomógł mu w tym również Theodor Wisch. 2 lub 3 V 1940 r. Mohnke zawiózł go do Kancelarii Rzeszy, gdzie został przyjęty przez Sturmbannführera SS Wilhelma Brücknera. Ten zlecił Rochusowi obowiązki

Pomnik upamiętniający ofiary I wojny światowej.

kuriera i zakwaterował go w budynku Kancelarii, w skrzydle adiutantów (niem. Adjutantenflügel). Rochus był wtedy w stopniu Scharführera SS (awans dostał podczas Kampanii Wrześniowej). Tak rozpoczęła się jego służba dla samego Adolfa Hitlera, która miała zakończyć się dopiero w maju 1945 r. w ponurych wnętrzach berlińskiego bunkra Führera.

Rochus, rozpoczynając służbę jako kurier w Kancelarii Rzeszy, na początku czuł się zagubiony. Zazwyczaj nosił przesyłki do Wilhelma Brücknera, Alberta Bormanna, ambasadora Walthera Hewela, Heinza Lorenza i Otto Dietricha. 8 lub 9 V 1940 r. został wezwany do biura Brücknera, gdzie musiał wypełnić kwestionariusz. Pytano go o pochodzenie, o walkę w Polsce i stosunki z kolegami. Rozmowie Rochusa z Brücknerem najprawdopodobniej przysłuchiwał się sam Hitler. Sparaliżowany lękiem Rochus natknął się na niego w drzwiach. Hitler spytał o jego pochodzenie i następnie wysłał go z listem do swojej siostry Pauli do Wiednia. Zgodnie z rozkazem dostarczył przesyłkę do Wiednia, gdzie osobiście spotkał siostrę Hitlera. Był w jej mieszkaniu tylko przez pół godziny. Wsiadł do pociągu do Wrocławia, a stamtąd dostał się do Opola, skąd wąskotorówką pojechał do swojej babci, która mieszkała w Starych Siołkowicach. Był tam niecałe trzy dni. Gdy powrócił do Berlina, Hitlera już tam nie było, gdyż kierował działaniami bojowymi przeciwko Francji. Podczas nieobecności Hitlera Rochusa przyuczono do obsługi nowoczesnej, skonstruowanej w 1939 r. centrali telefonicznej w Kancelarii Rzeszy. Zapamiętał numer do Kancelarii, który nie zmienił się do końca III Rzeszy i brzmiał 120050. Do Rochusa można było się dodzwonić wybierając numer wewnętrzny 157. Podobno w tym czasie nadal nikt nie wypytywał go o przynależność do NSDAP, o jego poglądy i zaangażowanie polityczne. Stał się ulubieńcem Alberta Bormanna (mniej znanego brata Martina Bormanna), który zarządzał prywatną kancelarią Hitlera, a także miejscem, gdzie Führer gromadził otrzymane prezenty. Rochus miesięcznie zarabiał 287 RM plus 50 RM premii, które wypłacał mu jego krajan, pochodzący z Lublińca Hans Heinrich Lammers. Nie mam zamiaru opowiadać Wam jego dalszej wojennej historii. Rochus sam ją opisał i wydał w autobiografii pt. „Der Letze Zeuge", która w Polsce ukazał się pod niezbyt trafnym tytułem „Byłem z Hitlerem do końca. 1940-45". Dzięki swojej pracy w centrum III Rzeszy miał kontakt z wieloma znanymi postaciami. W Berghofie poznał Ewę Braun, na którą później natknął w Berlinie. Spotykał wszystkich prominentów III Rzeszy, rozmawiał z feldmarszałkiem Erwinem Rommlem, który pokazywał mu zdjęcia z Afryki. Kładł ciepły kocyk na nogach Wiaczesława Mołotowa, gdy ten jesienią 1940 r. znalazł się w Berlinie, widział piękną i dystyngowaną Olgę Czechową (która okazała się sowieckim szpiegiem), uroczą i młodą Lidę Baarovą (która o mały włos nie doprowadziła do rozwodu małżeństwa Goebbelsów), czy też uwielbiane bliźniaczki Höpfner. Poznał znanego i cenionego dyrygenta Wilhelma Furtwänglera, któremu osobiście przywiózł paczkę do Hitlera. Rozmawiał z Leni Riefenstahl, razem z Hitlerem odwiedził pracownię Gerdy Troost, a także towarzyszył Führerowi podczas jego spotkania z węgierskim admirałem Horthym. Rozmawiał również z Hanną Reitsch. Trzy, czy cztery razy jeździł wraz z Hitlerem pociągiem specjalnym „Amerika". Widział Mussoliniego, a także na życzenie Führera odwiedził dr. Theo Morella. Od 1941 do 1943 r. wraz z Hitlerem przebywał w „Wilczym Szańcu" (niem. Wolfschanze), opuszczając go na niewielkie okresy czasu. Wspominał, że pierwsze tygodnie pobytu w mazurskiej kwaterze Hitlera przypominały uzdrowisko. Centralę telefoniczną obsługiwał Wehrmacht, więc Rochus nie miał prawie żadnych dyżurów. Wojna była gdzieś daleko, właściwie nierealna i nienamacalna. Jednakże wbrew oficjalnemu zakazowi, Rochus przeczytał kiedyś jedną z przenoszonych przez siebie depesz, która informowała o ekipie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, która miała odwiedzić obóz koncentracyjny. To podobno była jedyna informacja o obozach, jaka podczas wojny oficjalnie dotarła do Rochusa. Później znalazł się u boku Hitlera w polowej kwaterze „Werwolf" w Winnicy na Ukrainie i w kwaterze „Adlerhorst" podczas kontrofensywy w Ardenach. Pod koniec grudnia 1944 r. wraz z Hitlerem powrócił do Berlina. Obydwaj pozostali w nim do końca.

W noc sylwestrową w 1942 r. Gerda wyszła za niego za mąż. Świadkiem na ich ślubie był Karl Tanazek, kolega Rochusa z LAH. Państwo młodzi dostali

Pomnik ofiar II wojny światowej obok siołkowickiego kościoła.

w prezencie od Kancelarii Rzeszy 40 butelek markowego reńskiego wina, które później zakopali w ogródku. Do prezentu dołączona była kartka z życzeniami ślubnymi, odręcznie napisana przez Hitlera. Dzięki wydanemu im przez intendenturę Kancelarii „bonu mieszkaniowemu" dostali ładne trzypokojowe mieszkanie w Karlhorst. Czynsz za mieszkanie w wysokości 87 RM płaciła Kancelaria Rzeszy. Podobno dopiero po wojnie i po powrocie z sowieckiej niewoli Rochus dowiedział się, że jego żona miała żydowskie korzenie. Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, bo przecież każdy członek SS musiał złożyć podanie o pozwolenie na ślub, dołączając do niego zdjęcie narzeczonej w kostiumie kąpielowym, a niewykonanie tego rozkazu oznaczało wyrzucenie z SS. Każda kobieta, która chciała zostać żoną SS-mana, wraz ze swoją rodziną musiała udowodnić aryjskość (sięgając dokumentami do 1750 roku). Musiała również poddać się drobiazgowym badaniom lekarzy SS, którzy na podstawie kartoteki lekarskiej określali jej płodność i stan zdrowia. Faktem jest, że pod koniec 1942 r. przepisy te nie były już tak rygorystycznie przestrzegane, ale w końcu Rochus był członkiem LAH, SS-mańskiej elity. Jak więc tłumaczyć niewiedzę Rochusa na temat prawdziwego pochodzenia swojej żony? Czy naprawdę o tym nie wiedział, a rodzina żony spreparowała odpowiednie dokumenty? A może wiedział o tym doskonale i sam pomógł w zatarciu prawdziwych faktów? Córka Gerdy i Rochusa o imieniu Brigitte urodziła się 11 IV 1944 roku.

Jeden z wielu grobowców Mischów znajdujących się na siołkowickim cmentarzu.

Wspominał ciemną i klaustrofobiczną atmosferę bunkra Hitlera, przesiąkniętą zapachem potu, strachu i śmierci. Zaprzeczał, jakoby w bunkrze nastąpił całkowity rozkład dyscypliny, który został pokazany w filmie „Upadek" (twórcy tego filmu nie zwrócili się do niego o pomoc). W ostatnich dniach martwił się o swoją rodzinę i bez przerwy dzwonił do domu. Jego żona i dziecko przeprowadzili się do Rudow, do mieszkania jej rodziców. 22 kwietnia dostał od Franza Schädle propozycję ewakuacji z Berlina samolotem (wraz z żoną i córką). Gerda odmówiła. Nie chciała zostawić rodziców, a do tego ich córka zachorowała. To był ostatni raz, gdy widział się wtedy z żoną. Przebywając w bunkrze nie dostał kapsułki z trucizną. Zresztą i tak by jej nie użył. Pozostał tam wierząc w życie, choć anioł śmierci przechadzał się tam i z powrotem, tuż obok niego. Hitler nie pożegnał się z nim, ale zrobili to Goebbelsowie. W końcu pozostało ich dwóch – Rochus Misch i elektryk, berlińczyk Johannes Hentschel, dwie żywe postacie w królestwie śmierci. A później? Nieudana ucieczka, sowiecka niewola, moskiewska Łubianka, przesłuchanie za przesłuchaniem, bicie i poniżanie, myśli samobójcze i nadzieja na ocalenie. Potem Ural i Kazachstan. Poczytajcie sami w jego wspomnieniach. Do rodziny powrócił w 1953 roku. Przez rok próbował przyzwyczaić się do normalnego życia.

Na koniec tej opowieści powróćmy do Starych Siołkowic. Dom, w którym się wychował, stoi przy ulicy o bardzo dziwnej nazwie. Nie powiem Wam jakiej, bo nie wiem, czym to się skończy dla jego obecnych mieszkańców. Liczna rodzina Mischów zapewne stanowiła dość sporą część społeczności Starych Siołkowic. Na obecnym cmentarzu parafialnym, spacerując pomiędzy grobami, napotykamy nagrobki zawierające nazwisko Misch. Spotkałem ich tam wiele, ale nie znalazłem grobu ojca Rochusa ani jego matki. Bez wątpienia niektóre z tych osób osobiście znały Rochusa, jak chociażby Franz Misch (1899-1944), czy Paweł Misch (1884-1943). Nie wiem w jakim byli ze sobą stopniu pokrewieństwa. Po wojnie, gdy dla ludności Opolszczyzny nadeszły ciężkie, pełne nienawiści czasy, zbyt niemiecko brzmiące nazwisko zmieniono i w ten sposób na późniejszych nagrobkach widnieje swojsko brzmiące nazwisko Miś. Wielu Misiów mieszka w Starych Siołkowicach do dzisiaj...

Przed siołkowickim kościołem ustawiono duży pomnik mieszkańców, którzy zginęli podczas I wojny światowej. Ma formę łuku, gdzie uzbrojona postać chroni tych, których nazwiska tu uwieczniono. Ilość wymienionych na pomniku osób od razu uświadamia, jak duży był ogrom poniesionych wtedy strat. W ciągu czterech lat wojny 20 osób ze Starych Siołkowic uznano za zaginione. Kolejne tablice upamiętniają tych, którzy zginęli. Wymieszane są tam polskie i niemieckie nazwiska. Znajdują się tam również nazwiska z rodziny Misch. Tablica upamiętniająca 1914 rok zawiera 23 nazwiska, w 1915 – 25 nazwisk (w tym Misch Theodor), w 1916 – 24 nazwiska (w tym Misch Konstantin i Misch Theodor), w 1917 – 20 nazwisk poległych (w tym Misch Peter i Misch Rochus – ojciec bohatera naszej opowieści) i dwóch zaginionych (w tym Misch Peter), a w 1918 – 24 nazwiska (w tym Misch Rochus i Misch Josef). Wydaje się jednak, że uwiecznione na tablicach napisy nie są pozbawione błędów. W pobliskiej miejscowości Rudziniec mieszkał Robert Misch, który zginął 25 VIII 1916 r., a 24 IV 1918 r. zginął Paul Misch, także z Rudzińca. Do tego dochodzi odrębna tablica poświęcona zaginionym, zawierająca 20 nazwisk. Ogółem daje nam to liczbę blisko 130 osób, którzy oddali swoje życie na różnych frontach tej wojny. Wśród nich osiem razy pojawia się nazwisko Misch. Niejaki Robert Misch (ur. 19 V 1878 r.), który pochodził z Gliwic i zginął na froncie 17 IV 1917 r., być może również był rodziną Rochusa. Zaraz obok kościoła znajduje się budynek starej szkoły, do której najprawdopodobniej chodziły wszystkie dzieci ze Starych Siołkowic, a więc i sam Rochus. Nieopodal kościoła stoi kapliczka, gdzie na początku lat 90.

upamiętniono nazwiska tych, których z kolei zabrała II wojna światowa. Wśród nich spoczywa ksiądz Theofil Plotnik (1888-1960), który od czerwca 1913 r. był proboszczem tej parafii. Bez wątpienia znał, a może nawet i chrzcił Rochusa. To właśnie ten ksiądz odprawiał wszystkie nabożeństwa żałobne, poświęcone tym, którzy polegli bądź zaginęli na frontach II wojny światowej. Na tablicach widnieje blisko 200 nazwisk osób, które poległy i blisko 100, które zaginęły. Wśród nich pojawiają się, a nawet powtarzają osoby z nazwiskiem Misch (Anton, Paul, Josef, Max, Georg, Peter, Alfred), co oznacza, że co najmniej siedmiu członków tej rodziny kolejna wojna zabrała ze sobą. Do tego dochodzi blisko 60 osób cywilnych, które zapewne z różnych przyczyn poniosły śmierć z powodu wojny. Gdy to zsumujemy, okazuje się, że wojna rozpętana przez tych, którzy siali nienawiść, zabrała ze sobą co najmniej 250-300 osób z tak małej miejscowości. Razem z ofiarami I wojny światowej mamy grubo ponad 400-stu mężczyzn. Właściwie można sobie wyobrazić, że męska populacja Starych Siołkowic przestała istnieć. W maleńkich Starych Siołkowicach urodził się jeszcze jeden związany z okresem II wojny światowej człowiek, jedna z legend Luftwaffe. Był nim urodzony 26 IV 1918 r. Josef o słowiańsko brzmiącym nazwisku Kociok.

Rochus Misch przez wiele lat pozostawał nieznany. Dopiero powstanie filmu „Upadek" rozpoczęło okres zainteresowania mediów jego osobą. Później pracował jako konsultant pisarza Christophera McQuarrie nad filmem „Walkiria". Bardziej znana była jego żona, która zaangażowała się w politykę i stała się znaną działaczką niemieckiej partii socjaldemokratycznej. Natomiast jego córka, Brigitte, być może dla uspokojenia własnego sumienia, wyszła za mąż za mężczyznę żydowskiego pochodzenia i urodziła mu dwóch synów, Aleksandra i Rochusa Jacoba. Unikała kontaktów ze swoim ojcem, prawdopodobnie nie mogąc uwolnić się od myśli o jego przeszłości. W końcu jako dziecko była wożona w wózku, które jej rodzicom podarowała sama Ewa Braun… Żona Rochusa, Gerda, zmarła w 1997 roku. On sam nadal mieszka w Berlinie, w małym, białym domku pokrytym łuszczącym się tynkiem, z szarą, metalową bramą, w odległości nieco ponad 3 km od dawnego bunkra Führera, w którym służył. Stał się sławny od momentu, gdy udzielił obszernych wywiadów francuskiemu dziennikarzowi Nikolasowi Bourcier, czego efektem było powstanie książki pt. „J'etais garde du corps d'Hitler 1940-1945", wydanej w Ameryce Południowej, Japonii, Hiszpanii, Turcji, Niemczech i w Polsce. Jego córka, Brigitte Engelken, mieszka w Bawarii, ale dla Rochusa to drugi koniec świata. Rochus nie ma do niej pretensji. Po prostu stara się ją zrozumieć.

Kiedyś do niego napisałem. Przecież pochodzimy prawie z tego samego miejsca. To tylko kaprys losu spowodował, że urodziliśmy się w różnych światach. On pewnie też to zrozumiał. Wysłał mi zdjęcie ze swoją dedykacją. Od tego czasu mieliśmy ze sobą ograniczony kontakt, który ostatnio niestety się urwał. Pewnie jego wiek zrobił swoje. W ten sposób dotknąłem historii, jego wspomnień i przeżyć, ale także anioła śmierci, którego on wtedy spotkał. Lecz jemu życzę jak najwięcej lat życia. A za motto tej opowieści niech posłużą słowa samego Rochusa: *„Nie czuję się winny. Wykonywałem swoją pracę i nikogo nawet nie zraniłem. Podczas całej tej wojny nie oddałem ani jednego wystrzału. Nie żałuję niczego. Gdybym powiedział co innego, nie byłbym uczciwy. Wykonywałem swoje zadanie żołnierza tak, jak miliony innych Niemców. Byłem w tym tłumie i sądzę, że zapłaciłem za to moimi dziewięcioma latami więzienia w Związku Radzieckim. Rochus Misch".*

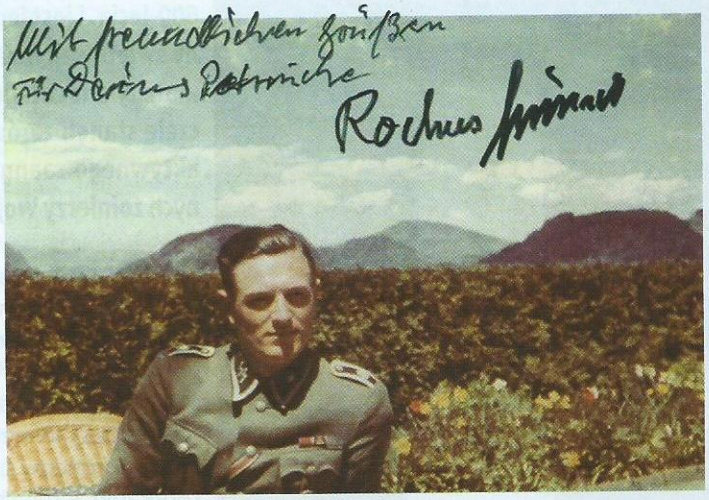

Zdjęcie Rochusa Mischa z dedykacją dla Autora.

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

P.S. Podobno niebawem w Hollywood ma powstać film oparty na wydanych w 2008 roku wspomnieniach Rochusa pt. „Ostatni świadek" (niem. „Der Letzte Zeuge"), dla którego przewidziano ogromny budżet. Nie wiem, czy Rochus zdąży go zobaczyć.

W numerze grudniowym z 2012 r. ogłosiliśmy pierwszy konkurs smsowy. Pytanie dotyczyło treści jednego z publikowanych artykułów. Otrzymaliśmy ogromną ilość odpowiedzi, za które wszystkim uczestnikom konkursu gorąco dziękujemy. Co najbardziej cieszy, to fakt, iż pomysł okazał się trafiony i zyskał Waszą aprobatę.
Dlatego też co miesiąc ogłaszamy nowe, różnorodne konkursy, w których każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie, nie wygrywa tylko ten, kto nie gra!

Oto lista laureatów pierwszego konkursu „Odkrywcy". Wszyscy wymienieni zajęli równoważne miejsca i otrzymali nagrody – polskie komiksy związane z wydarzeniami II wojny światowej.

- Artur Wędrzyński
- Tomasz Łowkiewicz
- Jarosław Ratajczak
- Arkadiusz Kamiński
- Franciszek Mejer
- Mariusz Woroszyło
- Grzegorz Gołębiowski
- Krzysztof Zecer
- Tomasz Smoliński
- Wiesław Mączkowski

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Pomnik Poległych w Sochaczewie – przebudowa 2012-13

Oddać honor żołnierzom II Rzeczpospolitej

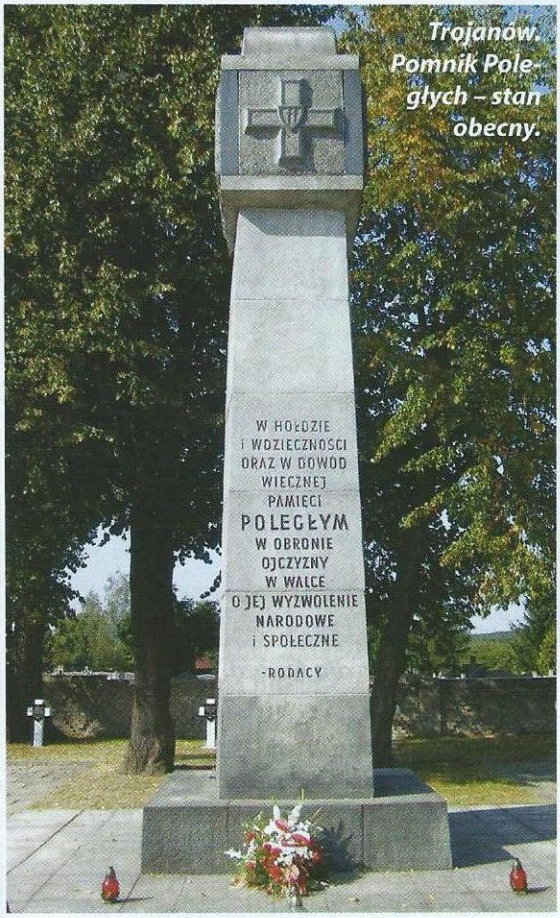

Trojanów. Pomnik Poległych – stan obecny.

TEKST: JAKUB WOJEWODA

Już niebawem ruszy przebudowa Pomnika Poległych na największym polskim cmentarzu z okresu wojny 1939 roku. Cmentarz znajduje się w Sochaczewie przy Al. 600-lecia, i jest jednym z dwóch miejsc spoczynku żołnierzy polskich z okresu II wojny światowej. Działania mające na celu dokonanie zmian w treści monumentu, wymagały znacznego nakładu pracy i współdziałania wielu osób i instytucji. Na ich czele stanęli zarówno zawodowi historycy, jak i pasjonaci, zaś siłą sprawczą do ich aktywnego zaangażowania, były opinie środowiska kombatanckiego przedwojennych żołnierzy Wojska Polskiego i Armii Krajowej.

Weterani II wojny światowej od zawsze czynnie wspierali i licznie odwiedzali Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą, które w tym roku obchodzi 40. rocznicę założenia. W sierpniu 2009 r. w Sochaczewie miało miejsce wyjątkowe wydarzenie. Muzeum gościło blisko 200 weteranów II wojny światowej z 21 krajów świata, w ramach Światowego Zjazdu Kombatantów Polskich zorganizowanego przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Sochaczewskie „Spotkanie Pokoleń", zainaugurowane widowiskiem historycznym, zakończono m.in. wspólnym złożeniem kwiatów pod Pomnikiem Poległych na cmentarzu wojennym. W rozmowach prowadzonych z uczestnikami Zjazdu przez dyrektora muzeum Macieja Wojewodę, wielokrotnie podkreślano potrzebę szerzenia prawdy historycznej i utożsamienia pochowanych na cmentarzu żołnierzy poprzez wyrażone na pomniku treści. Kwestia ta została wzmocniona rezolucją Światowego Zjazdu Polskich Kombatantów odczytaną przez kpt. Eugeniusza Cydzika ze Lwowa (we wrześniu 1939 r. uczestnika walk o Grodno, następnie żołnierza AK, opiekuna Cmentarza Obrońców Lwowa), na oficjalnym spotkaniu żołnierzy weteranów z prezydentem RP Lechem Kaczyńskim.

Kolejnym wydarzeniem, które zwróciło uwagę na tę jakże istotną kwestię, była Konferencja Krajowej Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, która odbyła się w maju 2011 r. W całości poświęcono ją problematyce cmentarzy, grobów i mogił wojennych z okresu bitwy nad Bzurą 1939 r. W programie znalazło się m.in. zwiedzanie miejsc pamięci narodowej usytuowanych na terenie Sochaczewa i powiatu sochaczewskiego, które zorganizowało Muzeum Ziemi Sochaczewskiej, współtwórca konferencji. Trasa wiodła przez tereny walk 1939 roku. Miejscami poddanymi wizytacji były kwatery wojskowe i cmentarze wojenne w Rybnie, Iłowie, Budach Starych i Juliopolu. Ostatnią odwiedzoną nekropolią był cmentarz wojenny w Sochaczewie. Podczas jego lustracji żywo dyskutowano o potrzebie podjęcia działań na rzecz zmian na Pomniku Poległych. W tym celu uczestnicy konferencji postanowili niebawem spotkać się ponownie.

Największy cmentarz wojenny

Wydzielony cmentarz wojenny nr 38 przy Alei 600-lecia w Sochaczewie, w tradycji mieszkańców znany jako cmentarz w Trojanowie, powstał w 1940 r., a jego powierzchnia wynosi ok. 4410 m kw. Biorąc pod uwagę liczbę poległych – jest to największy cmentarz z okresu Wojny Polskiej 1939 roku. Założono go po bitwie nad Bzurą. W zbiorowych mogiłach spoczywa tam 3530 żołnierzy[1] i oficerów armii „Poznań" oraz „Pomorze". Znajduje się tu również kwatera 20 żołnierzy oddziału partyzanckiego „Socha"[2] z VIII Obwodu AK, poległych w Bronisławach podczas oczekiwania na zrzut broni 4 IV 1944 roku. Pochowano tu także 142 cywilne ofiary zbrodni niemieckich z okresu okupacji 1939-45. Według niesprawdzonych danych, pod koniec lat 40. i na początku 50. zdarzały się przypadki potajemnego grzebania na jego terenie ofiar terroru stalinowskiego, być może żołnierzy AK, WIN, NSZ przywożonych tu z niewiadomego kierunku[3].

Kombatanci podczas Zjazdu na cmentarzu w Trojanowie. Fot. tygodnik „Ziemia Sochaczewska".

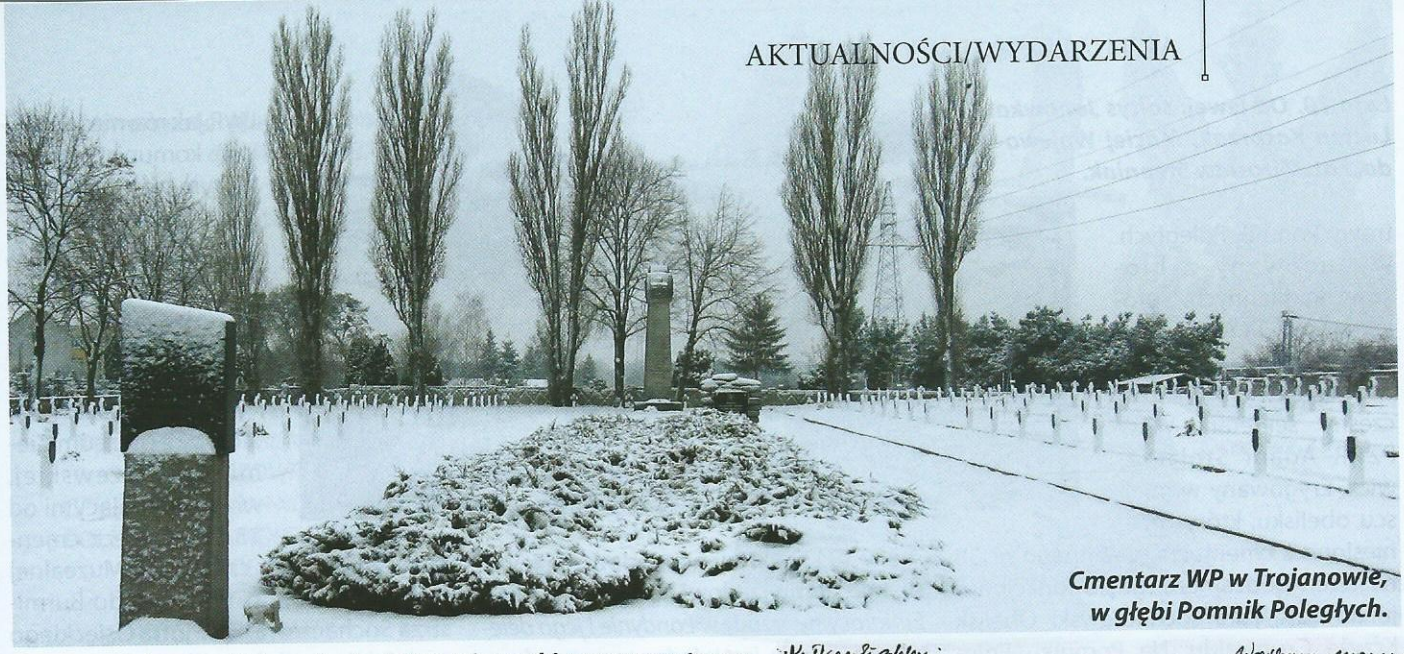

Cmentarz WP w Trojanowie, w głębi Pomnik Poległych.

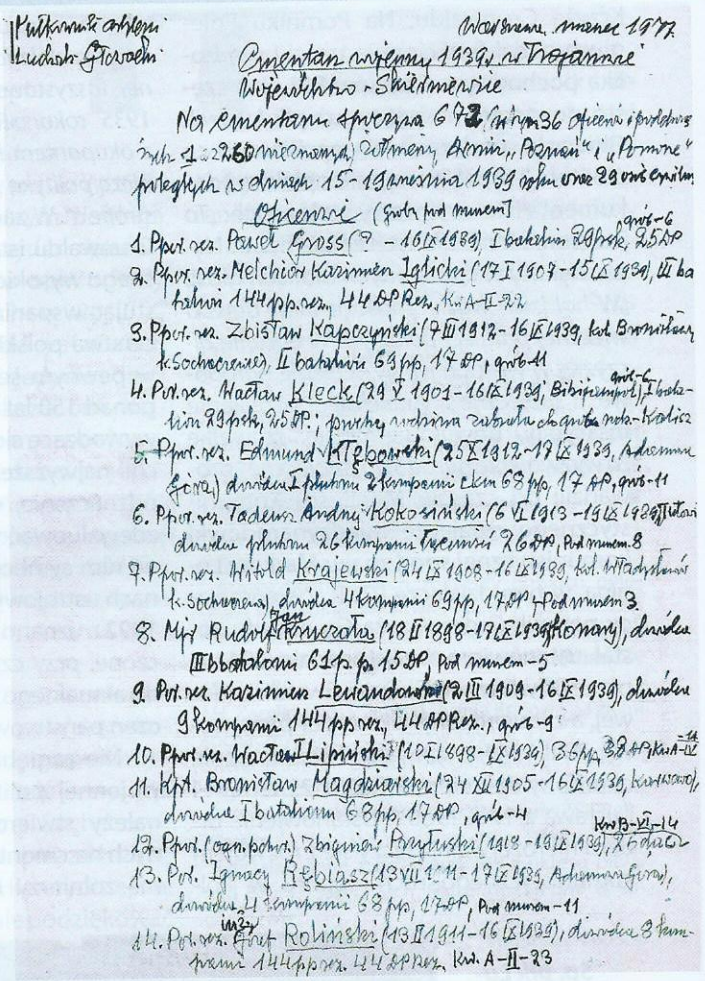

Odręczna lista poległych płk. Głowackiego z cmentarza nr 38 w Trojanowie.

Nekropolię tworzono przez lata, likwidując mniejsze cmentarze i pojedyncze groby z pola bitwy. Spośród 3530 zabitych zidentyfikowano zaledwie 536 osób. Spoczywają tu polscy żołnierze z wielu przedwojennych jednostek: 4. pal, 7. baon sap, 7. pac, 7. psk, 10. pp, 14. pp, 14. pal, 15. puł, 15. baon sap, 15. dac, 16. pp, 17. pp, 18. pp, 19. pp, 22. pp, 23. pp, 24. pp, 25. pal, 25. pp, 25. dac, 26. pal, 29. psk, 31. pal, 35. pp, 36. pp, 37. pp , 41. pp, 56. pp, 58. pp, 60. pp, 61. pp, 62. pp, 63. pp, 68. pp, 69. pp, 70. pp, 71. pp, 144. pp rez.[4] Wśród rozpoznanych dowódców pochowani tutaj zostali m.in.: mjr Stanisław Szczygieł, d-ca I batalionu 29. pp (poległy 16.09.1939 w Żukowie); mjr dypl. Franciszek Wysocki, d-ca I batalionu 61. pp (poległy 17.09.1939 w Chodakowie); mjr Rudolf Kuczała, d-ca III batalionu 61. pp (poległy 17.09.1939 w Brochowie); kpt. Bronisław Magdziarski, d-ca I batalionu 68. pp (poległy 16.09.1939 w Karwowie); kpt. Tadeusz Scheur, d-ca artylerii piechoty 29. pp (poległy 16.09.1939 w Chodakowie); por. Ignacy Rębiasz, d-ca 4. kompanii 68. pp (poległy 17.09.1939 w Gawłowie); ppor. Michał Skuza, d-ca II /5. kompanii 18. pp (poległy 14.09.1939 w Czerwonce)[5]. W bitwie nad Bzurą, stoczonej w dniach 9-22 IX 1939 r., straty polskie wyniosły ponad 20 tys. zabitych[6]. Zdecydowana większość poległych i zmarłych z ran do dziś pozostaje bezimienna. Brak identyfikacji spowodowany był wieloma czynnikami. Zarówno celowym zacieraniem śladów przez Niemców niszczących osobiste dokumenty żołnierzy, jak i brakiem profesjonalizmu prowadzonych działań i wieloma absurdalnymi, politycznymi decyzjami władz PRL w trakcie przenoszenia szczątków i komasacji grobów po zakończeniu wojny. Jako przykład można podać niezrozumiałą decyzję o likwidacji cmentarza polowego w Janówku (gmina Brochów), gdzie pochowany był m.in. gen. bryg. Stanisław Grzmot-Skotnicki. W latach okupacji niemieckiej, godny osobnego upamiętnienia sołtys Lucjan Kasprzak pochował tam ponad 1500 zabitych. Dane zbierał potajemnie, mimo dozorowania prac przez Niemców, którzy nakazali oddawać wszelkie odnalezione przy poległych dokumenty. Przeprowadzoną w 1952 r.[7] ekshumację wykonano wyjątkowo niechlujnie, nie uwzględniając zaewidencjonowanych przez Kasprzaka nazwisk. *„(…) zwłoki wszystkich poległych, w liczbie 1524, pochowano na specjalnym placu przeznaczonym do tego celu w Janówku. Naprzeciwko zagrody pana Lucjana Kacprzaka. (…) Obecnie wszystkich żołnierzy poległych powtórnie ekshumowano. 250 prochów żołnierskich przewieziono na Powązki do Warszawy, a 1274 na cmentarz wojskowy do Trojanowa[8]”.*

Jeszcze w latach 90. w Janówku, podczas przygotowywania terenu pod monument, szczątki 30 żołnierzy (czaszki) odkrył dyrektor Muzeum Ziemi Sochaczewskiej Maciej Wojewoda. Znalazły one miejsce godnego spoczynku w mogile na cmentarzu parafialnym w Brochowie[9].

Pomnik „nie dla tych żołnierzy”

Punktem dominującym nad wojenną nekropolią w Sochaczewie jest położony w zachodniej części 7-me-

Lata 70. Od lewej: sołtys Janówka Lucjan Kasprzak, Maciej Wojewoda. Fot. Mirosław Stępniak.

trowy Pomnik Poległych. Wybudowany z bloków kamiennych, projektu arch. Tadeusza Wyrzykowskiego, odsłonił w dniu 14 IX 1969 r. ówczesny sekretarz WKW PZPR Adam Stolarzewicz. Erygowany w miejscu obelisku, który przeniesiono z cmentarza wojennego nr 38 na teren podzamcza, gdzie funkcjonuje do dziś, jako sochaczewski Obelisk Krzyża Grunwaldu. Na Pomniku Poległych nadal funkcjonują treści i symbolika pochodząca z czasów PRL. Jak często powtarzał nieżyjący już płk Ludwik Głowacki, podczas walk na Bzurą d-ca 6 baterii 17. pal, następnie opiekun i dokumentalista cmentarzy wojennych: *„To jest pomnik nie dla tych żołnierzy…"*. Napis wykuty w kamiennych blokach głosi: *„W hołdzie i wdzięczności oraz w dowód wiecznej pamięci poległym w obronie ojczyzny w walce o jej wyzwolenie narodowe i społeczne"*. Analizując przesłanie inskrypcji, dowiadujemy się, iż walkę *„o wyzwolenie narodowo-społeczne"* prowadzili od czasów Manifestu Komunistycznego działacze międzynarodówki komunistycznej spod znaku Marksa i Lenina, w tym działacze PZPR. Zwieńczający pomnik Order Krzyża Grunwaldu został ustanowiony w listopadzie 1943 r. przez Dowództwo Główne Gwardii Ludowej, a zatwierdzony, jako order państwowy, 20 II 1944 r. uchwałą KRN. Następnie określony dekretem PKWN z 22 XII 1944 i ustawą z 17 II 1960[10]. Ustanowienie orderu nierozerwalnie łączy się z rozwojem komunistycznego ruchu oporu w Polsce w 1943 r., który nie podporządkował się polskiemu rządowi na emigracji. *„(…) Emigracyjny »rząd« w Londynie i jego delegatura w Kraju, jest władzą samozwańczą, władzą nielegalną. Opiera się na bezprawnej faszystowskiej konstytucji z kwietnia 1935 roku. »Rząd« ten hamował walkę z okupantem hitlerowskim, swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowej katastrofie[11]"*. W zamyśle projektantów Krzyża Grunwaldu istniała idea stworzenia własnego wysokiego odznaczenia. Wykorzystując wspaniały symbol zwycięstwa rycerstwa polskiego z 1410 r., zamierzano w pewnym sensie zastąpić, posiadający ponad 150 lat tradycji Virtuti Militari[12]. Te wywodzące się z czasów polskiej monarchii najwyższe, powszechnie szanowane odznaczenie wojskowe, postanowiono zdewaluować tak samo, jak występujący na nim symbol orła w koronie. Po zmianach ustrojowych w Polsce, w dniu 23 XII 1992 r. uznano nadawanie OKG za zakończone, przy czym nie został on przyjęty do aktualnego polskiego systemu odznaczeń państwowych.

Nie zagłębiając się w szczegóły powojennej polityki rządu PRL, niezbicie należy stwierdzić, iż wśród pochowanych na cmentarzu wojennym nr 38, nie ma żołnierzy Armii i Gwardii Ludowej, LWP, jak również działaczy komunistycznych, którym treść inskrypcji, czy odznaczenie Krzyża Grunwaldzkiego, mogłyby być bliskie.

Armia spod znaku orła w koronie

W maju 2012 r. historycy z Muzeum Ziemi Sochaczewskiej, wraz z działającymi od 15 lat na rzecz cmentarzy wojennych członkami Muzealnej GRH im. II/ 18. pp, wystąpili do Burmistrza Sochaczewa – p. Piotra Osieckiego – z inicjatywą dokonania zmian pomnika. Projekt spotkał się z wielkim zainteresowaniem władz miasta, tym samym, koordynujący działania sochaczewskiego komitetu modernizacji pomnika, radny miejski i historyk Jakub Wojewoda rozpoczął pracę nad kompleksową dokumentacją i wizualizacją projektu. Docelowo zmianom miała zostać poddana inskrypcja oraz zwieńczenie obiektu. W piśmie intencyjnym podkreślano brak uzasadnienia dla występujących aktualnie na obelisku symboli i inskrypcji. *„(…) Obecny tekst i zwieńczenie pomnika, odsłoniętego w 1969 r., nie znajduje uzasadnienia historycznego w kontekście wydarzeń dziejowych. Treść i symbolika pochodząca z czasów PRL, nie służy utrwalaniu pamięci o pochowanych na trojanowskim cmentarzu ludziach, którzy walczyli i ginęli podczas bitwy nad Bzurą 1939 r., oraz w okresie okupacji niemieckiej 1939-45 r."*. W tym czasie przygotowano wizualizację przebudowanego monumentu w kilku wariantach. Zakładano w nich zastąpienie niezwiązanego z cmentarzem Krzyża Grunwaldu na jeden z symboli charakteryzujących armię polską z okresu II RP. Rozważano zastosowanie: Krzyża Virtuti Militari, Krzyża Walecznych, a także symbolu orła – na wzór znaku ornamentacyjnego polskich sztandarów z okresu 20-lecia międzywojennego oraz orła wojskowego na tarczy amazonek wz. 19, stosowanego w przedwojennej armii polskiej na czapkach wojskowych. Nowa inskrypcja w zamierzeniu pomysłodawców, Macieja i Jakuba Wojewodów, uwzględniać miała wszystkich po-

Śp. płk Ludwik Głowacki podczas spotkania z młodzieżą nad Bzurą. Archiwum MZS.

Orzeł ornamentacyjny ze sztandarów WP II RP.

Orzeł wz.19.

Atrybuty żołnierza Września. Fot. Karol Pruski.

chowanych na cmentarzu. Nowa jej treść brzmi:

CZEŚĆ I CHWAŁA!
OBROŃCOM HONORU RZECZYPOSPOLITEJ
ŻOŁNIERZOM BITWY NAD BZURĄ
ARMII „POZNAŃ" I „POMORZE"
BOHATEROM ARMII KRAJOWEJ
OBWODU „SKOWRONEK"
OFIAROM ZBRODNI NIEMIECKICH
POLEGŁYM I ZAMORDOWANYM
ZA WOLNOŚĆ POLSKI
1939-1945
SOCHACZEWIANIE.

Nad tekstem zaplanowano zamieszczenie płaskorzeźby w formie powszechnie rozpoznawalnych atrybutów żołnierza-Polaka z okresu II wojny światowej – hełmów wz.15 i 31 oraz dwóch szabli polskich wz.34. Pełną akceptacją projektu zmian zakończyły się też rozmowy z Urzędem Wojewódzkim w Warszawie oraz WUOZ/ delegatura w Płocku, którym podlega cmentarz. Zanim jednak wydano pisemną zgodę, konieczna była opinia Rady OPWiM. Po konsultacjach w 2012 r., Wydział Krajowy ROPWiM zatwierdził proponowane zmiany, jedynie jako zwieńczenie obelisku wskazał orła wojskowego wz.19 na tarczy amazonek.

Na modernizację uzyskano obietnicę dofinansowania. Ukończony projekt przebudowy został złożony w urzędzie miejskim pod koniec grudnia 2012 r. Nowy pomnik ma zostać odsłonięty we wrześniu 2013 roku.

Zatwierdzony projekt Pomnika Poległych w Trojanowie.

Już dzisiaj dziękujemy...

Efektywne działania na rzecz koniecznych zmian są owocem starań wielu ludzi i przychylności wielu instytucji. W imieniu Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą oraz Muzealnej Grupy Rekonstrukcji Historycznej im. II/18. pp pragnę serdecznie podziękować za pomoc i życzliwość wszystkim, którzy wzięli udział w pracach na rzecz zmian na Pomniku Poległych w Sochaczewie. Szczególne wyrazy wdzięczności składam na ręce wszystkich bezinteresownie zaangażowanych w sprawę. Mamy nadzieję, że ten ważny monument wyrażający odpowiednie, korespondujące z wydarzeniami historycznymi symbole, pozwoli zachować pamięć o wszystkich, którzy zginęli podczas II wojny światowej i spoczęli na sochaczewskim cmentarzu.

Przekształcony pomnik nie wyczerpuje jednak tematu ani zamierzeń inicjatorów projektu. Kolejnym krokiem będzie projekt i starania o wykonanie na cmentarzu ściany pamięci zawierającej wszystkie nazwiska i symbole pułkowe, do których należało 536 rozpoznanych żołnierzy. Ściana Pamięci mogłaby zostać otwarta na sochaczewskim cmentarzu w 2014 r., z okazji 75. rocznicy bitwy nad Bzurą. Wszystkich, którzy chcieliby wziąć udział w tym ważnym przedsięwzięciu już dziś zapraszamy do kontaktu.

Przypisy:
[1] Księga pochowanych żołnierzy polskich poległych w II wojnie światowej (dalej: KPŻP), t.I, „Żołnierze września A-M", kom. red. B. Affek-Bujalska i in., wstęp i red. nauk. E. Pawłowski, Pruszków 1993, s. 30
[2] H. Zaczkowski, S. Janicki „Armia Krajowa na ziemi sochaczewskiej", Sochaczew 1991, s. 112
[3] Relacja ustna – płk Ludwik Głowacki, ur.1904 r.
[4] Wykaz żołnierzy WP poległych w Bitwie nad Bzurą we wrześniu 1939 r., cz. II, arch. Muzeum ZSiPBnB.
[5] Tamże
[6] Oficjalne dane z cmentarzy WP z okresu bitwy nad Bzurą 1939 r., arch. Muzeum ZSiPBnB w Sochaczewie.
[7] R. Wójcik „Krew, Kurz, Pamięć", Warszawa 2005, s. 148
[8] Relacja – kapral Edward Herc, żołnierz I / 23. pp (27. DP), Tomaszów Lubelski 17 VIII 1986 r., maszynopis w archiwum Muzeum ZSiPBnB
[9] H. Zaczkowski, S. Janicki op. cit., s. 26
[10] Ustawa z dnia 17 II 1960 r. o orderach i odznaczeniach (Dz. U. z 1960 r. Nr 10, poz. 66)
[11] Manifest PKWN (Dz.U. z 1944 r. nr I – załącznik).
[12] Order Wojenny Virtuti Militari został ustanowiony w 1792 r. i reaktywowany w 1919 r.

Jakub Wojewoda
Historyk, adiunkt Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą w Sochaczewie.

Podziemna kopalnia piasku w Tomaszowie Mazowieckim

TEKST I ZDJĘCIA: TOMASZ RZECZYCKI

Szedł powoli, ostrożnie prowadząc Niemców przez labirynt podziemnych komór. Przeczuwał, że jeden niewłaściwy krok w ślepe wyrobisko może się dla niego skończyć strzałem z pistoletu. Wiedział, że w którymś z zaułków mogą ukrywać się partyzanci. Nagle, instynktownie zatrzymał się: *„Tam dalej już nic ciekawego nie ma, możemy wracać"* – powiedział. Goście, zaskoczeni gwałtownością jego decyzji, pokiwali jedynie głowami i zawrócili. Kilka dni później przeczucia przewodnika potwierdziły się. Spotkani partyzanci powiedzieli mu, że tego dnia kryli się w ciemnych chodnikach piaskowych wyrobisk. Gdyby do nich podszedł, podczas oprowadzania Niemców chcących obejrzeć tę podziemną osobliwość, dostałby kulkę w głowę.

Tę relację, swojego dziadka, wówczas kilkunastoletniego chłopca, usłyszałem od pani Doroty Hilgner, przewodniczki po podziemnej trasie turystycznej w Tomaszowie Mazowieckim. Trudno stwierdzić, czy podtomaszowskie podziemia wykorzystywane były przez „polnische banditen" okazjonalnie, czy wręcz przeciwnie. Dzieje tej osobliwej, podziemnej kopalni piasku kwarcowego, choć częściowo zbadane, nadal pełne są niewiadomych.

Śmierć pod zwałami piachu

Nieczynna kopalnia znajduje się w południowej części Tomaszowa Mazowieckiego, przy asfaltowej szosie będącej przedłużeniem ul. Jana Pawła II, prowadzącej w kierunku sztucznej zapory na rzece Pilicy. Tam, w dolinie rzecznej, istnieje zalesiona skarpa wzgórza. W toku eksploatacji, w zboczu skarpy powstało kilka wylotów sztolni prostopadłych do ulicy. Miąższość tutejszego złoża piasku szacowana jest na 150 metrów. Złoże utworzone zostało w epoce kredy, gdy płynąca wówczas rzeka transportowała piaski kwarcowe z terenu Gór Świętokrzyskich. Miejscowy piaskowiec składa się ze słabo spojonych ziaren kwarcu, dlatego też łatwo się rozsypuje. Z powodu braku dokumentów, jak na razie, nie da się niestety ustalić precyzyjnej daty, kiedy rozpoczęto w tym miejscu roboty górnicze. Przypuszczalnie początki były analogiczne, jak w wałbrzyskich biedaszybach, czyli wszystko odbywało się bez zbędnej biurokracji, koncesji, pozwoleń i podatków. Nie da się też z całkowitą pewnością podważyć, bądź potwierdzić, hipotezy, jakoby pierwotnie istniały w zboczu naturalne jaskinie i pustki wyżłobione przez wodę, które powiększone zostały dopiero przez miejscowych górników. Mogło być zupełnie inaczej, tzn. górnicy sami wydrążyli sztolnie i komory w zboczu, w którym nie było żadnych jaskiń. Grotołaz Mariusz Szelerwicz i pracownik Polskiej Akademii Nauk w Krakowie Jan Urban wysunęli tezę, iż większość wyrobisk powstała w drugiej połowie XIX wieku. Dlaczego? Bo brak o nich wzmianki w opisie tutejszych piaskowców sporządzonym przez J. B. Puscha, odnoszącym się mniej więcej do połowy XIX stulecia, natomiast w Słowniku Geografii Królestwa Polskiego z 1892 r. takową informację już znajdziemy. Kolejną wzmiankę o *„ciekawych pieczarach na krawędzi wyniosłego brzegu rzeki"* Pilicy zamieściła Emilia Topas-Bernsztajnowa w periodyku „Ateneum" w styczniu 1898 roku. Dziś możemy powiedzieć, że kilka kilometrów na południe od centrum Tomaszowa Mazowieckiego powstał w piaskowcowym wzgórzu nad Pilicą zespół podziemi drążonych ręcznie. W kruchej skale utworzono siatkę wyrobisk, o charakterystycznych filarach podtrzymujących półkoliście sklepiony strop z nierównym spągiem, które w cienkich ścianach posiadały otwory, zwane oknami, prowadzące do sąsiednich komór. Górnikami byli mieszkańcy pobliskiej wioski Nagórzyce, obecnie stanowiącej południową dzielnicę Tomaszowa Mazowieckiego. Mimo braku wykształcenia górniczego fedrowali oni z zachowaniem zdrowego rozsądku, pozostawiając odpowiednio duże filary skalne. Nie stosowano tutaj jakiejkolwiek obudowy, czy to drewnianej, czy metalowej. Utworzono tylko jeden poziom eksploatacyjny, dostępny z poziomu doliny rzeki, nie zgłębiono żadnych szybów ani szybików wentylacyjnych. W lipcu 1912 r. na łamach periodyku „Ziemia" w miarę naukowy opis wyrobisk pod Tomaszowem Mazowieckim zamieścił Stanisław Lencewicz. *„Pięknością nie ustępują one grotom ojcowskim"* – pisał o nich zaznaczając, iż są wytworem rąk ludzkich i powstały w trakcie eksploatacji piasku. Autor podawał, że górnicy wjeżdżali furmankami do kopalni, aby do nich zsypywać ufedrowany piasek. Lencewicz zaznaczył, że *„obecnie jednak zabroniono tego sposobu eksploatacji"*, a górnicy przestawili się na eksploatację odkrywkową. Dlaczego terenowe organy administracji państwowej zakazały przed lipcem 1912 r. podziemnej eksploatacji? Uważa się, że przyczyną był wypadek śmiertelny w trakcie zawału. Zdaniem Andrzeja Kobalczyka dyr. Skansenu Rzeki Pilicy, mieszkanka Tomaszowa Mazowieckiego Teresa Serwa utrzymywała, iż ofiarą wypadku był jej dziadek Jan Jabrzyk. Ponoć zginął w grudniu 1904 r., a wcześniej, w podobnych okolicznościach, w tej samej kopalni piasku, zginęli dwaj jego bracia,

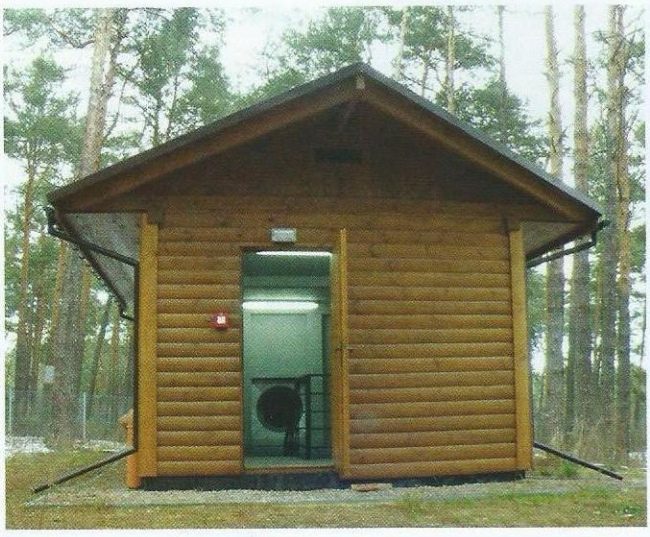

Wyjście z szybu ewakuacyjnego, zbudowane w miejscu, gdzie w 2002 r. nastąpił zawał.

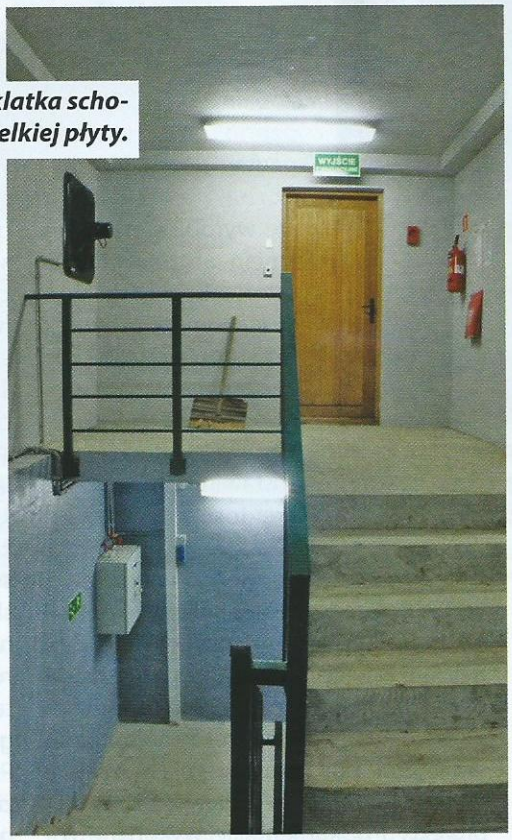

Wnętrze szybu wygląda jak zwykła klatka schodowa w bloku z wielkiej płyty.

w 1897 r. i w 1901 r. Nikt chyba zresztą nie policzył, ilu górników zginęło na przestrzeni lat. Wnioskując z różnych relacji można ostrożnie stwierdzić, że ofiar było więcej niż jedna.

Kawalerzyści wpuszczeni w tunel

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości o podtomaszowskiej kopalni piasku ukazało się kilka publikacji w czasopismach przyrodniczych i krajoznawczych. Odnotujmy co ciekawsze szczegóły. Stefan Ślązak z Tomaszowa Mazowieckiego w 1926 r. pisał, że do podziemi prowadzi pięć otworów. W drugiej sztolni, licząc od centrum miasta, na ostrołukach wisiały nietoperze, poza tym były w niej liczne jamy dzikich królików. W głębi tego wyrobiska znajdowały się m.in. sala królewska i sala stołowa ze zniszczoną kolumną w kształcie stołu. Autor wzmiankował, że wydobyty tu piasek wywożono koleją do Rudników, Piotrkowa Trybunalskiego, Częstochowy i Warszawy, gdzie był wykorzystywany w hutach szkła. Nie pięć, lecz osiem wejść do podziemi w 1928 r. odnotował Stanisław Rumszewicz. Podawał on bodaj jako pierwszy, że jedna z komór nazywana była złodziejską, gdyż w przeszłości kryli się w niej bandyci. Odnotował też, że ściany *„zeszpecono gdzieniegdzie wyrytymi na nich rysunkami i podpisami licznych zwiedzających"*. Był to dowód na turystyczne zainteresowanie osobliwą kopalnią. Za przewodników służyli wtedy miejscowi pastuszkowie, którzy wypasali bydło przed wejściem do podziemi. Do oświetlenia używano łuczywa, co powodowało okopcenie stropów. Cóż takiego urzekało ludzi, że z chęcią zapuszczali się w niebezpieczne podziemia, wydrążone w kruchym piaskowcu? Zapewne kształty wyrobisk. Chyba najtrafniej scharakteryzował je Józef Iwiński z Uniwersytetu Warszawskiego, który w 1930 r. pisał o podtomaszowskiej kopalni: *„(...) robi wrażenie lochów średniowiecznych o łukowych sklepieniach"*. Zakaz podziemnej eksploatacji wydany przed lipcem 1912 r. prawdopodobnie nie był w wolnej Polsce przestrzegany. Stanisław Rumszewicz w 1934 r. wzmiankował, że dwa lata wcześniej zawał zasypał jednego z górników podczas fedrowania piasku. W tej samej publikacji przytoczył on „wyssaną z palca" opowieść o tym, że w obrębie kopalni pod piaskowcowym wzgórzem, dawniej, *„było obszerne przejście, a raczej tunel. Ciągnął się on na przestrzeni przeszło trzech kilometrów. Przejściem tem można było swobodnie przejechać na drugą stronę wzgórz. Pewnego razu stu kawalerzystów, wszyscy na koniach, w bojowym rynsztunku, znalazło się jednocześnie wewnątrz"* – pisał Rumszewicz, nie podając źródła tych „rewelacji". *„Przejechali oni swobodnie na drugą stronę wzgórza. Obecnie przejście na drugi koniec wzgórza zostało zasypane"*. Prawda jest inna. Nigdy nie były to wyrobiska tunelowe, lecz sztolnie prowadzące do rozgałęzionego układu komór, kończące się przodkami i ślepymi odnogami. Najdalej miała sięgać druga sztolnia, bo 120 m w głąb wzgórza. Jeśli wierzyć Janowi Dekowskiemu i Jerzemu Jastrzębskiemu, autorom wydanego w 1935 r. przewodnika po mieście i okolicy, w tym czasie spośród pięciu wejść zachowało się już tylko jedno, środkowe, a pozostałe uległy zawaleniu.

Atrakcja dla OT-manów

Podczas II wojny światowej ta część Mazowsza znalazła się pod okupacją niemiecką w ramach Generalnej Guberni. W Tomaszowie Mazowieckim stacjonował pododdział Organizacji Todt, zajmujący się budową naziemnych schronów kolejowych w Jeleniu i Konewce. Czy członkowie OT zwiedzali podziemia kopalni piasku? Niewykluczone. Wszak w wydanym w Lipsku w 1943 r. kieszonkowym przewodniku po Generalnej Guberni piaskowcowe wyrobiska wzmiankowano jako ciekawostkę geologiczno-górniczą. Nie wiemy, jak często podziemia te wykorzystywali polscy partyzanci. Nie wiemy też, czy po wojnie ukrywali się w nich bojownicy o wolność i demokrację, zwalczani przez władzę ludową. Przez następne lata opuszczona kopalnia traktowana była jako lokalna osobliwość, jednak o stan techniczny wyrobisk nikt się nie troszczył. W przewodniku turystycznym z 1952 r. powtórzono jeszcze informację, że pasterze pasący bydło na przyległym pastwisku oprowadzają turystów po podziemiach, rozświetlając ciemność łuczywami, choć przecież trudno podejrzewać, by w apogeum stalinizmu władza tolerowała prywatną inicjatywę w postaci działalności zarobkowej pasterzy. Więcej mógł zdziałać czynnik społeczny. W 1957 r. oddział Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Tomaszowie Mazowieckim wygospodarował fundusze na oczyszczenie wyrobisk, które były już dosyć mocno zaśmiecone. Były to działania prowizoryczne, które nie zapobiegły dalszej dewastacji. Kolejne czynno-

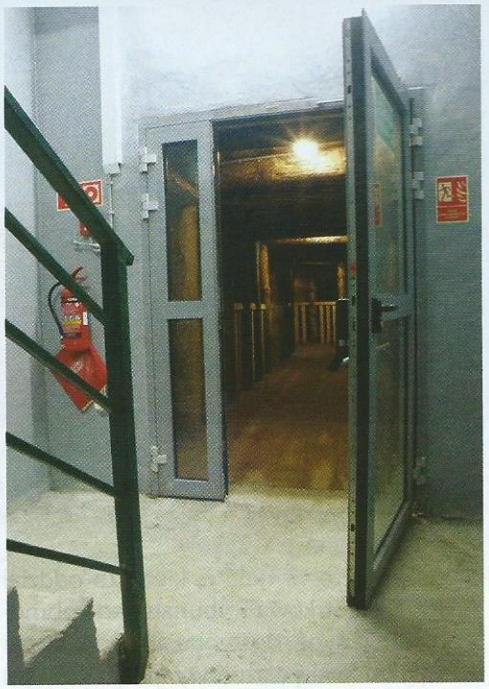

Na styku nowoczesności z historią. Wyjście awaryjne z kopalni piasku.

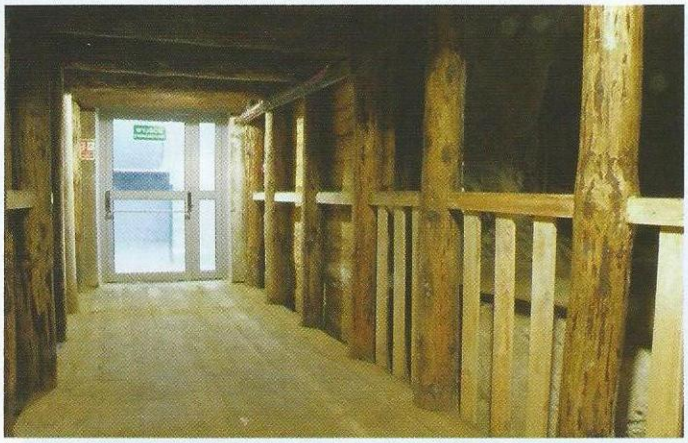

Drewniany spąg i drewniana obudowa sprawiają, że trasa zwiedzania diametralnie różni się od warunków, jakie panowały tu jeszcze kilka lat wcześniej.

ści podjęto w 1965 r., kiedy to oddział PTTK z Piotrkowa Trybunalskiego obmurował jedyne dostępne wejście, wstawił tam furtkę z ażurowymi metalowymi drzwiami. Strażnikiem dawnej kopalni został Antoni Konarzewski, mieszkający niedaleko od podziemi. Atrakcję rozpropagowano wiosną 1966 roku. Wówczas to ukazało się kilka opisów w ogólnopolskich czasopismach. Zwiedzanie odbywało się w sposób nader prymitywny. Kopalnia nie została zelektryfikowana, nie było też żadnej poczekalni, ani choćby najskromniejszego pawilonu obsługi ruchu turystycznego. Turystom musiały wystarczyć smolne łuczywa i opowieści przewodnika. Taka sytuacja trwała niedługo. Kilka lat później wandale uszkodzili drzwi do kopalni, wyłamali zamek, w końcu wyrwali kratę. Podziemia znowu stały się ogólnodostępne dla wagarowiczów. Co ciekawe, w jednej z publikacji z 1974 r. inaczej przedstawiano przyczynę zaprzestania oprowadzania turystów po podziemiach. To niebezpieczne obrywy i odpryski miały spowodować zamknięcie dla zwiedzających obiektu, który był już wtedy... pomnikiem przyrody! Było to nieporozumienie – wszak bardziej adekwatne byłoby nadanie nieczynnej kopalni statusu pomnika techniki, a nie przyrody. Rok później nastąpiła zmiana podziału administracyjnego kraju. Władze nowo utworzonego województwa piotrkowskiego powołały, podobnie jak to miało miejsce w innych miejscach Polski, własną instytucję w celu zarządzania infrastrukturą turystyczną, czyli Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Gospodarki Turystycznej „Trybunalskie". Na jego zlecenie w 1976 r. warszawski oddział Polskiego Towarzystwa Nauk o Ziemi przeprowadził badania podziemi nieczynnej kopalni piasku. Sporządzono dokumentację geologiczną i fotograficzną, inwentaryzację wyrobisk oraz opis zmian antropogenicznych. Badania wykluczyły promowany wówczas projekt, aby w podziemiach urządzić winiarnię lub restaurację. Podziemia zostawiono więc na łaskę losu i mieszkańców. Ci ostatni mieli dziwaczne pomysły. Przykładowo, w 1978 r. jeden ze śmiałków usiłował wjechać do podziemi motocyklem, jednak nie przecisnął się przez zbyt wąski otwór w miejscu po byłej furtce.

Kolejna fala zainteresowania tomaszowskimi podziemiami miała miejsce po stanie wojennym. W latach 1984-1987 projekty i dokumentacje wykonane zostały przez górników i geologów z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Rozważano udostępnienie turystyczne wyrobisk i utworzenie w nich ekspozycji obudów kopalnianych. Ekspertyzy wykazały niezbędność wykonania kosztownych prac zabezpieczających, na co zabrakło funduszy. Naukowcy z małopolskiej AGH kolejną ekspertyzę przygotowali w 1997 r., gdy ponownie rozważano pomysł udostępnienie kopalni zwiedzającym. Wynikało z niej, że dno wyrobisk znajdowało się na poziomie od 157,6 do 158,4 m n.p.m. Z ekspertyzy wiemy, że już wtedy w środkowej części wyrobiska istniał lokalny obwał, w wyniku którego powstał komin w stropie o średnicy kilku metrów. Po wykonaniu projektu technicznego zabezpieczenia podziemi, zorganizowano nawet w 1998 r. przetarg na zakres robót objętych dokumentacją, ale złożone oferty były zbyt wygórowane w stosunku do możliwości miasta i prac nie podjęto.

Potężny zawał

W 2001 r. ze względu na erozję, obrywy skalne i grożące niebezpieczeństwo, dwa istniejące wejścia do podziemi zostały (który to już raz) okratowane, a na jednym z nich umieszczono tablicę ostrzegającą przed niebezpieczeństwem. Kraty szybko zostały wyłamane, a tabliczki zniszczone. Z tego powodu, na zlecenie władz miasta, wejścia do podziemi zostały 22 lutego 2002 r. zamurowane. Aby zachować przepływ powietrza, zostawiono niewielkie otwory w murze. Pod koniec czerwca 2002 r. doszło do katastrofy górniczej. W miejscu, gdzie był komin w stropie, nastąpił duży zawał. Do podziemi wsypały się masy piasku, a na powierzchni, w miejscu administrowanym przez Nadleśnictwo Piotrków, powstał lej w ziemi o głębokości kilkunastu metrów. Niestety, dziennikarz Ryszard Pożyczka relacjonujący to wydarzenie w „Dzienniku Łódzkim", nie ustalił konkretnej daty zawału, pisząc ogólnie, iż miał on miejsce... w poprzednim tygodniu. Zapadlisko w lesie zostało ogrodzone, ustawiono też tablice ostrzegawcze, jednak po roku zasieki z drutu kolczastego były już tak bardzo zniszczone, że bez większego trudu dało się podejść na skraj leja. Po zawale pojawiły się różne pomysły zagospodarowania nieczynnej kopalni piasku. Przykładowo, właściciel jednego z tomaszowskich biur podróży Stanisław Zakrzewski zaproponował, aby urządzić w niej „jaskinię solną", czyli komercyjne inhalatorium. Były też radykalne pomysły, aby przy pomocy dynamitu zawalić wyrobiska i pozbyć się kłopotu. Klaudiusz Wilmański, pełnomocnik prezydenta Tomaszowa Mazowieckiego do spraw rozwoju gospodarczego twierdził w styczniu 2004 r., że nie ma sensu ratować wyrobisk, gdyż brak jest pewności co do tego, czy jakiekolwiek działania ratownicze przyniosą efekt. Sceptycy twierdzili, że koszty tej operacji będą ogromne, bowiem należałoby odsunąć przebieg ulicy o jakieś 300 metrów od wylotów sztolni.

Nadzieja na uratowanie walącej się kopalni piasku nadeszła 13 września 2004 r., gdy do miasta przybyła grupa naukowców z Instytutu Ochrony Przyrody PAN z Krakowa. Ich zadaniem było zbadanie stanu zachowania wyrobisk i ocena szans ich uratowania. Nastąpiło to w związku ze zgłoszeniem kandydatury tomaszowskiej kopalni na Europejską Listę Dziedzictwa Geologicznego. Badacze zdawali sobie sprawę, że konieczne będzie podparcie stropów. Przełom nastąpił dopiero po tym, jak 29 czerwca 2005 r. do tomaszowskiej kopalni przyjechała ekipa naukowców z małopolskiej AGH pod kierunkiem Janusza Chmury, zajmującego się m.in. projektowaniem podziemnych tras turystycznych. Inży-

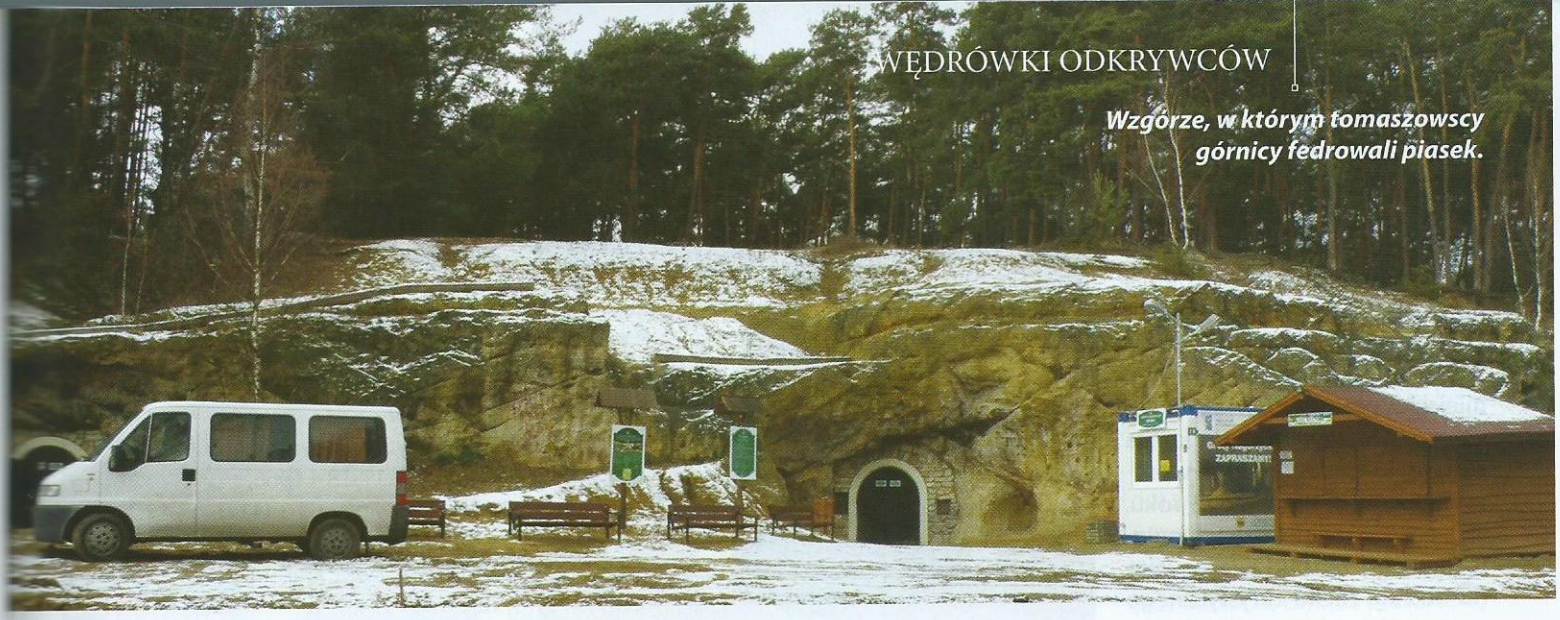

Wzgórze, w którym tomaszowscy górnicy fedrowali piasek.

nierowie z AGH wykonali dokumentację i projekt zabezpieczenia wyrobisk stwierdzając, że stropy można podeprzeć obudową drewnianą, co byłoby wyraźnie tańsze od zastosowania obudowy stalowej. Postanowiono wybudować ścieżkę turystyczną o drewnianym podłożu i drewnianej obudowie, wiodącą przez fragment wyrobisk. Okazało się jednak, że na przeszkodzie stoją, jak to często bywa, prozaiczne kwestie, jak choćby to, czy wyrobiska należy traktować formalnie jako obiekt górniczy czy budowlany! Na dodatek tomaszowscy radni miejscy w głosowaniu nad budżetem miasta na 2006 r. niemal jednogłośnie zdecydowali przeciwko wykorzystaniu kwoty 350 tys. zł na ratowanie podziemi kopalni piasku. Sprawa utkwiła w martwym, biurokratycznym punkcie.

Powrócono do niej w 2007 r., biorąc pod uwagę przestrogi małopolskich naukowców, że czas gra na niekorzyść wyrobisk. Decyzją tomaszowskich radnych, 30 stycznia 2008 r. teren byłej kopalni piasku został objęty ochroną w formie stanowiska dokumentacyjnego, a w budżecie miasta na 2008 r. zapisano kwotę 200 tys. zł na jej ratowanie. Wreszcie pod koniec kwietnia 2010 r. władze miejskie podpisały umowę o dofinansowanie zabezpieczenia i adaptacji wyrobisk byłej podziemnej kopalni piasku w Tomaszowie Mazowieckim na podziemną trasę turystyczną. Pieniądze na ten cel uzyskano ze źródeł zagranicznych.

Ucieczka po schodach

Prace rozpoczęły się w lipcu 2010 r. W ramach inwestycji zabezpieczono stropy, pogłębiono korytarze – miejscami nawet o 1,5 metra – wykonano obudowę drewnianą trasy zwiedzania i zainstalowano oświetlenie elektryczne. W niektórych miejscach postawiono dodatkowe filary podtrzymujące strop. Dwa wyloty sztolni zaopatrzono w portale wejściowe z metalowymi, dwudzielnymi drzwiami. Zamontowano instalację wentylacyjną, scalono podsadzkę w zawale. Wykonano podziemną trasę turystyczną o łącznej długości 160 m 89 cm o przebiegu przypominającym kształtem literę „U", z osobnym wejściem i wyjściem. Oprócz tego, w miejscu gdzie w czerwcu 2002 r. powstał zawał, zbudowana została betonowa klatka schodowa w liczącym 17 metrów szybiku ewakuacyjnym, zwieńczona na powierzchni w lesie drewnianym domkiem, zwanym kletą. Wykonano ją jako zapasową drogę ucieczki na wypadek, gdyby oba otwory wejściowe stały się niedrożne. Pod ziemią do klatki schodowej doprowadzono odgałęzienie od trasy zwiedzania, również zabezpieczone obudową drewnianą. Początkowo zakładano, że prace zostaną wykonane do 15 maja 2011 r., jednak w trakcie robót zaszła konieczność dodatkowego wzmocnienia stropów. Na początku maja przyszła trasa zwiedzania była już niemal gotowa, jednak końcowy odbiór robót nastąpił 15 czerwca 2011 r. Ale na górniczych pracach zabezpieczających się nie skończyło. W wyniku konkursu wyłoniono firmę, która miała przygotować wystrój trasy podziemnej. Zwycięzcą okazała się firma Fabryka Dekoracji – Marcin Pietuch, znana wcześniej z udziału w przygotowaniu wystroju trasy podziemnej w Krakowie. Koncepcję zagospodarowania terenu przed wejściem do podziemi opracowała Firma Projektowanie Architektoniczne Michał Otomański z Łodzi. Ustawiono tam ławeczki oraz trzy kontenery: biurowy i sanitarne. Na początku stycznia 2012 r. gotowy był już wystrój trasy. Umieszczono kilka manekinów symbolizujących nie tylko górników, lecz także fikcyjne postacie z bajek i mitów. W jednym z pomieszczeń ustawiono eksponaty nawiązujące do wytwarzania produktów szklanych. W wystroju trasy nie znalazło się ani jedno odniesienie do czasów II wojny światowej, chociażby w formie manekinów przedstawiających partyzantów ukrywających się w podziemiach.

Opiekunem trasy podziemnej został Skansen Rzeki Pilicy w Tomaszowie

Jedyne rozgałęzienie chodników na trasie zwiedzania.

Mazowieckim. Trasa podziemna została udostępniona zwiedzającym 6 lutego 2012 roku. Początkowo czynna była codziennie od 10 do 16, a wstęp był bezpłatny. Pierwszego dnia podziemia obejrzało 90 osób, a w niedzielę 12 lutego aż 920. Ze względu na spore zainteresowanie, władze miejskie postanowiły by zwiedzanie było bezpłatne do końca maja 2012 r. Bilety wstępu wprowadzono 8 czerwca 2012 roku. W październiku rozstrzygnięto przetarg na budowę pawilonu obsługi ruchu turystycznego przy wejściu do trasy podziemnej. Zwycięzcą została Firma Usługowo-Budowlana Jacek Ciapała z Sulejowa, która 12 listopada rozpoczęła prace. Do tego czasu trasę podziemną zwiedziło ponad 50 tysięcy osób. Precyzyjna liczba będzie chyba niemożliwa do ustalenia. Według oficjalnych statystyk, prowadzonych przez Skansen Rzeki Pilicy, w 2012 r. trasę odwiedziło blisko 49 tys. osób, jednak nie wszyscy którzy weszli za darmo, zostali policzeni.

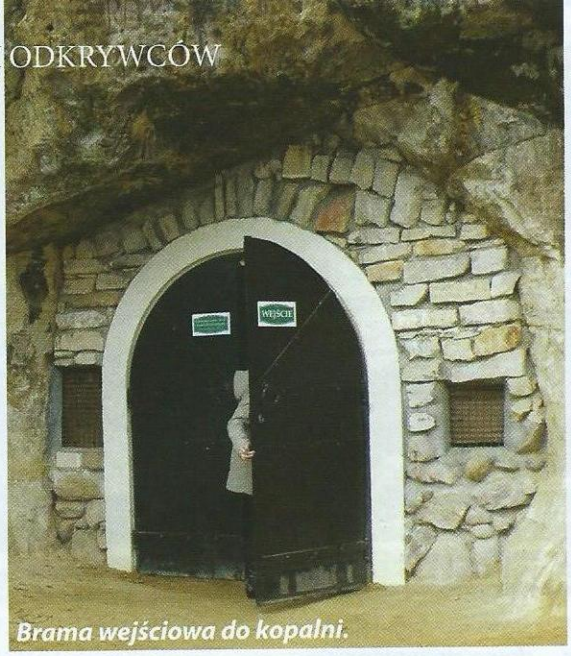

Brama wejściowa do kopalni.

Tomaszowska kopalnia piasku stanowi dobry przykład na to, że przy użyciu niewyszukanych środków technicznych można uratować i udostępnić zwiedzającym obiekt, który ze względu na bardzo zły stan techniczny wydawał się być skazany na zagładę i zawalenie. Niech to będzie promyczkiem nadziei dla pasjonatów, którym marzy się bezpieczne udostępnienie wysadzonych w powietrze obiektów MRU, zalanych i zaśmieconych schronów zwanych „bunkrami", starych sudeckich sztolni, czy też innych miejsc o ciekawej historii.

Wybrane publikacje:
1. „Ziemia" nr 4, 15.2.1928, s. 56-57
2. „Poznaj swój kraj" nr 4 (96), kwiecień 1966, s. 19
3. „Biuletyn Turystyczny GKKFiT" 15-16 (450-451), 11-18.4.1966, s. 5
4. „Światowid" nr 16 (417), 17.4.1966, s. 11
5. „Poznaj swój kraj" nr 8 (180), październik 1974, s. 40
6. „IMT" nr 833, sierpień 1978, s. 10-11
7. „Gościniec" 7 (188), lipiec 1985, s. 12
8. „Dziennik Łódzki" (B) 23.2.2002, s. 8
9. „Dziennik Łódzki" (E) 5.7.2002, s. 6

Tomasz Rzeczycki
Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Autor książki „Góry Polskie" (2004) oraz „Podziemne trasy turystyczne Polski" cz. I i II. (2012). Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS Optima

Wykrywacz projektowany
bez kompromisów.
Ściśle specjalizowany
do biżuterii, monet
i innych drobnych obiektów.
Wyjątkowo szybki, głęboki,
bardzo skuteczny.

* Częstotliwość pracy 16 kHz regulowana w 5 skokach
* Automatyczne strojenie do gruntu
* Możliwość ręcznej korekty automatu
* Identyfikacja cyfrowa
* Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza
* Możliwość konfiguracji ilości tonów: 1 ton, 3 tony, 2 programy użytkownika
* Praca dynamiczna i jednoczesna
* Regulacja sygnału wiodącego
* Filtr kamieni magnetycznych

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

ARCHIWUM „ODKRYWCY” – TAK TANIO JESZCZE NIE BYŁO!

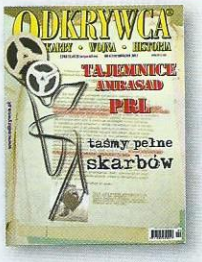

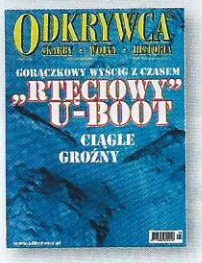

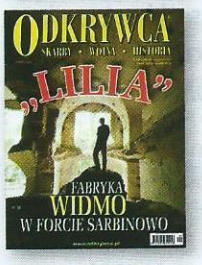

*) przykład graficzny

Dla naszych Czytelników przygotowaliśmy specjalną ofertę zakupu egzemplarzy archiwalnych. Przez okres od **1 XII 2012** roku do **31 III 2013** roku (liczy się termin złożenia zamówienia) proponujemy Wam zakup archiwalnych numerów „Odkrywcy” **po rewelacyjnie niskiej cenie 5 zł za egzemplarz.** Oferta dotyczy wszystkich dostępnych numerów, a szczególnie numerów z lat 2006-2011 (od nr 1/84 do 12/155), których regularna cena to 8 lub 9 złotych oraz numerów z pierwszego półrocza 2012 roku (od nr 1/156 do 6/161), których regularna cena to 11,55 zł.

Dodatkowe warunki promocji dotyczące numerów od 1/84 do 6/161 opłaconych przed odbiorem:

- przy zamówieniu minimum 10 dowolnych numerów, Zamawiający nie ponosi żadnych dodatkowych kosztów
- przy zamówieniu od 5 do 9 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 6,30 zł
- przy zamówieniu od 3 do 4 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 4,80 zł
- przy zamówieniu 2 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 2,70 zł
- przy zamówieniu 1 numeru, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 1,90 zł

Wpłaty należy kierować na nasze konto – numer:
98 2490 0005 0000 4520 6153 2533
dla IBHiK sp. z o.o., ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin.

Prosimy pamiętać o podaniu swoich danych **(imię, nazwisko i adres)** niezbędnych do realizacji zamówienia. W tytule przelewu prosimy o wpisanie jakich numerów dotyczy zamówienie.

Przykłady:

1. Zamawiam rocznik (12 numerów) z 2008 roku – cena stara 96 zł – **cena nowa 60 zł**
2. Zamawiam 10 numerów z lat 2006-2011 – cena stara od 80 do 90 zł – **cena nowa 50 zł**
3. Zamawiam 5 numerów z roku 2012 – cena stara 57,75 zł – **cena nowa 50 zł***

Przy zamówieniach opłaconych przy odbiorze, czyli „za pobraniem”, do wartości zamówienia, poza ewentualnym kosztem przesyłki, doliczamy dodatkowo 3 zł za usługę pobrania.

Dodatkowe informacje możecie Państwo uzyskać pod numerem telefonu 71 329 71 71 lub e-mailem prenumerata@odkrywca.pl

Zapraszamy do uzupełnienia swojego archiwum po wyjątkowo preferencyjnych cenach!

Przypominamy, że numery z lat 2001-2005 są do nabycie zawsze w cenie 5 zł/egz., natomiast numery od 7/162 do aktualnego są do nabycia w obniżonej cenie wydawniczej 11,55 zł/egz. razem z wysyłką.

Najprościej dokonując wpłaty

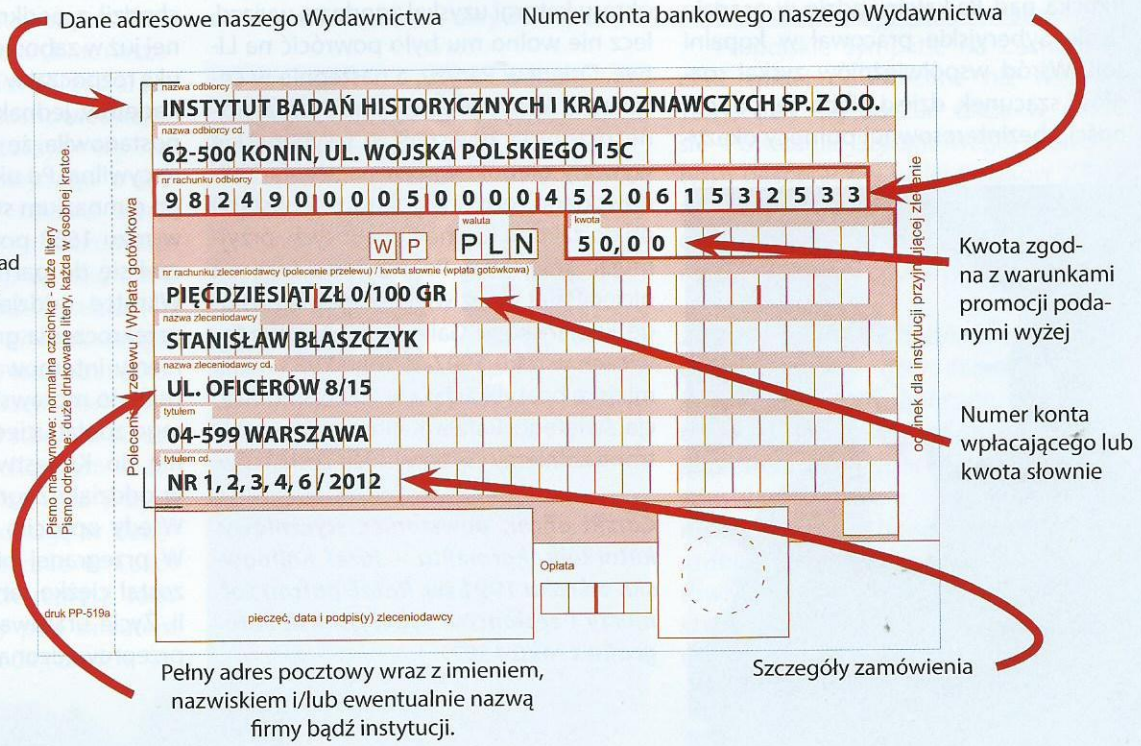

Żuawi, Garibaldczycy i Święci...

Niezwykli żołnierze Powstania Styczniowego

TEKST: PIOTR GALIK

Powstanie Styczniowe, najdłuższe i najtragiczniejsze z polskich zrywów niepodległościowych XIX w., rozpoczęło się (a właściwie zostało sprowokowane przez niekoronowanego króla kolaborantów, Wielopolskiego) w najmniej korzystnych okolicznościach. Zima nie sprzyjała walce partyzanckiej, a sytuacja międzynarodowa nie napawała optymizmem – antyrosyjskie nastroje w stolicach Europy, które rozgorzały podczas niedawnej Wojny Krymskiej (1853-56), już przygasały. Konspiracja w kraju nie dysponowała znaczącymi zasobami broni, ani odpowiednio licznymi kadrami dowódczymi. Na domiar złego, wśród patriotów panowała niezgoda co do metod walki z Rosją. Radykalni „czerwoni" i umiarkowani „biali" nie potrafili współdziałać, co dodatkowo osłabiło powstańcze siły. W tak fatalnych warunkach „partie" (oddziały partyzanckie) zdołały nie tylko organizować się, ale także toczyć setki potyczek i starć z wojskami carskimi. Dokonał się jeden z tych typowo polskich „cudów militarnych", streszczonych słowami Adama Mickiewicza: *„Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie, Ja z synowcem na czele i... jakoś to będzie!".*

W 150-lecie tamtych tragicznych wydarzeń warto przyjrzeć się bliżej bohaterom, którzy zasługują na pamięć, szacunek i podziw.

Święci powstańcy i kapłan-wojownik

Wśród licznej rzeszy uczestników powstańczych bojów i ofiar rosyjskich represji szczególne miejsce zajmują dwaj partyzanci, którzy trafili na ołtarze jako święci Kościoła rzymsko-katolickiego: Józef Kalinowski na Litwie i Adam Chmielowski w Koronie. Pierwszy z nich, urodzony w Wilnie w 1835 r., staraniem ojca, profesora matematyki Uniwersytetu Wileńskiego, odebrał staranne wykształcenie w Rosji. Ukończył Instytut Szlachecki, studiował rolnictwo w Horkach, lecz wybrał w końcu karierę wojskową, uzyskując dyplom elitarnej i prestiżowej Mikołajewskiej Akademii Wojsk Inżynieryjnych w Petersburgu. Jako porucznik carskiej armii zaangażował się w budowę strategicznej linii kolejowej Kursk-Odessa-Kijów. W roku 1862 awansował do stopnia kapitana i przeniesiony został do Brześcia Litewskiego (obecnie Briest, Białoruś). Po wybuchu powstania wystąpił z armii (nie zdezerterował, a zatem nie złamał przysięgi!) i przyłączył się do insurekcji, obejmując w strukturach konspiracyjnych wysoką funkcję ministra wojny na ziemiach Litwy. W marcu 1864 r. został ujęty przez Rosjan, a następnie skazany na karę śmierci. Szczęśliwie wyrok został wkrótce złagodzony do 10 lat katorgi na Syberii. Karę odbywał w Nerczyńsku, a później w okolicach Irkucka nad Bajkałem, gdzie w osadzie Usole Syberyjskie pracował w kopalni soli. Wśród współwięźniów zyskał rozgłos i szacunek, dzięki głębokiej pobożności i bezinteresownej pomocy okazywanej towarzyszom niedoli. Po upływie okresu katorgi uzyskał zgodę na wyjazd, lecz nie wolno mu było powrócić na Litwę. Osiadł w Paryżu, a następnie w cesarstwie Austro-Węgierskim. Dramatyczne przeżycia powstańcze i syberyjskie wywarły głęboki wpływ na Józefa Kalinowskiego, gdyż w roku 1877 wstąpił on do zakonu Karmelitów Bosych, przyjmując imię Rafał. Po przyjęciu święceń ojciec Rafał przez wiele lat pełnił posługę kapłańską w Galicji, zmarł w Wadowicach w roku 1907. W roku 1983 miała miejsce beatyfikacja, a w 1991 kanonizacja świętego Rafała Kalinowskiego, patrona żołnierzy i syberyjskich zesłańców.

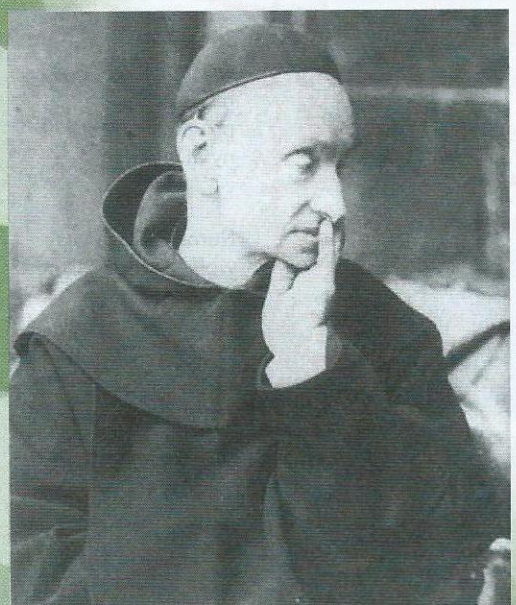

Carski oficer, powstaniec styczniowy, katorżnik, karmelita – Józef Kalinowski, od roku 1991 św. Rafał, patron żołnierzy i zesłańców syberyjskich. Fotografia z roku 1897.

Adam Chmielowski (ur. w 1845 r.) pochodził z podkrakowskiej, lecz położonej już w zaborze rosyjskim, Igołomi. Naukę rozpoczął w petersburskim Korpusie Kadetów, jednak po paru latach rodzina postanowiła, że powinien wybrać karierę cywilną. Po ukończeniu warszawskiego gimnazjum studiował rolnictwo, lecz w roku 1863 porzucił uczelnię i przyłączył się do partii Mariana Langiewicza. Wkrótce oddział zmuszony został do przekroczenia granicy Galicji, gdzie żołnierzy internowano. Młody powstaniec trafił do morawskiego Ołomuńca, z którego zdołał uciec i przekradł się ponownie do Królestwa, gdzie podjął walkę w oddziale Zygmunta Chmieleńskiego. Wtedy opuściło go wojenne szczęście. W przegranej bitwie pod Mełchowem został ciężko ranny i wzięty do niewoli. Życie uratowała mu amputacja nogi, przeprowadzona bez znieczulenia w su-

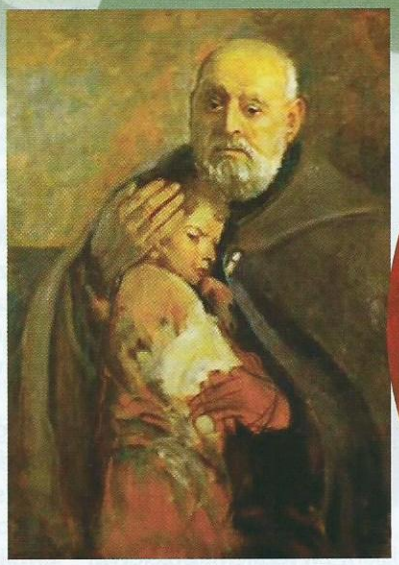

„Brat naszego Boga" – Adam Chmielowski, niezłomny ochotnik powstańczy, inwalida wojenny, sportretowany przez Leona Wyczółkowskiego jako troskliwy opiekun najbiedniejszych, Brat Albert.

Ksiądz generał Stanisław Brzóska jako więzień oczekujący na stracenie. Prawdopodobnie ostatni portret bohaterskiego kapłana-powstańca.

rowych warunkach więziennego lazaretu. Aby ratować młodego weterana, jego krewni posłużyli się najskuteczniejszą w Rosji metodą – wykupili Adama, który dzięki chwilowej „nieuwadze" władz opuścił ogarnięte represjami ziemie polskie i zamieszkał w Paryżu. Za granicą rozwijał swoje artystyczne uzdolnienia, studiując sztuki plastyczne w Monachium, gdzie przebywała wówczas liczna grupa polskich artystów emigracyjnych. Wśród dzieł, jakie powstały w jego pracowni, przewijała się tematyka powstańcza i religijna. Wkrótce obrazy pędzla Chmielowskiego zyskały uznanie krytyki, lecz on sam, ku zaskoczeniu środowiska artystycznego, porzucił sztukę, światowe życie i złożył śluby zakonne. Jako franciszkanin przyjął imię Albert. Brat Albert Chmielowski osiadł w Krakowie, gdzie poświęcił się opiece nad ubogimi i bezdomnymi. Z czasem został założycielem nowego zgromadzenia zakonnego – Braci Albertynów. Oddanie działalności opiekuńczej przyniosło dawnemu powstańcowi znaczny rozgłos i szacunek. Zmarł w roku 1916, u progu odrodzenia Polski, za którą w młodości przelewał krew i utracił zdrowie. Beatyfikowany w 1983, kanonizowany w 1989 roku „brat naszego Boga" – Adam Chmielowski został patronem Puław i diecezji sosnowieckiej.

Całkiem inaczej potoczyły się natomiast losy najwaleczniejszego z powstańczych kapelanów, księdza Stanisława Brzóski. Urodzony w Dokudowie (okolice Białej Podlaskiej) w roku 1832 potomek podlaskiej szlachty zaściankowej herbu Nowina, jako 17-latek wstąpił na Uniwersytet Kijowski, lecz po niedługim czasie poszedł za głosem powołania kapłańskiego i rozpoczął studia w diecezjalnym seminarium duchownym w Janowie Podlaskim. W roku 1858 przyjął święcenia i rozpoczął posługę w Sokołowie Podlaskim, a następnie w Łukowie. Podczas policyjnych represji roku 1861 został aresztowany pod zarzutem głoszenia politycznie podejrzanych kazań, a wkrótce skazany na karę więzienia. Prześladowania polityczne niewątpliwie wzmogły jeszcze uczucia patriotyczne młodego księdza. Po odzyskaniu wolności, włączył się on do działalności spiskowej, a już 23 I 1863 r. poprowadził atak chłopskiego oddziału powstańczego na rosyjską załogę Łukowa. Zapał bojowy ks. Brzóski znalazł uznanie Rządu Narodowego, który nadał mu rangę generała i funkcję naczelnego kapelana wojsk powstańczych. Bohaterski kapłan nie stronił od walki, uczestniczył w wielu starciach, m.in. pod Siemiatyczami, Włodawą i Sławatyczami. Dowodzona przez niego partia nazywana była „ćwiekami", od pseudonimu jaki przyjął jego komendant. Konny oddział (ok. 40 ludzi) wojowniczego księdza poszedł w rozsypkę dopiero z końcem 1864 roku, kiedy powstanie już dogasało. Stanisław Brzóska nie złożył jednak broni. Wraz z adiutantem, Franciszkiem Wilczyńskim, ukrywał się w domostwie sołtysa wsi Krasnodęby-Sypytki, zamierzając na wiosnę 1865 roku ponownie rozpocząć walkę partyzancką. Jednak zanim tak się stało, niezłomny kapelan został wydany przez kurierkę Rządu Narodowego, ujętą i torturowaną przez Rosjan. Podczas obławy ksiądz Brzóska podjął desperacką próbę przebicia się z bronią w ręku przez kordon otaczający wieś, lecz ostatecznie został pojmany i oddany pod sąd wojenny. Wyrok mógł być tylko jeden – śmierć. 24 V 1865 roku odbyła się publiczna egzekucja przez powieszenie. Męczeńska śmierć niezłomnego kapłana-wojownika, który kontynuował walkę najdłużej z wszystkich powstańców, zapadła głęboko w pamięć patriotów. Już w niepodległej II Rzeczypospolitej (1925 r.) wzniesiono w Sokołowie Podlaskim pomnik upamiętniający kaźń ks. Brzóski, który w roku 2008 odznaczony został pośmiertnie najwyższym odznaczeniem państwowym Polski, Orderem Orła Białego.

Nullo, Rochebrun, Nyari i Bezkiszkin, czyli nasza Legia Cudzoziemska

Propolskie sympatie na Zachodzie, choć mniej powszechne niż w roku 1831, dały się odczuć także w okresie Powstania Styczniowego. Romantyzm desperackiej walki Polaków z Rosją, „żandarmem Europy", przemawiał do niektórych cudzoziemców tak mocno, że wzięli oni osobisty udział w tych

Żuaw Śmierci, czyli żołnierz ochotniczego oddziału dowodzonego przez Francoise'a de Rochebrune. Żuawi na tle niedozbrojonych i pozbawionych jednolitego umundurowania powstańców wyróżniali się dobrym uzbrojeniem (karabin z bagnetem, rewolwer, szabla) i bogato zdobionym, efektownym uniformem wzorowanym na stroju słynnych kabylskich strzelców w służbie francuskiej.

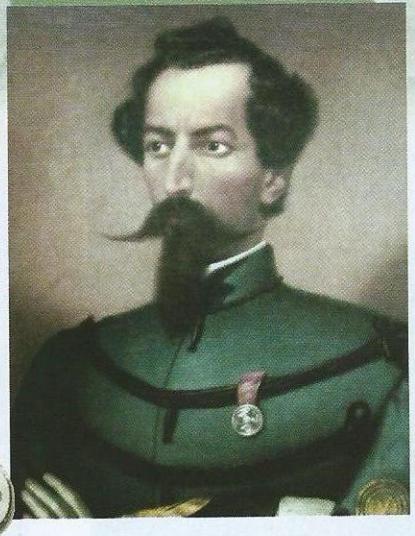

Płk Francesco Nullo w mundurze armii włoskiej. Bohater walk o zjednoczenie Włoch i komendant powstańczego oddziałku Garibaldczyków poległ w walce o wolność Polski. W latach międzywojennych był patronem 50. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych, którego odznaka pamiątkowa opatrzona była jego nazwiskiem oraz herbem Włoch.

bohaterskich zmaganiach. Wśród ochotników zagranicznych najliczniejsi byli Włosi, którzy utworzyli własny, narodowy oddział powstańczy. Na cześć Giuseppe Garibaldiego, bohatera walk o zjednoczenie Włoch, a zarazem ojca jednego z żołnierzy (Domenico Menotti Garibaldi), formacja została nazwana Garibaldczykami. Ich dowódcą został płk Francesco Nullo, przyjaciel i towarzysz broni Garibaldiego. W swojej politycznej i żołnierskiej karierze Nullo zetknął się z Polakami już podczas Wiosny Ludów. Znał Ludwika Mierosławskiego i Mariana Langiewicza. Dlatego bez dłuższego wahania postąpił zgodnie z sugestią ówczesnego premiera Włoch, Fariniego, który zachęcił zasłużonego oficera do organizacji legionu ochotniczego, by pomóc Polakom, zanim król Wiktor Emanuel II wypowie Rosji wojnę. Wobec takiej perspektywy Nullo raźno zabrał się do przygotowań i wiosną 1863 roku Garibaldczycy w liczbie około 20 ludzi wyruszyli na północ. Po przybyciu do przygranicznego wówczas Krakowa, Francesco Nullo otrzymał awans generalski i przyłączył się ze swoimi ochotnikami do partii Józefa Miniewskiego, z którą Włosi przekradli się do ogarniętej walkami Kongresówki. W bitwie pod Krzykawką (5 V 1863 r.) Rosjanie zadali powstańcom ciężką klęskę. Poległ wówczas płk Miniewski oraz Francesco Nullo i część jego oddziału. Ciężko ranny adiutant Stefano Elia Marchetti zmarł po dwóch dniach. Kilku Włochów, wśród nich Luigi Caroli i Giovanni Rustici, dostało się do niewoli i zostało zesłanych do Nerczyńska na Syberii.

Drugim Legionem Włoskim, który w sile ok. 20 ludzi dotarł na ziemie polskie w sierpniu 1863 roku, dowodził płk Stanislao Elbano de Bechi, weteran walk o jedność Italii.

Po kilkumiesięcznej kampanii płk Bechi został ujęty przez Moskali i skazany na śmierć wyrokiem sądu wojennego. Rosyjskim zwyczajem, przejętym od Mongołów, grób straconego został zrównany z ziemią i symbolicznie zbezczeszczony przez stratowanie końmi. Bohaterski Włoch, który oddał życie za Polskę, został uhonorowany pomnikiem, odsłoniętym w 1924 r. we Włocławku niedaleko miejsca jego rozstrzelania.

Spośród uczestniczących w powstaniu Francuzów największy rozgłos zyskał Francois de Rochebrun, weteran Wojny Krymskiej, a po jej zakończeniu nauczyciel języka francuskiego w zamożnych rodzinach krakowskich. W powstaniu brał udział niemal od początku, dowodząc oddziałem Żuawów Śmierci, zorganizowanym przez siebie na wzór francuskich wyborowych jednostek wsławionych na Krymie. Walczył pod Miechowem, Chrobrzem i Grochowiskami, a wiosną 1863 r. na skutek tarć politycznych w powstańczym dowództwie wyjechał do Francji. Powrócił z końcem roku na ziemie polskie, lecz wyprawa na Wołyń pod jego komendą zakończyła się fiaskiem. Rochebrun, już jako kawaler Orderu Legii Honorowej w randze pułkownika, brał udział w wojnie francusko-pruskiej 1870 r. Poległ na polu chwały, nosząc w służbie Francji mundur swojej polskiej powstańczej formacji, Żuawów Śmierci.

Postacią symbolizującą odwieczną wzajemną sympatię Polaków i Węgrów, narodów, którym łatwiej wspólnie walczyć i ginąć niż ze sobą rozmawiać, jest Edward hrabia Nyary. Podczas węgierskiej Wiosny Ludów (1848-49) walczył pod dowództwem gen. Józefa „Ojczulka" Bema. Później bił się z Rosjanami w szeregach armii tureckiej, wojował u boku Garibaldiego we Włoszech, a do naszego powstania przyłączył się wiosną 1863 roku. We wrześniu podczas zwycięskiego starcia pod Panasówką odniósł śmiertelną ranę. Umierając w polowym lazarecie, zdołał jeszcze przejść z wyznania kalwińskiego na katolicyzm, religię swoich polskich przyjaciół. Jego ostanie słowa brzmieć miały: *„Eljen! Niech żyje Polska..."*. Najbardziej dramatyczne wybory kierowały chyba jednak rodowitymi poddanymi cara, którzy przeszli na polską stronę, dokładnie tak, jak sugerował manifest Rządu Narodowego z 22 I 1863 roku. Andriej Afanasjewicz Potiebnia, ur. w Połtawie (obecnie Ukraina) zawodowy oficer armii rosyjskiej, przy tym spiskowiec i przeciwnik caratu. Już w roku 1861 założył tajną organizację Komitet Oficerów Rosyjskich w Polsce, a rok później uczestniczył w zamachu na rosyjskiego namiestnika w Warszawie, Aleksandra Nikołajewicza von Lüdersa. Poległ w marcu 1863 roku w bitwie pod Pieskową Skałą.

Urodzony w Radomiu Rosjanin, Matwiej Bezkiszkin, służył jako kapitan straży granicznej. Podczas powstania stanął po polskiej stronie. Do wiosny 1864 roku kierował partią partyzancką, a po rozbiciu oddziału wpadł w ręce rodaków. Dla zdrajcy nie było litości. Kapitan Bezkiszkin został stracony, a wobec jego hardego zachowania podczas rozprawy (nazwany zdrajcą uderzył sędziego w twarz) honorowe rozstrzelanie zastąpiono hańbiącym powieszeniem. Niezwykłe i intrygujące losy innych uczestników Powstania Styczniowego mogłyby wypełnić jeszcze wiele stron. Poświęcone im będzie odrębne opracowanie.

Literatura i ilustracje:
1. P. Łossowski, Z. Młynarski „Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy w powstaniu styczniowym", Wrocław 1959
2. S. Kieniewicz „Powstanie styczniowe", Warszawa 1972
3. S. Kieniewicz, A. Zahorski, Wł. Zajewski „Trzy powstania narodowe: kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe", Warszawa 1994
4. M. Winowska „Opowieść o człowieku który wybrał większą wolność", Kraków 1992

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

Kozacy w służbie 8. Armii włoskiej na froncie wschodnim

TEKST: LESZEK MOLENDOWSKI
ZDJĘCIA: ARCHIVIO FOTOGRAFICO DELL'UFFICIO STOLICO DELLO STATO MAGGIORE DELL'ESERCITO

Historia uczestnictwa oddziałów rekrutujących się z obywateli Związku Radzieckiego po stronie III Rzeszy jest znana i bardzo dobrze opisana w literaturze przedmiotu. Niewiele osób jednak wie, że również i armia włoska, walcząca u boku armii niemieckiej przeciwko Sowietom, korzystała ze wsparcia oddziałów rekrutujących się spośród okupowanej ludności ZSRR.

Kozacy u boku Włochów

Najbardziej znaną jednostką złożoną z obywateli Związku Radzieckiego, którzy w czasie II wojny światowej podjęli współpracę z armią włoską na froncie wschodnim, była Samodzielna Grupa Kozacka „Savoia". Formacja powstała 25 września 1942 roku w miejscowości Millerowo nad Donem z inicjatywy dowództwa 8. Armii włoskiej (ARMIR). Gorącym zwolennikiem powstawania tego typu zbrojnej formacji był dowódca armii gen. Italo Gariboldi oraz mjr hrabia Ranieri di Campello[1], oficer Dywizji Kawalerii „Savoia Cavalleria". Został on oddelegowany do Sztabu XXXV Korpusu Armijnego do kierowania oddziałem informacyjnym, kontrwywiadu i bezpieczeństwa. Pomysłodawca stworzenia zwartego oddziału rozpoczął działania werbunkowe na długo przez oficjalną zgodą, bo już wiosną 1942 roku. W połowie lipca powstała, jeszcze nieoficjalnie, niewielka jednostka złożona z Kozaków – Dywizjon Kozaków majora Campello (Gruppo Squadroni Cosacchi Maggiore Campello). Oddział liczył, pod bezpośrednim dowództwem twórcy, ok. 120 jeźdźców, będąc mniej więcej odpowiednikiem kozackiej sotni. Di Campello został oddelegowany na front wschodni jako oficer SIM (Servizio Informazione Militare) – włoskiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego – który wrócił właśnie z misji specjalnych w Hiszpanii i Afryce Północnej. Kiedy przybył na front nad Donem, w niemieckich obozach jenieckich przebywało mnóstwo Kozaków, którzy aż garnęli się do walki ze znienawidzonymi komunistami[2]. Wystarczyło ich tylko umiejętnie zagospodarować, co już wcześniej uczynili Niemcy. Zastępcą mjr. Campello i bezpośrednim dowódcą Kozaków został kpt. Giorgio Stavro di Santarosa. Oddział został sformowany, uzbrojony i wsparty kadrą oficerską przez 3. Pułk Kawalerii z Dywizji Kawalerii „Savoia Cavalleria" stacjonujący w okolicy miasteczka. Otrzymał nazwę Ochotniczej Sotni Kozaków (Sotnia Volontaria Cosacca) lub Nieregularny Oddział Kozaków (Bande Irregolare Cosacca). Oddział ten, pomimo iż przedzielono go do 3. Pułku Kawalerii, podlegał bezpośrednio dowództwu II. Korpusu Armijnego. Na czele Kozaków stanął włoski oficer, kawalerzysta, kpt. Giorgio Stavro di Santarosa. Nowy dowódca bardzo przypadł do gustu swym podkomendnym, zdobywając sobie ich wielki szacunek; został nawet mianowany honorowym Kozakiem stanicy Kamiszczewackiej w rejonie Ejskim na Kubaniu. Jego zastępcą został por. Copetzki, rosyjski oficer (artylerzysta) z włoskim obywatelstwem. Głównym tłumaczem był por. Piero Leonar, również z pochodzenia Rosjanin, syn białogwardzisty, który osiedlił się we Włoszech. Początkowo Kozacy wykonywali zadania wywiadowcze, a zdobyte przez nich informacje o ruchach wojsk przeciwnika, przegrupowaniach czy planowanych atakach, przekazywano do Sztabu 8. Armii włoskiej[3]. Już pierwsze akcje Kozaków, wraz z nielicznymi akcjami bojowymi skierowanymi przeciwko sowieckim oddziałom partyzanckim i kawalerii Armii Czerwonej, wzbudziły szacunek i uznanie nie tylko Włochów, ale i Niemców[4].

Wszyscy kozaccy ochotnicy otrzymywali stopnie, które poprzednio mieli w Armii Czerwonej. Początkowo nosili sowieckie umundurowanie, z których usuwano tylko czerwone gwiazdy. Pomimo tego często dochodziło do tragicznych pomyłek. Chcąc uniknąć dalszych nieporozumień i strzelania przez włoskich żołnierzy do „swoich" Kozaków, z czasem nastąpiły zmiany w umundurowaniu. Kozacy zaczęli nosić zarówno włoskie mundury wzoru M1940 z regularnymi dystynkcjami, jak i własne, kozackie, nawiązujące tradycją do mundurów carskiej Rosji. Nadal były to niebieskie spodnie ozdobione czerwonym paskiem. Żołnierze do umundurowania dodawali elementy kozackiej tradycji wojskowej, czapki „papachy" oraz szable wz.27, szaszki i kubanki. Pozwalano na noszenie tradycyjnego płaszcza (czerkieskiego) oraz sztyletu – kindżału[5]. Płaszcze nosili jednak tylko oficerowie i podoficerowie. Na czapkach widniały kokardy w kolorach białym, niebieskim i czerwonym (flaga carskiej Rosji). Na lewym rękawie noszono naszywki w tych samych barwach. Kozacy używali głównie uzbrojenia z arsenału Armii Czerwonej, rzadziej z zasobów włoskich[6].

Formowanie oddziału nie obyło się bez przeszkód. Główny problem stanowiła bariera językowa. Szybko jednak udało się ją przezwyciężyć, choć do ideału było daleko. Pod oficjalnym dokumentem o utworzeniu pierwszej sotni kozackiej, walczącej u boku Włochów, widnieją podpisy płk. Golovkova oraz starszego

Pamiątkowe zdjęcie Kozaków i oficerów włoskich różnych formacji, późne lato 1942 roku.

Generał Italo Gariboldi (w skórzanej kurtce) wizytuje oddział Kozaków.

kpt. Maligina – szanowanego reprezentanta i sekretarza połączonego komitetu ruchu antykomunistycznego Kubania i Donu[7]. Ten sam dokument potwierdza nominację kpt. di Santarosa na honorowego Kozaka. Kozacy spełniali nie tylko rolę wywiadowczo-zwiadowcze, doskonale sprawdzali się również jako siły szybkiego reagowania. Nękali linie sowieckie, likwidowali ewentualne wypady wrogiej kawalerii, często sami przenikali nawet za linię przeciwnika[8].

Po klęsce wojsk Osi w bitwie pod Stalingradem, na początku 1943 roku Kozacy rozpoczęli odwrót wraz z pozostałymi oddziałami 8. Armii. Po drodze prowadzili liczne walki z partyzantką sowiecką oraz ścigającymi ich oddziałami sowieckiej kawalerii. Co ciekawe, stan liczebny Samodzielnej Grupy zwiększył się do siły batalionu, w skład którego wchodziły dwa szwadrony kawalerii – ponad 360 Kozaków. 1 kwietnia 1943 r. jednostkę powiększono do rozmiarów dywizjonu. Oddział otrzymał nazwę Samodzielnej Grupy Kozackiej „Savoia" (Gruppo Autonomo Cossacchi „Savoia"). Nowym dowódcą został mjr hrabia Ranieri di Campello, a jego zastępcą kpt. Władimir Ostrowski[9].

W maju 1943 roku Samodzielna Grupa Kozacka „Savoia", wraz z resztkami włoskiej 8. Armii gen. Gariboldiego, znalazła się we Włoszech. Zostali ulokowani w majątku ziemskim zwanym przez nich „Jacur" w Maccaccari Gazzo, nieopodal Werony w Lombardii. Mjr di Campello odbywał w tym czasie rekonwalescencję w jednym z sanatoriów na południu Włoch. Jednostka została przydzielona do Pułku Kawalerii „Lancieri Novara" pod dowództwem markiza Cavarzerani. W miejscu stacjonowania Kozaków nie odnotowano żadnych incydentów z miejscową ludnością – co odnotował burmistrz Gazzo Veronese Italo Cavallini – nie dochodziło też do rabunków i aktów przemocy, czego Włosi bardzo się obawiali. Kozacy chętnie pomagali mieszkańcom w różnych pracach, szczególnie w polowych[10]. W czasie swojego pobytu, wraz z włoskimi kawalerzystami, zostali odwiedzeni przez gen. Mario Marazzaniego i odznaczeni – jako oddział – włoskim medalem za zasługi wojenne. Włosi planowali wysłać oddział kozacki do Albanii z misją wsparcia włoskiej 9. Armii w walkach z ruchem partyzanckim. Starano się również pozyskać większą liczbę kozackich jeźdźców, prowadząc rekrutację w niemieckich obozach jenieckich. Plan jednak spełzł na niczym, ponieważ Niemcy zarezerwowali sobie monopol na wschodnich ochotników. 22 lipca 1943 roku powiększono Grupę Kozacką o dodatkową kadrę włoską: trzech oficerów, pięciu podoficerów i dziesięciu żołnierzy. Do formacji dołączyli także nowi Kozacy: czterech oficerów – kapitan, oficer medyczny, oficer weterynarz, kapelan prawosławny w stopniu porucznika, dwóch podoficerów oraz trzydziestu żołnierzy. Tym samym Grupa Kozaków „Savoia" rozrosła się do trzech pełnych sotni kozackich pod dowództwem oficera w stopniu kapitana i porucznika w oddziale dowodzenia z jednym podoficerem i jedenastoma żołnierzami oraz trzech plutonów. Pojawiły się jednak problemy aprowizacyjne, o czym donosił raport sporządzony przez jednego z włoskich oficerów. Pisał on, iż: *„otrzymywane przez Kozaków racje żywnościowe są niewystarczające, nie przysługują im nawet przepisowe 10 papierosów dziennie. Takie traktowanie jest niedopuszczalne, tym bardziej, że ci ludzie walczyli z poświęceniem za naszą sprawę i związali z nami swe losy. Kozacy żyją za swoje dobra przywiezione jeszcze z Rosji"*. O dziwo jego raport spotkał się z odpowiedzią, co jednak nie gwarantowało szybkiej poprawy losu Kozaków. W końcu, po dość długim czasie, przysłano list Antonia Sorice z Ministerstwa Wojny, w którym informowano dowództwo, iż Kozacy otrzymają zaległy żołd oraz zostaną im przyznane stałe świadczenia, tak jak regularnym oddziałom włoskim[11]. W sierpniu 1943 roku na inspekcję Kozaków przyjechał gen. Gariboldi. 31 sierpnia dołączył do niech kapelan wojskowy archiprezbiter ksiądz Kurakin, duchowy opiekun nie tylko Kozaków, ale wszystkich uciekinierów ze Związku Radzieckiego przebywających we Włoszech. Wojna dla Włoch niedługo miała się zakończyć.

Kozacy ze Specjalnej Grupy Kozaków „Savoia" w swych tradycyjnych mundurach – umilanie sobie czasu ludowym tańcem.

8 września doszło do bezwarunkowej kapitulacji kraju. Wojska niemieckie rozpoczęły operację „Oś" (Achse), w czasie której rozbrojono wszystkie jednostki armii włoskiej, a jej żołnierzy internowano. Kozaków ten scenariusz ominął. Warunkiem było przekazanie Niemcom całego uzbrojenia oraz koni. Zobowiązali się również nie podejmować żadnych działań przeciwko Wehrmachtowi. Kozacy

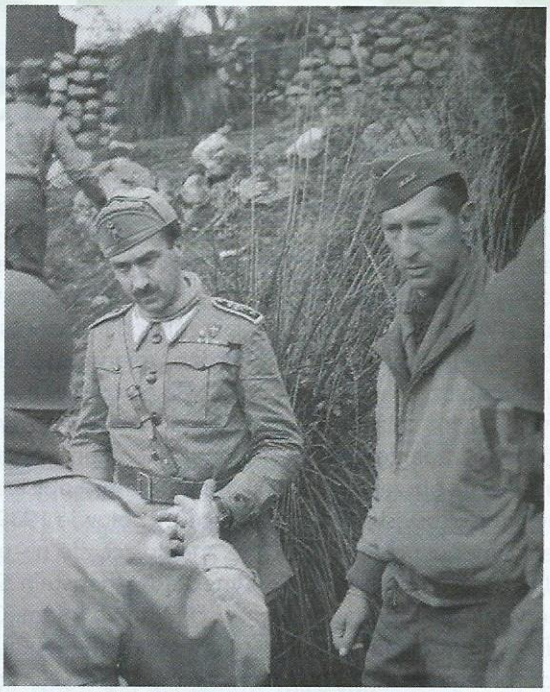

Mjr hrabia di Campello, obok gen. Marka Clarka służący już w oddziałach włoskich po stronie aliantów, Montelungo, grudzień 1943 roku.

znaleźli gościnę i pracę wśród miejscowej ludności w regionie Camporosso niedaleko Val Canale[12]. Część z nich, np. Vladimir Leonow, dołączyli do Specjalnego Korpusu Kozaków gen. mjr. Timofeja Ivanovicza Domanowa, który w północnych Włoszech, za zgodą Niemców i rządu Włoskiej Republiki Socjalnej, stworzył „Kozacki Stan" – nową ojczyznę dla Kozaków, którzy wycofali się wraz z wojskami państw Osi ze Związku Radzieckiego. Domanowa w listopadzie 1944 roku, rozkazem atamana Piotra N. Krasnowa, mianowano atamanem marszowym. Krasnow był „głową państwa", natomiast Domanow dowódcą wojskowym Kozackiego Stanu. W krótkim czasie do gen. Domanowa dołączyła także reszta Kozaków z Samodzielnej Grupy Kozackiej „Savoia". Kozacy, wspólnie z oddziałami niemiecki i włoskimi, zwalczali partyzantkę w północnych Włoszech w rejonie Tolmezzo. Dowództwo nad oddziałem sformowanym z „włoskich Kozaków" objął por. Władimir Ponomarov, weteran Grupy Kozaków „Savoia". Mjr hrabia Ranieri di Campello walczył w tym czasie w składzie włoskich sił zbrojnych sprzymierzonych z aliantami przeciwko Niemcom i siłom RSI. Został ciężko ranny w walkach pod Monte Cassino 13 grudnia 1943 roku. Ciekawe są również powojenne losy kpt. Ostrowskiego, który przez krótki czas pływał na statkach handlowych pod banderą Panamy. Uciekł w ten sposób do Argentyny przed grożącą mu deportacją do ZSRR i niechybną śmiercią lub wieloletnim zesłaniem do katorżniczej pracy w Gułagach. Por. Ponomarov nie miał tyle szczęścia, został po wojnie wydany władzom sowieckim. Jego dalszy los nie jest znany[13].

Naszywki noszone na lewym rękawie przez Kozaków i rosyjskich ochotników służących u boku armii włoskiej na froncie wschodnim.

Rosjanie i Ukraińcy

W szeregach armii włoskiej znalazło się również czterech Ukraińców, studentów z uniwersytetu w Rzymie. Zgłosili się oni na ochotnika, jako tłumacze, po tym, jak Włosi ogłosili, że ich armia weźmie udział w „antybolszewickiej krucjacie". 28 marca 1942 roku po przejściu komisji wojskowej i szkoleniu w Mediolanie zostali wysłani do Rosji. Po przyjęciu na służbę otrzymali włoskie obywatelstwo, a ich imiona i nazwiska zostały zmienione na brzmiące bardziej włosko. Ukraińcy nosili włoskie mundury i dystynkcje. Wyruszyli 20 czerwca 1942 roku do Rosji. Volodimir Grabets (Luigi Gabini) jako oficer służył w specjalnej jednostce APPO 300, będącej zapleczem tłumaczy dla 8. Armii włoskiej. Jednostka została wysłana do Doniecka na Ukrainie. Melentiy Voinar (Michele del Bosco) służył w południowej Ukrainie jako tłumacz w dywizji „Torino". Kolejnymi dwoma studentami-oficerami byli: Peter Diachiszin i Vasyl Vavrik (brak danych o nazwiskach włoskich), jednak nie wiadomo dokładnie w jakich jednostkach służyli[14].

Niewiele niestety wiadomo o oddziałach sformowanych z rosyjskich ochotników, którzy służyli u boku 8. Armii na wschodzie. Pewne jest tylko to, że Włochom udało się sformować silny, około tysiącosobowy batalion piechoty z Rosjan, którzy służyli na zapleczu frontu. O jednostce tej dowiadujemy się z dokumentów niemieckich, które mówią o sformowanym przez dowództwo włoskie w ZSRR Schierungsbataillon (italienische), czyli batalionie zabezpieczającym. Każda z kilku kompanii wchodzących w skład batalionu, była rozlokowana w większych miasteczkach włoskiej strefy okupacyjnej. Żołnierze byli w całości umundurowani we włoskie sorty mundurowe, łącznie z rosyjskimi oficerami. Od Włochów odróżniały ich tylko kokardy na czapkach i naszywki na lewym rękawie w barwach narodowych Rosji[15].

Przypisy:

[1] Ranieri di Campello, ur. 21 IX 1908 r. w Spoleto. Był szlachcicem, oficerem wywiadu i kontrwywiadu wojskowego SIM oraz sportowcem. Był synem hr. Pompeo di Campello, senatora Królestwa Włoch oraz księżniczki Wilhelminy Boncompagni Ludovisi, damy dworu królowej Eleny Czarnogórskiej. Ukończył Szkołę Jeździecką w Pinerolo w Modenie. Jako jeździec brał udział w Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie w 1936 r., gdzie doznał poważnej kontuzji i musiał pożegnać się ze sportem wyczynowym. Attaché w ambasadzie w Bukareszcie (1940), skąd został przeniesiony do Hiszpanii do Algeciras, gdzie potajemnie koordynował działania X Flotylli MAS przeciwko brytyjskiej marynarce wojennej w Gibraltarze. Po kapitulacji Włoch opowiedział się po stronie rządu marsz. Pietro Badoglio i walczył w składzie Włoskiego Zgrupowania Zmotoryzowanego pod Montelungo (na froncie Monte Cassino), gdzie 13 grudnia został ciężko ranny. Po wojnie był działaczem, a później prezesem Włoskiej Federacji Sportów Jeździeckich. Zmarł w rodzinnym Campello 29 V 1959 roku.

[2] Stefano Fabei „La »Legione straniera« di Mussolini", Milano 2008, s. 263-164

[3] Pierluigi Romeo di Colloredo „Croce di Ghiaccio-C.S.I.R ed ARM.I.R in Russia 1941-1943", Genowa 2010, s. 218- 219

[4] Piar Arrigo Carnier „L'armata cosacca In Italia 1944-1945", Parma 2008, s. 118

[5] Philip S. Jowett „The Italian Army 1940-45 (1) Europe 1940- 43". Oxford 2000, s. 37

[6] Pierluigi Romeo di Colloredo, *op. cit.* s. 218

[7] Piar Arrigo Carnier, *op. cit.*, s. 117

[8] Stefano Fabei *op. cit.*, s. 265

[9] Jarosław Gdański „Zapomniani żołnierze Hitlera", Warszawa 2005, s. 122

[10] Piar Arrigo Carnier, *op. cit.*, s. 118

[11] Stefano Fabei, *op. cit.*, s. 265-267

[12] Piar Arrigo Carnier, *op. cit.*, s. 118

[13] Pierluigi Romeo di Colloredo, *op. cit.*, s. 220

[14] Piar Arrigo Carnier, *op. cit.*, s. 119

[15] Rolf Dieter Müller „Wspólnicy Hitlera. Formacje sojusznicze Wehrmachtu na froncie wschodnim", Warszawa 2010, s. 277; Pierluigi Romeo di Colloredo, *op. cit.*, s. 219

Leszek Molendowski

Historyk, zajmuje się dziejami Pomorza Nadwiślańskiego w XIX i XX wieku oraz historią wojskowości, szczególnie historią armii włoskiej oraz innych armii państw Osi. Opublikował dwie książki (z historii Pomorza). Obecnie pracuje nad monografią pod roboczym tytułem „Włosi na froncie wschodnim 1941-1945".

Pozycja Szczycieńska

TEKST: JACEK JAROSZ
ZDJĘCIA I RYSUNKI: AUTOR

Szczycieńska Pozycja Leśna (niem. Ortelsburger Waldstellung), dalej określana jako Pozycja Szczycieńska, jest jedną z kilku niemieckich linii ufortyfikowanych utworzonych w pierwszej połowie XX w. na terenie byłych Prus Wschodnich. Umocnienia te miały być przedłużeniem w kierunku południowo-zachodnim Pozycji Jezior Mazurskich (niem. Mazurische Seenstellung). Głównym zadaniem Pozycji Szczycieńskiej było czasowe zatrzymanie na obszarze Puszczy Piskiej ewentualnej akcji zaczepnej wojsk rosyjskich, które Niemcy uważali za swojego potencjalnego przeciwnika. Wstępne prace pomiarowe przy budowie fortyfikacji rozpoczęły się w roku 1898, natomiast pierwsze obiekty zaczęto konstruować dwa lata później. Linia umocnień została poprowadzona od południowo-zachodniego brzegu Jeziora Nidzkiego (niem. Nieden See), kilka kilometrów na południe od Rucianego (niem. Rudschanny – spolszczone Rudczany; w latach 1938-1945 Niedersee; od roku 1966, po połączeniu z Nidą – niem. Nieden – Ruciane-Nida) aż do miejscowości Sasek Wielki (niem. Materschobense; na jeziorem Sasek Mały, także Szoby Małe; niem. Schobensee). Fortyfikacje biegły przez: Karwicę (niem. Kurwien), Spychowo (niem. Puppen), na północ od Piasutna (niem. Piasutten), Jerutki (niem. Klein Jerutten), wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Wałpusza (niem. Waldpusch), Młyńsko, Nowe Gizewo (niem. Neu Gisöwen) i Siódmak (niem. Schodmak; w latach 1938-1945 Wiesendorf). Czasami do Pozycji Szczycieńskiej wlicza się dwa punkty oporu Pozycji Jezior Mazurskich – PO „Guzianka" i PO „Rudczany". W stosunku do fortyfikacji Pozycji Jezior Mazurskich, umocnienia Pozycji Szczycieńskiej miały wyraźnie lżejszy charakter i były pozbawione stałych stanowisk artylerii. W okresie mobilizacyjnym, niedługo przed wybuchem I wojny światowej w lecie 1914 roku, linia umocnień została wzmocniona poprzez budowę nowych obiektów dla broni maszynowej. Pozycję obsadziły jednostki niemieckiej 8. Armii, która miała bronić Prus Wschodnich przed Rosjanami. Ci drudzy wkrótce rozpoczęli ofensywę i 20 sierpnia pokonali Niemców w bitwie pod Gąbinem (niem. Gumbinen; obecnie rosyjski Gusiew). Fortyfikacje Pozycji Szczycieńskiej zostały opuszczone bez walki, a ich obsada wycofała się na zachód. Umocnienia pozycji Niemcy odzyskali już wkrótce, po wygranej w końcu sierpnia bitwie z Rosjanami pod Stębarkiem (niem. Tannenberg). Od zakończenia działań wojennych w listopadzie 1918 roku Pozycja Szczycieńska była nadzorowana przez aliantów i istniał na niej całkowity zakaz budowy nowych fortyfikacji. W roku 1927 zezwolono jednak Niemcom na zastąpienie starych obiektów nowszymi konstrukcjami – opisanymi poniżej schronami biernymi. Mniej więcej w połowie 1939 roku Pozycję Szczycieńską połączono ze znajdującą się na północny-zachód od niej Pozycją Olsztynecką (Hohenstein Stellung), prowadząc ją przez miejscowości: Witowo (niem. Gittau), Warchały (niem. Warchall), Narty (niem. Narthen) i Burdąg (niem. Burdungen). Jednocześnie umocnienia pozycji wzmocniono poprzez wybudowanie szeregu niewielkich schronów bojowych, które ustawiono w najbardziej newralgicznych miejscach.

W lecie 1939 roku fortyfikacje Pozycji Szczycieńskiej stanowiły osłonę dla szykujących się do ataku na Polskę jednostek niemieckich. W roku 1944 pozycja została rozbudowana poprzez wykopanie rowu przeciwczołgowego i wzmocnienie wieloma niewielkimi, prostymi obiektami, tzw. „garnkami Kocha" lub „kochbunkrami" (niem. Kochtöpfe). W początkowej fazie budowy znajdowało się także szereg schronów biernych nowego typu, jednak żaden z nich nie został ukończony. Jesienią 1944 roku umocnienia pozycji znalazły się w pasie działania jednostek niemieckiej 4. Armii, i w razie konieczności miały zostać przez nie obsadzone. Jednak po szybkim przełamaniu przez Rosjan niemieckich pozycji obronnych nad Narwią, jednostki Wehrmachtu wycofały się i nie obsadziły pozycji. Bez problemów została ona zajęta przez armię radziecką, która wkrótce część obiektów wysadziła w powietrze. Po przejściu frontu, w drugiej połowie lat 40. niektóre obiekty opuszczonej Pozycji Szczycieńskiej były wykorzystywane przez oddziały polskiego podziemia antykomunistycznego. Pozostałą część

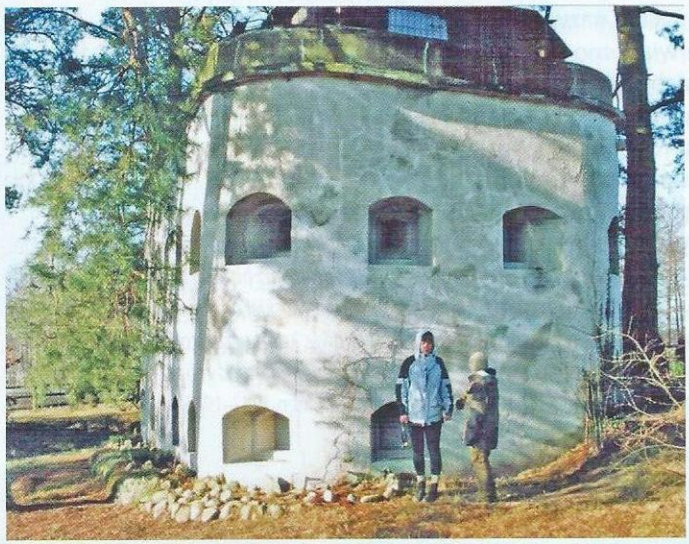

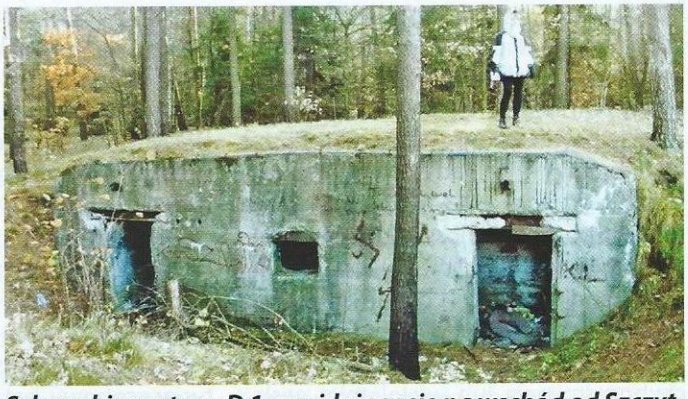

Schron bierny typu D 1, znajdujący się na wschód od Szczytna (obiekt nr 13).

Pochodząca z 1900 roku wieża karabinów maszynowych w Sasku Wielkim.

większych schronów w latach 50. zinwentaryzowało Wojsko Polskie. Obecnie prawie wszystkie zachowane obiekty pozycji są dostępne, choć dość trudne do odnalezienia.

Obiekty z przełomu XIX i XX wieku

W ramach budowy Szczycieńskiej Pozycji Leśnej wybudowano 36 dwukondygnacyjnych, ceglano-betonowych blokhauzów, przeznaczonych dla broni maszynowej i ręcznej (Bl 1-Bl 36). Dolne kondygnacje tych obiektów przystosowano do prowadzenia ognia z karabinów maszynowych, przy czym ich strzelnice były wzmocnione lekkimi płytami pancernymi. Górne kondygnacje z nadbudowanym krenelażem przeznaczono dla broni ręcznej. Blokhauzy generalnie budowano w odległości około 700-800 m od siebie, zabezpieczając najbardziej narażone na atak sił nieprzyjacielskich miejsca. Pozycja chroniona była przeszkodami przeciwpiechotnymi pod postacią kilku rzędów zasieków o szerokości około 20 m, które według części danych mogły osiągać nawet szerokość sięgającą 50 m. Wszystkie blokhauzy zostały rozebrane najprawdopodobniej w pierwszej połowie lat 20. XX w. i obecnie nie ma po nich śladu.

Około 1900 roku w miejscowości Sasek Wielki, nad wschodnim krańcem jeziora Sasek Mały, wybudowana została, przeznaczona do obrony okrężnej, trójkondygnacyjna betonowa wieża dla karabinów maszynowych (niem. MG-Turm). Jest ona bardzo podobna do trzech wież usytuowanych w PO „Rudczany" i PO „Guzianka" na Pozycji Jezior Mazurskich. Jedna z nich stoi przy śluzie Guzianka, natomiast pozostałe dwie przy moście kolejowym i moście drogowym nad Jeziorem Nidzkim. Grubość ścian obiektu w Sasku Wielkim sięga około 150 cm, natomiast grubość stropu – około 50 cm. Uzbrojenie wieży stanowiły najprawdopodobniej cztery ciężkie karabiny maszynowe, a jej załoga składała się z 24 ludzi. Obecnie obiekt znajduje się w dobrym stanie technicznym.

Z tego okresu również pochodzi usytuowany w Siódmaku, przy skrzyżowaniu dróg, ziemny punkt oporu wzmocniony betonowymi stanowiskami ogniowymi. Prawdopodobnie jego załogę stanowił pluton piechoty uzbrojony w cztery ckm-y. Obecnie usytuowany na zapolu szaniec, pochodzącego z drugiej połowy lat 20. schronu biernego nr 1, znajduje się w niezłym stanie, przy czym w jego okolicach znaleźć można jeszcze późniejsze obiekty – pochodzące z końcowego okresu II wojny światowej „Garnki Kocha". W sumie na początku XX wieku na Pozycji Szczycieńskiej wybudowano trzy takie szańce. Oprócz opisanego obiektu w Siódmaku były to punkty oporu znajdujące się na południowy-wschód od Szczytna (niem. Ortelsburg) oraz na wschód od jeziora Wałpusz (niem. Waldpusch See).

Obiekty mobilizacyjne z roku 1914

W lecie 1914 roku Pozycja Szczycieńska została wzmocniona szeregiem schronów bojowych o konstrukcji drewnianej, podobnych do wybudowanych wcześniej ceglano-betonowych blokhauzów. Były to 44 obiekty przeznaczone dla broni maszynowej, także dwukondygnacyjne, ze strzelnicami wzmocnionymi zapewne płytami pancernymi. Całą pozycję uzupełniono dodatkowymi okopami ze stanowiskami strzeleckimi oraz zasiekami. Wszystkie obiekty zostały rozebrane najprawdopodobniej w pierwszej połowie lat 20. Obecnie brak jest jakichkolwiek pozostałości po opisanych schronach.

Schrony bierne z drugiej połowy lat 20.

Budowane w tym czasie schrony bierne należały do dwóch głównych rodzajów. Były to obiekty większe, przeznaczone dla dwóch drużyn piechoty (niem. Doppelgruppenunterstand) lub mniejsze, dla jednej drużyny piechoty (niem. Gruppenunterstand). Ich zadaniem miało być ukrycie własnych żołnierzy w czasie nieprzyjacielskiego ostrzału artyleryjskiego oraz zapewnienie im w miarę dobrych warunków socjalnych, to jest

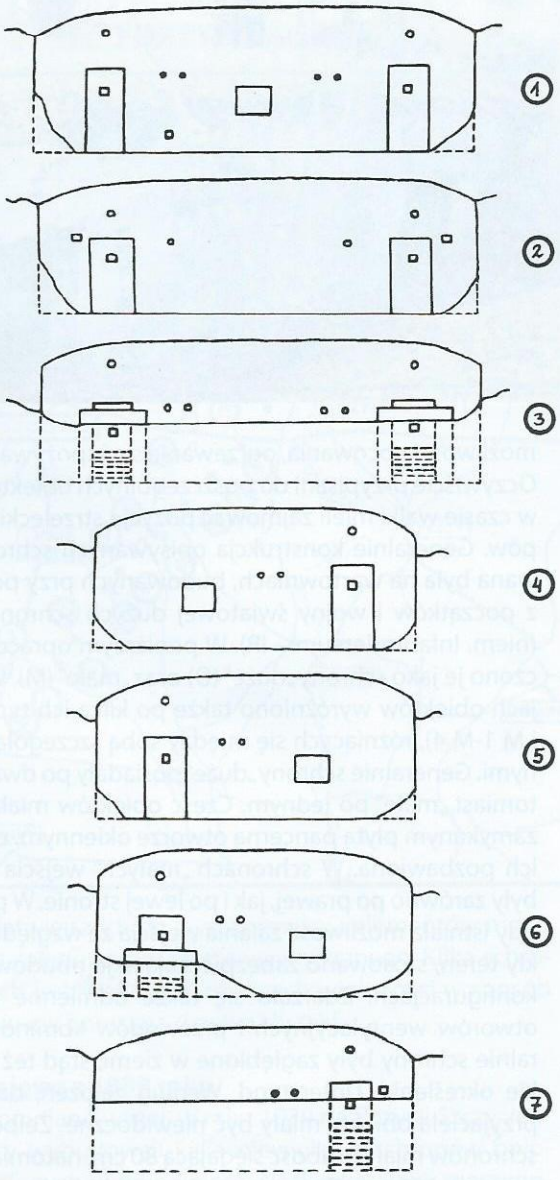

Elewacje schronów biernych stosowanych na Pozycji Szczycieńskiej (D – schron „duży", M – schron „mały"):
1. Typ D 1 – schron z dwoma wejściami i otworem okiennym usytuowanym pomiędzy nimi.
2. Typ D 2 – schron z dwoma wejściami bez otworu okiennego.
3. Typ D 3 – schron z dwoma wejściami bez otworu okiennego z obudowami wejść mającymi chronić je przed zalewaniem.
4. Typ M 1 – schron z jednym wejściem usytuowanym z prawej strony i otworem okiennym po stronie lewej.
5. Typ M 2 – schron z jednym wejściem usytuowanym z lewej strony i otworem okiennym z prawej strony.
6. Typ M 3 – schron z jednym wejściem z lewej strony i otworem okiennym z prawej strony oraz obudową wejścia mającą chronić je przed zalewaniem.
7. Typ M 4 – schron z jednym wejściem usytuowanym z prawej strony bez otworu okiennego, z rozciągającą się na długość całego obiektu obudową wejścia mającą chronić je przed zalewaniem.

Schron bierny typu D 2, usytuowany w Siódmaku (obiekt nr 1).

Obudowane wejścia do schronu biernego typu D 3 (obiekt nr 16).

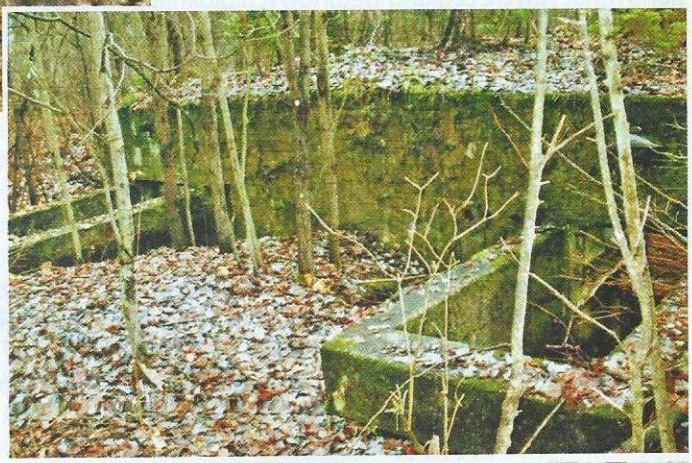

Schron bierny typu M 2, znajdujący się na wschód od Szczytna (obiekt nr 14).

możliwości nocowania, ogrzewania się i spożywania posiłków. Oczywiście przypisani do poszczególnych obiektów żołnierze, w czasie walki mieli zajmować pozycje strzeleckie w linii okopów. Generalnie konstrukcja opisywanych schronów wzorowana była na wartowniach, budowanych przy pochodzących z początków I wojny światowej dużych schronów piechoty (niem. Infanterieraum – IR). W poniższym opracowaniu oznaczono je jako schrony „duże" (D) oraz „małe" (M). W obu rodzajach obiektów wyróżniono także po kilka ich typów (D 1-D 3 i M 1-M 4), różniących się między sobą szczegółami technicznymi. Generalnie schrony „duże" posiadały po dwa wejścia, natomiast „małe" po jednym. Część obiektów miała po jednym zamykanym płytą pancerną otworze okiennym, część zaś była ich pozbawiona. W schronach „małych" wejścia usytuowane były zarówno po prawej, jak i po lewej stronie. W przypadkach, gdy istniała możliwość zalania wejścia ze względu na podmokły teren, stosowano zabezpieczające je obudowy w różnych konfiguracjach. Zdarzało się także odmienne usytuowanie otworów wentylacyjnych i przewodów kominowych. Generalnie schrony były zagłębione w ziemi, stąd też ich niemieckie określenie: Unterstand. Według założeń, od strony nieprzyjaciela obiekty miały być niewidoczne. Żelbetowe ściany schronów miały grubość sięgającą 80 cm, natomiast ich stropy osiągały 100 cm. Zewnętrzne ściany obiektów nie posiadały, zdarzającego się często w przypadku późniejszych niemieckich konstrukcji, maskowania, przez zastosowanie różnego rodzaju zniekształcających deformacji (np. typowego „baranka" stosowanego na pobliskiej Pozycji Olsztyneckiej). Wydaje się, że nie były one również maskowane farbami maskującymi. Prawdopodobnie do kamuflowania stosowano typowe siatki maskujące, jednak na obiektach brakuje charakterystycznych dla późniejszych niemieckich konstrukcji „świńskich ogonków", czy też „widelców". Schrony zabezpieczane były różnego rodzaju zasiekami, natomiast ich wejścia posiadały strzelnice do obrony bezpośredniej. Proste pomieszczenia obiektów wyposażone były w prycze do spania i odpoczynku, piecyki do ogrzewania i gotowania oraz nieskomplikowane systemy wentylacyjne. W sumie wybudowano 22 schrony bierne, licząc od miejscowości Siódmak w kierunku północno-wschodnim, poprzez Nowe Gizewo, wschodnie obrzeża Szczytna, Młyńsko, wzdłuż rzeki Wałpusza aż do jeziora Wałpusz. Nie są znane oryginalne oznaczenia obiektów, nie pozostały również żadne ich relikty na ścianach. Do celów poniższego opracowania schrony bierne otrzymały numerację od 1 do 22, poczynając od Siódmaka, a kończąc na południowym krańcu jeziora Wałpusz. Wkrótce po zajęciu Pozycji Szczycieńskiej przez wojska radzieckie, kilka obiektów zostało w mniejszym (nr 4 i nr 9) lub w większym stopniu (nr 6) wysadzonych w powietrze. W latach 50. schrony zostały zinwentaryzowane przez Wojsko Polskie i otrzymały nową numerację. Kilka ich reliktów, w lepszym lub gorszym stanie, zachowało się. Obecny stan większości obiektów jest niezły, przy czym, co oczywiste, pozbawione są

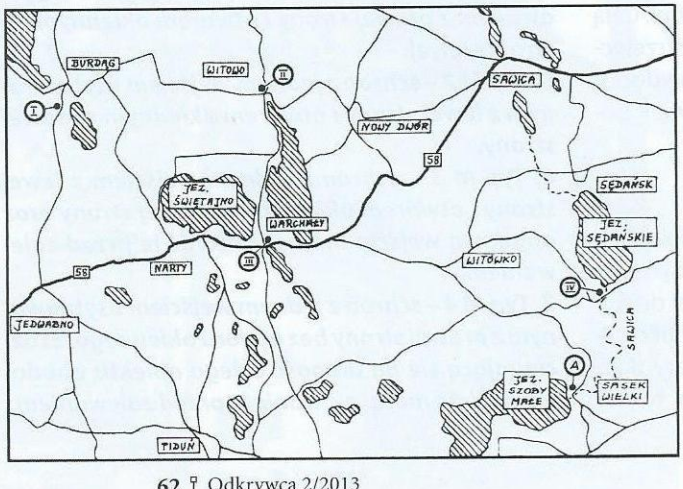

Pozycja Szczycieńska od Burdąga do Jeziora Sędańskiego (I-IV – schrony bojowe typu „Heinrich"; A – wieża karabinów maszynowych).

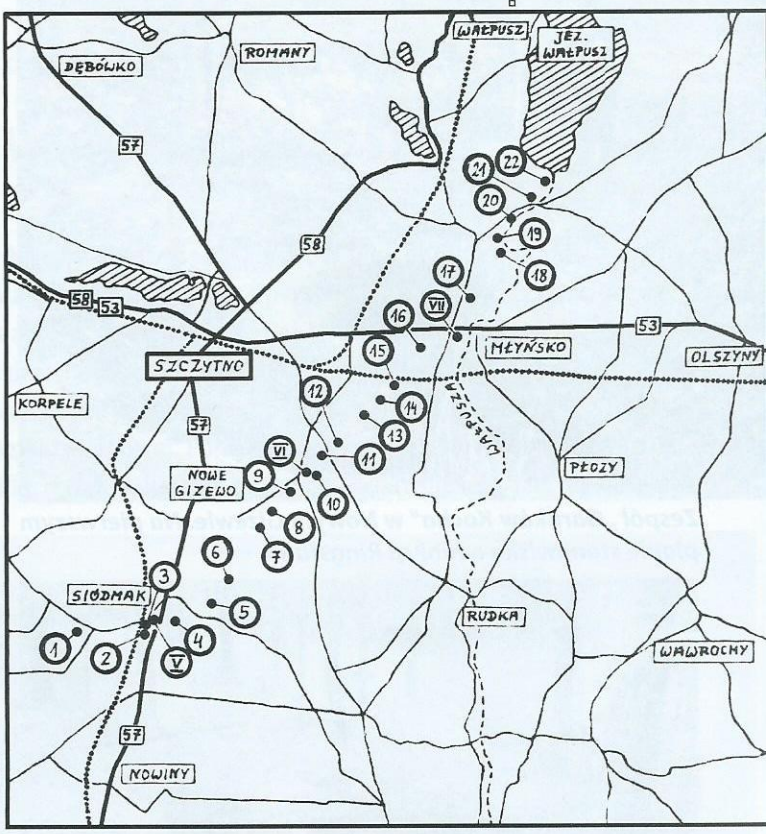

Pozycja Szczycieńska od Siódmaka do jeziora Wałpusz (V-VII – schrony bojowe typu „Heinrich"; 1-22 – schrony bierne z drugiej połowy lat 20.).

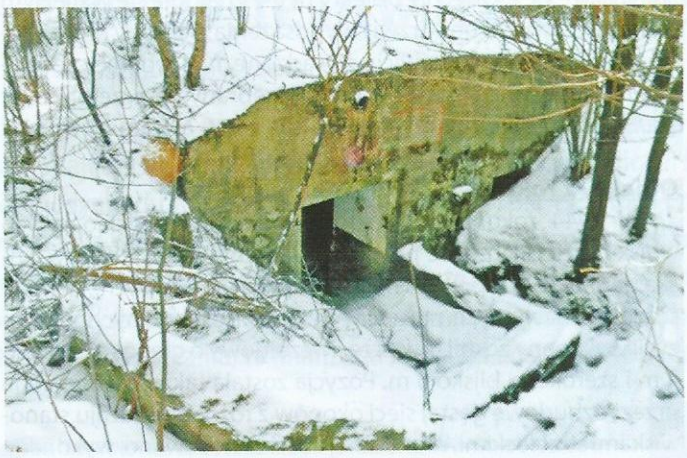

Schron bierny typu M 3 z wodoszczelną obudową wejścia, położony na północ od Młyńska i niestety zalany wodą (obiekt nr 19).

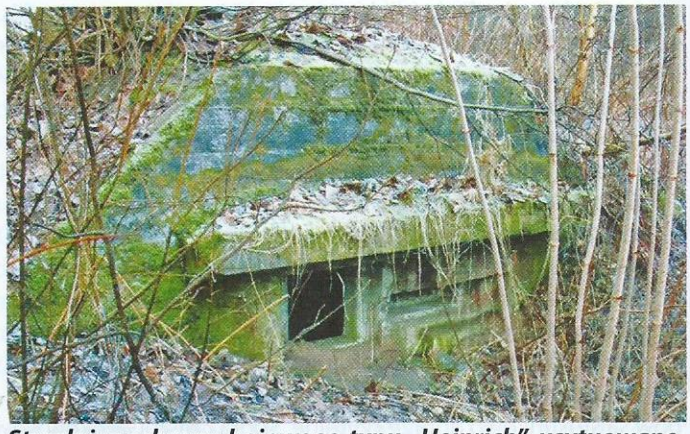

Strzelnica schronu bojowego typu „Heinrich", usytuowanego w Młyńsku (obiekt nr 7).

Wejście do schronu bojowego typu „Heinrich", znajdującego się w Siódmaku (obiekt nr 5).

Wnętrze tego samego schronu ze śladem po zdemontowanej płycie pancernej typu 422 P01.

one drzwi, łatwiejszych do wyszabrowania elementów metalowych oraz całego wyposażenia wewnętrznego. Kilka schronów zalanych jest wodą, a w okolicach większości w sposób niekontrolowany porastają drzewa i krzaki.

Schrony bojowe z 1939 roku

Jak wspomniano wyżej, w roku 1939 na Pozycji Szczycieńskiej Niemcy wybudowali kilka niewielkich schronów bojowych, uzbrojonych w pojedyncze, ciężkie karabiny maszynowe. Obiekty miały zabezpieczać ważniejsze drogi rejonu przed możliwym atakiem jednostek Wojska Polskiego – szczególnie kawalerii. Głównym zadaniem załogi było ostrzeżenie sił własnych przed atakiem nieprzyjaciela i krótkotrwałe go zatrzymanie. Wybudowane schrony były typowymi obiektami ukończonymi krótko przed wybuchem wojny, w strefie przy granicy z Polską. To żelbetowe schrony do ognia czołowego wykonane w kategorii odporności „D". Określano je jako MG-Schartenstand, MG-Stand lub D-Stand. Ze względu na stanowiącą wewnętrzny szalunek i zabezpieczenie przeciwodpryskowe, ukształtowaną w formie łuku blachę falistą o profilu „H", często potocznie określane były jako obiekty typu „Heinrich". Gru-

Zespół „Garnków Kocha" w Nowym Gizewie. Na pierwszym planie stanowisko o funkcji Ringstand.

„Kochbunkier" o funkcji Schartenstand w Siódmaku.

bość ścian bocznych schronu sięgała 60 cm, ściany przedniej 50 cm, a ściany tylnej i stropu 30 cm. Z reguły załogę stanowiło trzech żołnierzy, stanowiących obsługę ckm typu MG 08. Strzelnica i szczelina obserwacyjna zabezpieczone były standardową płytą pancerną typu 422 P01 o masie 340 kg. Jej grubość wynosiła 3 cm, szerokość 140 cm, a wysokość 75 cm. Obiekty posiadały najprostsze wyposażenie socjalne. Na Pozycji Szczycieńskiej wybudowano w sumie siedem takich schronów, jednak nie są znane ich oryginalne oznaczenia. Dla potrzeb poniższego opracowania otrzymały one numery od 1 do 7. Wybudowano je w następujących miejscowościach:

Odcinek rowu przeciwczołgowego w Młyńsku.

Burdąg – nr 1, Witowo – nr 2, Warchały – nr 3, przysiółek Stare Gizewo (niem. Alte Gisöwen) nad Jeziorem Sędańskim (niem. Seedanziger See) – nr 4, Siódmak – nr 5, Nowe Gizewo – nr 6 i Młyńsko – nr 7. Obecnie obiekty nr 5-7 znajdują się w niezłym stanie, oczywiście bez drzwi i wyposażenia. Schrony nr 1 i 2 zostały przez Rosjan całkowicie wysadzone, nr 4 jedynie częściowo, natomiast nr 3 został w pełni rozebrany na przełomie lat 1998/1999.

Obiekty z roku 1944

W 1944 roku Niemcy spodziewając się nadciągających wojsk radzieckich dość poważnie umocnili Pozycję Szczycieńską, jednak tylko przy pomocy fortyfikacji polowych. W miejscach pozbawionych naturalnych przeszkód wodnych, na pozycji wykopany został rów przeciwczołgowy o głębokości około 4 m i szerokości blisko 6 m. Pozycja została także wzmocniona przez rozbudowę gęstej sieci okopów z różnego rodzaju stanowiskami strzeleckimi. W znacznej ilości zastosowano, wykonane z betonowych prefabrykatów, proste pod względem konstrukcyjnym, pojedyncze stanowiska bojowe i obserwacyjne usytuowane w różnych konfiguracjach. Były to tak zwane „Garnki Kocha" („Kochbunkry"), których wartość bojowa, z oczywistych względów, była jednak dość ograniczona. Na całej pozycji wybudowano również szereg drewniano-ziemnych ukryć, ziemianek i magazynów amunicji. Zastosowana została odpowiednia ilość różnego rodzaju przeszkód przeciwpiechotnych. Planowano także, a nawet rozpoczęto, pierwsze prace przy wybudowaniu prawdopodobnie 26 żelbetowych schronów biernych nowej konstrukcji, jednak zamiaru tego nie udało się już zrealizować. Miały to być obiekty – mniejsze typu R 668 (schron dowodzenia kompanii) oraz większe typu R 621 (schron dowodzenia batalionu). Część znajdujących się obecnie na pozycji dużych wykopów przeznaczona była właśnie do budowy tych obiektów. Obecnie rów przeciwpancerny i pokaźna sieć okopów są stosunkowo dobrze czytelne. Spora część „Garnków Kocha" została zniszczona lub zdekompletowana, nadal jednak ich duża ilość znajduje się w niezłym stanie, jednak w wielu przypadkach są prawie całkowicie zarośnięte lub zasypane.

Jacek Jarosz

Nauczyciel. Specjalista w zakresie marynistyki. Badacz historii statków. Miłośnik historii i fortyfikacji.

Schron dowodzenia Obszaru Warownego „Śląsk" – uroczyste otwarcie i niewesołe refleksje

TEKST I ILUSTRACJE: JERZY SADOWSKI

Chorzów to miasto przecięte centralnym odcinkiem fortyfikacji Obszaru Warownego „Śląsk". W jego obecnych granicach znajduje się punkt oporu „Łagiewniki", schrony w okolicach Maciejkowic oraz jedna z pereł fortyfikacji II Rzeczypospolitej – jedyny schron dowodzenia pochodzący sprzed 1939 roku i znajdujący się na terenie Polski. Samorząd wykazał wiele zrozumienia dla wartości tych zabytków i Chorzów był pierwszym śląskim miastem, które wspomogło działania Stowarzyszenia „Pro Fortalicium". Ponad dziesięć lat temu miasto wyremontowało schron bojowy przy ul. Katowickiej, a w końcówce 2012 roku nastąpiło uroczyste otwarcie schronu dowodzenia, znajdującego się przy ul. Parkowej. Ponieważ ukończono renowację budowli i oddano ją do zwiedzania, to finalizacja dzieła skłania do zebrania kilku refleksji, których podsumowanie, niestety, jest niewesołe.

Chorzowski schron dowodzenia otwarto dla zwiedzających bardzo uroczyście, z udziałem urzędników miejskich, mediów i publiczności, w dniu 27 grudnia. Oficjalnego aktu otwarcia dokonał zastępca Prezydenta Miasta Marcin Michalik, a oprawę wizualną zapewnili członkowie „Pro Fortalicium", występujący w mundurach Wehrmachtu i Wojska Polskiego. W trakcie uroczystości można było dowiedzieć się, że schron jest już gotowy, a prace remontowe przez 4 lata prowadzili pasjonaci ze Stowarzyszenia wspólnie z miejskim konserwatorem zabytków, dr inż. Henrykiem Mercikiem. Kosztem 120 tys. zł usunięto część ziemi, doprowadzono prąd, uruchomiono wentylację, wymalowano ściany i elementy stalowe. Dzięki tym staraniom obecnie do schronu mogą wejść wszyscy, gdyż od 1992 roku wejście było zasypane ziemią, aby nie kwaterowali w nim bezdomni.

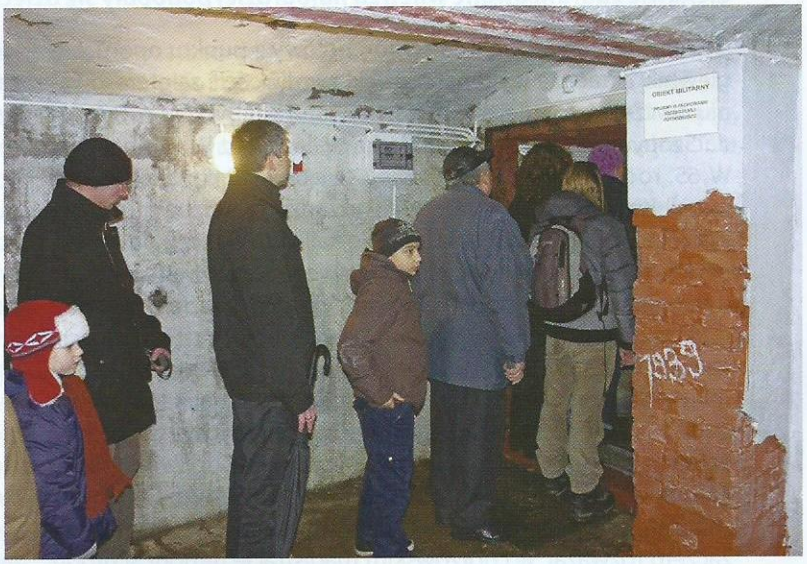

Wnętrze poterny szybko wypełniła kolejka zwiedzających. Na ścianie zwracała uwagę świeżo namalowana data „1939", sugerująca jej przedwojenne pochodzenie.

Schron sztabowy z Góry Redena był opisywany już wielokrotnie, pierwszy raz w INFORT nr 1/1991, następnie w Zeszytach Chorzowskich, zeszytach Pro Fortalicium oraz ostatnio w „Odkrywcy" (nr 1/2011). Dlatego przypomnę jedynie najważniejsze fakty: obiekt zbudowano w roku 1938, jako wojenne stanowisko dowodzenia jednostkami fortecznymi płk. Klaczyńskiego, a także gen. Sadowskiego, dowódcy obrony Śląska. Opuszczony został w nocy z 2/3 września 1939 roku i brak informacji o tym, aby w okresie okupacji był wykorzystywany przez Wehrmacht, a jedynie jako ukrycie przeciwlotnicze. W okresie „zimnej wojny" adaptowano go na schron przeciwatomowy i dobudowano do wejścia korytarz-poternę, a elewację zasypano ziemią formując płaski stok. U schyłku PRL-u nieużytkowany obiekt został okradziony z elementów stalowych. Wówczas zakwaterowali się w nim bezdomni, których usunięto w roku 1992. Do rozpoczęcia remontu w roku 2009 wnętrze schronu odwiedzali głównie miłośnicy fortyfikacji, których nie zniechęcało przeciskanie się przez wąski przekop. Obecnie wewnątrz schronu umieszczono eksponaty i archiwalia dotyczące Kampanii Wrześniowej, a część pomieszczeń zaaranżowano tak, aby oddać ich dawny wygląd.

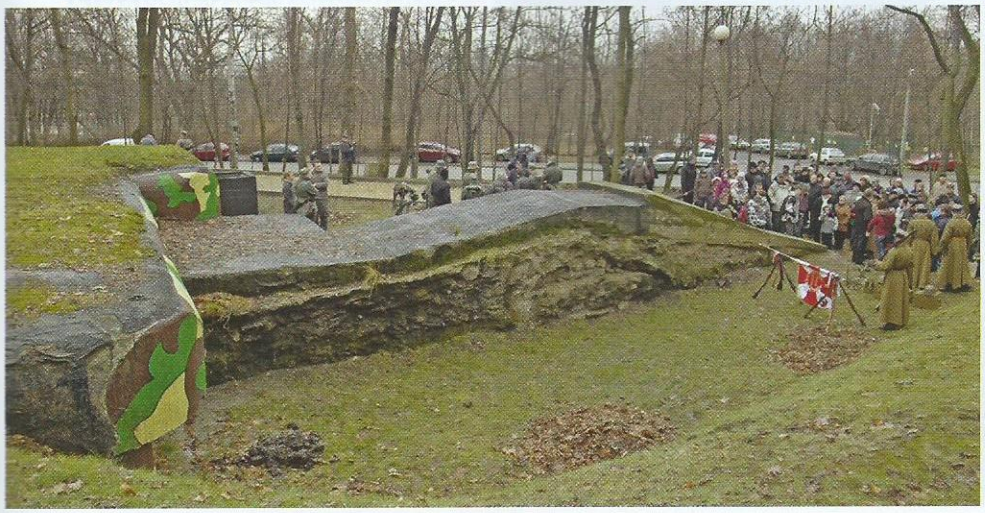

Los schronu dowodzenia jest powiązany z historią rewitalizacji innego chorzowskiego schronu, od którego sprawa się zaczęła. Wiosną 2001 r. miasto Chorzów wyremontowało znajdujący

Uroczystość oficjalnego otwarcia schronu dowodzenia przyciągnęła wielu chętnych do zobaczenia nowo ukończonego obiektu.

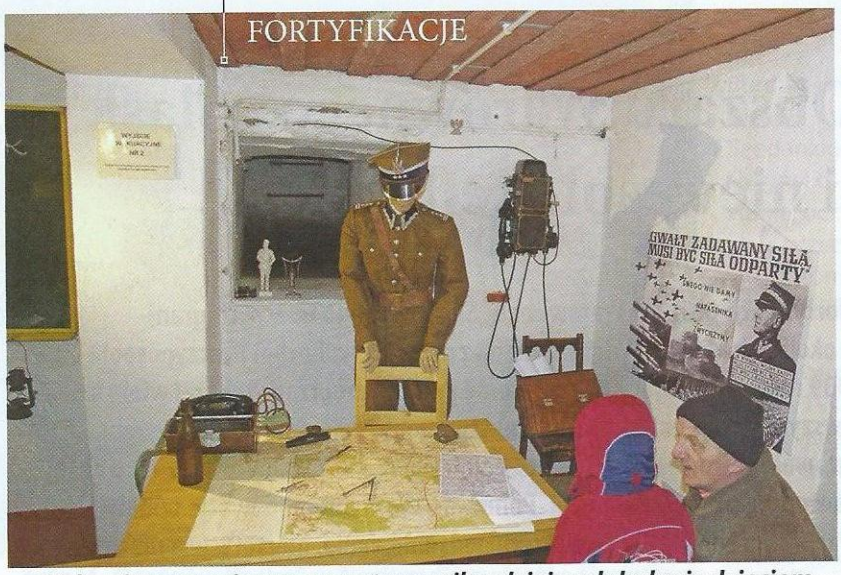

... a szczególne wrażenie robiły postacie oficerów, czyli postawne manekiny.

Ciekawie zaaranżowane wnętrza najbardziej podobały się dzieciom...

się przy ul. Katowickiej 168 schron bojowy z punktu oporu „Łagiewniki". Prace te wykonano dzięki życzliwości i zainteresowaniu ówczesnego miejskiego konserwatora zabytków p. Ryszarda Szopy oraz wsparciu płk. Marka Walancika z WKU Chorzów. W 65. rocznicę wybuchu II wojny światowej Prezydent Miasta Marek Kopel otworzył uroczyście urządzoną tu izbę muzealną i przekazał Stowarzyszeniu „Pro Fortalicium" klucze do schronu. Pieczołowicie odnowione i ciekawie zaaranżowane wnętrza dwukondygnacyjnego „obiektu nr 5" mieściły ekspozycję obejmującą wyposażenie techniczne i socjalne śląskich fortyfikacji, specjalne uzbrojenie forteczne i typową broń strzelecką z 1939 roku. Niestety, ekspozycja została zlikwidowana na początku 2007 roku, pozostawiając pewną pustkę i niedosyt względem nowego zarządu „Pro Fortalicium". Receptą na poprawę sytuacji było zajęcie się innym schronem w myśl marketingowej zasady „nowe jest wrogiem dobrego". Ponieważ już trzy lata wcześniej zaczęto rozważać w chorzowskim magistracie remont schronu sztabowego na Górze Redena, i powstał dokument zawierający koncepcję wyeksponowania obiektu, najprościej było wykorzystać ów pomysł. Dzięki temu możemy dziś oglądać budowlę będącą wyjątkowym świadkiem śląskiej historii i stąpać śladami generała Sadowskiego.

Po otwarciu schronu tłum zwiedzających ustawił się w rzadko dziś widywaną kolejkę i karnie wędrował do środka. Wnętrze witało wszystkich, jak przystało na obiekt sztabowy, wręcz śnieżną bielą i potokami światła. Już od pomieszczenia wartowni i obrony wejścia zaczynała się interesująca ekspozycja. Całe wręcz wnętrze zostało ciekawie zaaranżowane, a chyba największe wrażenie robiły pomieszczenia sztabowe wypełnione mapami oraz klasyczna szkolna tablica pozwalająca na wpisywanie rozkazów i informacji o ruchach oddziałów. W wielu pomieszczeniach ustawiono umundurowane manekiny, a przy części ekspozycji trzymali straż rekonstruktorzy. Zadbano o zainscenizowanie różnych detali, i np. węzeł łączności świetnie oddawał wojskowy klimat, który pozwalał cofnąć się do tragicznych wydarzeń z nocy 2/3 września 1939 roku. To trzeba było po prostu zobaczyć na własne oczy. Także pogoda dopisała i nie padało, wobec czego oczekiwanie na wejście do wnętrza nie stanowiło problemu. Oczekującym szczególnie podobał się pododdział niemieckich cyklistów w klasycznych mundurach koloru feldgrau stacjonujący tuż przy parkowej ścieżce. Na pewno chorzowski schron dowodzenia jest wart uwagi, nawet bez elementów przygotowanych tylko na otwarcie. Lecz nie wszystko można polecić, gdyż na zewnątrz nieco straszy... Niestety, już na początku prac remontowych zanegowano zdrowy rozsądek oraz zapisy zawarte w koncepcji wyeksponowania schronu i podjęto pierwsze niefortunne decyzje. Zaczęto bowiem od wycięcia starych drzew wskazanych do zachowania, jako wartościowe i zbieżne ze stanem historycznym, ponieważ do dyspozycji jest dokumentalna fotografia, pochodząca prawdopodobnie z 1940 roku. W koncepcji wyeksponowania zawarto nawet wizualizację 3D pokazującą, które z blisko rosnących drzew należy zachować (patrz rysunek). Trochę szkoda, ponieważ drzewa stanowiły element oryginalnego otoczenia zabytkowego schronu, a ponadto jest to teren parku miejskiego! Wycięcie drzew stanowiło jednak tylko preludium, bo prawdziwie fatalny problem nastręczyła powojenna poterna. Odkopywanie zapola schronu szybko przerwano, ponieważ prowizorycznie wykona-

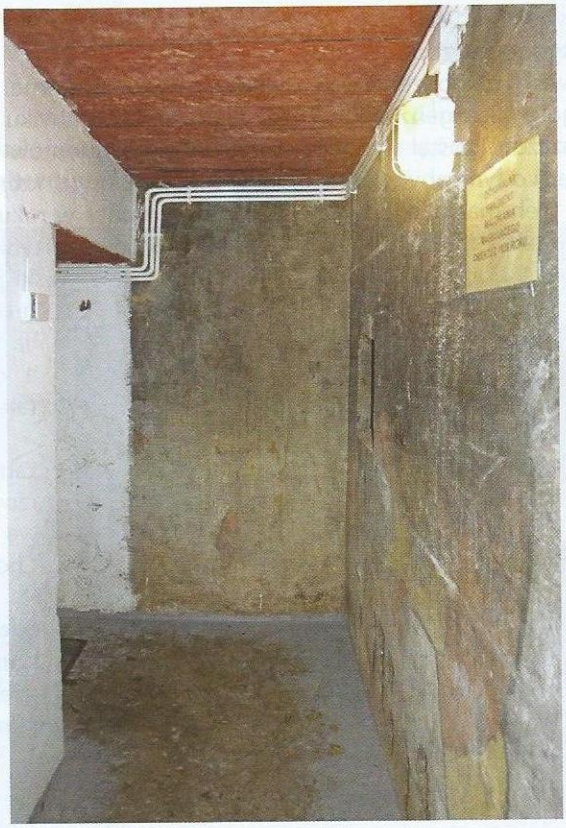

Oryginalne malowanie maskujące, które zachowało się przy wejściu do obiektu, zostało specjalnie opisane. Niestety, fragmenty w samym wejściu (w głębi kadru, po lewej) niepotrzebnie zamalowano na biało.

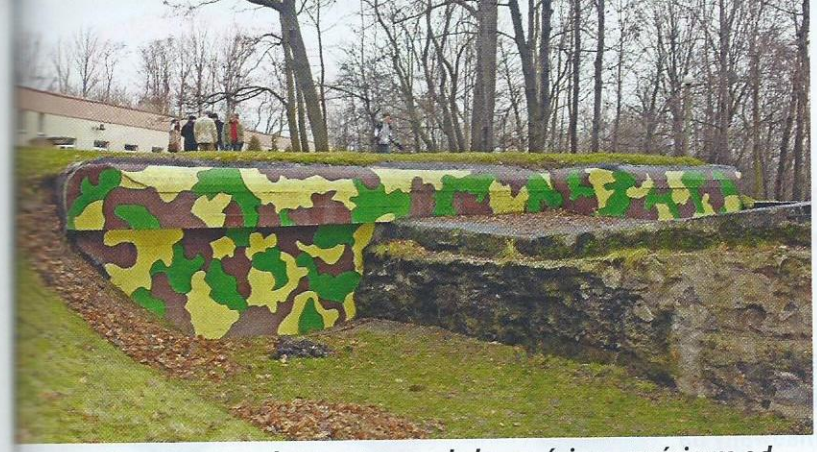

Na zewnątrz schronu straszą obskurne ściany częściowo odkopanej poterny, zza której wystają kawałki elewacji w nowym malowaniu.

Rysunek perspektywiczny z opracowanej w 2004 r. koncepcji wyeksponowania schronu dowodzenia pokazujący podjazd, dojście i zagłębienie przed wejściem oraz wskazujący, które z rosnących blisko starych drzew należało zachować.

ne ściany poterny groziły runięciem. Odsłonięto jedynie strop i część obu boków. Rok temu na łamach „Odkrywcy" omawiał ten problem Waldemar Sykosz, ówczesny wiceprezes „Pro Fortalicium": *„powstał bardzo brzydki widok: na tle elewacji schronu wyłoniły się spod ziemi obskurne powierzchnie zewnętrzne, które całkowicie przysłaniają i szpecą elewację tylną schronu."* Prace przerwano i wywiązała się dyskusja prowadzona przez zrzeszonych w Stowarzyszeniu rekonstruktorów i entuzjastów. Przeważył głos osób chyba nie posiadających potrzebnego doświadczenia i niekoniecznie zainteresowanych polską historią. *„Niestety, liczna grupa członków »Pro Fortalicium« jest przeciw przywróceniu oryginalnego wyglądu temu jedynemu śląskiemu schronowi dowodzenia"* – napisał prezes Sykosz. Cóż, merytorycznie ten sprzeciw nie miał żadnego sensu i było to kolejne negowanie propozycji zawartych w koncepcji wyeksponowania schronu. I chociaż pan Sykosz jest inżynierem budowlanym oraz biegłym sądowym, to odrzucono także jego opinię i argumenty, aczkolwiek jednoznacznie stwierdził: *„poternę należy wyburzyć, co pozwoli na całkowite odsłonięcie elewacji schronu i podkreślenie jego pierwotnej funkcji i przeznaczenia, mając na uwadze kiepski stan techniczny poterny"*. W wyniku decyzji członków Stowarzyszenia stan po przerwaniu odkopywania utrwalono i nawieziono czarnoziem oraz wysiano trawę. Oczywiście, o ile chęć pozostawienia powojennych nawarstwień jest zrozumiała (tym bardziej, że lichą i prowizoryczną konstrukcję poterny zakwalifikowano jako „budowlę niemiecką"), o tyle taką aranżację można przeprowadzić na wiele sposobów. Jednakże najbardziej oczywiste rozwiązanie, jakim byłoby pozostawienie części wejściowej do poterny jako przelotni pod wałem czołowego nasypu, chyba nie było brane pod uwagę. Przerwanie robót ziemnych zablokowało więc możliwość przywrócenia oryginalnego wejścia do schronu, osłaniającego je wału oraz wykonania podjazdu. Otrzymano zatem całkowicie ahistoryczny wygląd zabytkowego schronu i jego otoczenia, przecięty obskurnie wyglądającym fragmentem poterny. Czyli podsumowując: wśród najlepszych przyjaciół fortyfikacji i pod opieką profesjonalnych konserwatorów zabytków przemieniono perłę fortyfikacji II Rzeczypospolitej w „fortecznego Frankensteina"... To niestety nie koniec niefortunnych działań związanych z tym schronem. Szczególną wartością chorzowskiego stanowiska dowodzenia jest także pozostałość kamuflażu zachowana na wewnętrznych ścianach przedsionka, w rejonie pierwotnego wejścia (patrz fot.). Jednak w ramach „renowacji" schronu zamalowano na biało ściany w wejściu, tam, gdzie kamuflaż powinien być oraz tam, gdzie tylko wymagał oczyszczenia i odsłonięcia lub renowacji – tu widać, że schron i jego historyczne wartości są dla niektórych osób „zabytkiem" tylko z nazwy. Dla wielu zwiedzających zaskakujący był także kontrast pomiędzy resztką oryginalnego malowania, a kolorami jakimi pokryto widoczny kawałek elewacji.

Summa summarum, lekceważenie historii i dziedzictwa kultury jest dalece niepokojące. W każdym przypadku remontowa „partyzantka" zabytkowych obiektów fortyfikacyjnych przynosi jedynie straty, czasami niepowetowane. Przykładów tego typu działań jest niestety coraz więcej. Może pod właściwym nadzorem odpowiednich instytucji ten entuzjazm i dobre chęci pasjonatów dałoby się tak ukierunkować, aby nie służyły do przysłowiowego brukowania piekła i deformowania historii polskich fortyfikacji? W przeciwnym wypadku pozostaje tylko milcząco czekać, udzielając w ten sposób pozwolenia na kolejne forteczne monstrum lub inne nieszczęście. ◗

Jerzy Sadowski

Redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, kustosz Skansenu Fortyfikacji w Jastarni. Założyciel wielu stowarzyszeń, działacz Stowarzyszenia „Fortiso".

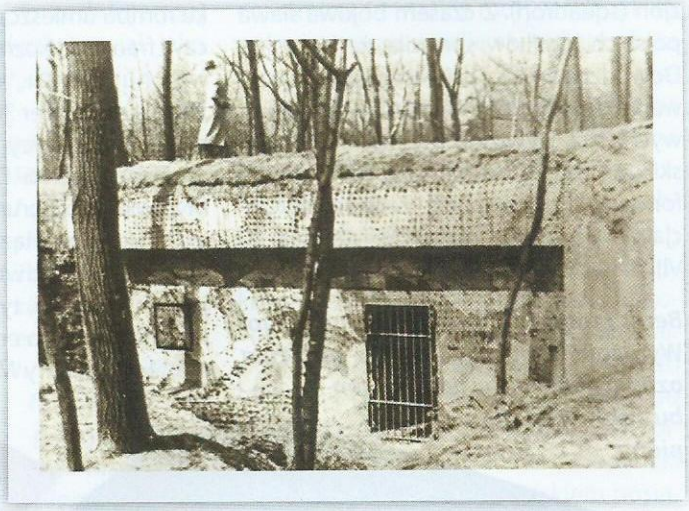

Dokumentalna fotografia, wykonana prawdopodobnie wczesną wiosną 1940 roku, pokazująca oryginalny wygląd schronu, drzewa i obniżenie terenu przed wejściem oraz dojście z prawej strony (zbiory autora).

Zoologia falerystyczna cz. 3

Chityna i pierze

TEKST: PIOTR GALIK

Wśród motywów zwierzęcych, wykorzystanych jako elementy odznak i oznak Polskich Sił Zbrojnych niebagatelną rolę odgrywały wizerunki ptaków innych niż heraldyczny Orzeł Biały, przez biologów klasyfikowany na ogół jako bielik zwyczajny, który *de iure* orłem nie jest, gdyż zalicza się do rodziny jastrzębiowatych, podrodziny myszołowów. Ale oprócz przedstawicieli fauny latającej, poczesne miejsce w symbolice militarnej zdołał zająć groźny stawonóg, pozostający w towarzystwie niepozornego owada o znakomitej przeszłości...

Lotnicza ptaszarnia, pancerna jaskółeczka i pomorska mewa

Nie może dziwić fakt, że ptaki rozmaitych gatunków znalazły się na odznakach polskich formacji lotniczych, skojarzenie ptak – samolot pozostaje naturalne nawet w naszych czasach. Niekiedy dziwić może wybór konkretnych gatunków, jednak często podyktowany był on chęcią kontynuacji przedwojennych tradycji. Eskadry lotnicze przed 1939 r. wyróżniały się barwnymi znakami, malowanymi na burtach samolotów. Odznaki pamiątkowe przysługiwały znacznie większym jednostkom – były nimi pułki lotnicze. Gdy po klęsce 1939 r. polskie lotnictwo odtwarzało swoje struktury bojowe pod auspicjami Francji i Wielkiej Brytanii, ze względów praktycznych przyjęto sojusznicze formy organizacyjne. Tak więc podstawowym oddziałem naszego lotnictwa bojowego stał się dywizjon (squadron). Z czasem bojowa sława polskich lotników sprawiła, że Naczelne Dowództwo PSZ udzieliło zgody na używanie dywizjonowych odznak pamiątkowych. 302. Dywizjon Myśliwski „Poznański" zaliczał się do najstarszych polskich formacji lotniczych na Zachodzie. Oficjalnie powołany został do istnienia 10 VII 1940 r. w brytyjskiej bazie lotniczej Leconfield, lecz duża część stanu osobowego oddziału wywodziła się z przedwojennego III dywizjonu 3. Pułku Lotniczego z Poznania. Znaczny procent lotników miał już za sobą epizod francuski, kiedy to istniał Dywizjon Myśliwski Krakowsko-Poznański, wg francuskiej nomenklatury określany jako I/145 Group de Chasse Polonaise. Projekt odznaki pamiątkowej, zatwierdzonej oficjalnie w październiku 1943 r., w udany sposób połączył symbolikę wskazującą na tradycje poprzedników Dywizjonu 302. Jednoczęściowa odznaka wykonywana ze srebra w kształcie rombu (26×16 mm) pokryta była emalią w kolorach niebieskim, białym i czerwonym, co symbolizowało zarówno francuskie, jak i brytyjskie barwy państwowe. Głównym motywem odznaki był barwnie emaliowany kroczący kruk, zapożyczony z emblematu przedwojennej 132. Eskadry Myśliwskiej. W górnym narożniku rombu umieszczono inskrypcję 1/145, czyli francuskie oznaczenie polskiego dywizjonu w 1940 r., a w narożniku dolnym znalazł się numer 302, jaki nadali jednostce Brytyjczycy.

Odznaka 306 Dywizjonu Myśliwskiego „Toruńskiego" także nawiązywała do przedwojennej symboliki, tym razem chodziło o emblemat 141. Eskadry Myśliwskiej. „Toruńska kaczka" przedstawiona w locie, z charakterystycznie opuszczonymi skrzydłami i wyprostowaną ku przodowi szyją, stanowi główny element odznaki pamiątkowej. Wizerunek ptaka pokryty jest kolorową emalią: tułów i część skrzydeł czerwoną, lotki – niebieską, a głowa i część szyi kaczki – zieloną. Tło, do którego sylwetka kaczki była mocowana przy użyciu nitów, to biało emaliowany romb. Powyżej kaczki dostrzec można nieco zaskakujący wizerunek małego niedźwiadka, siedzącego na kępie trawy i trzymającego w łapach pień. Symbol ten to kurtuazyjny gest względem pierwszego dowódcy dywizjonu, S/Ldr. Douglasa R. Scotta, przybyłego do polskiej jednostki z brytyjskiego 605. Fighter Squadron (County of Warwick). Emblemat tej formacji przedstawia herb Hrabstwa Warwickshire, który tym sposobem trafił do polskiej falerystyki.

307. Dywizjon Myśliwski Nocny „Lwowskich Puchaczy" był jednostką pod wieloma względami wyjątkową. Jako jedyny z polskich dywizjonów specjalizował się w walce nocnej, z czasem także w dalekosiężnych patrolach morskich oraz atakowaniu celów naziemnych. Lotnicy z „Trzysta-siódemki" szkoleni byli do obsługi najbardziej zaawansowanych urządzeń elektronicznych tamtego okre-

Beret czołgisty z Pułku 4. Pancernego. Wyraźnie widoczny sposób noszenia oznaki pułkowej w postaci rombu z sylwetką skorpiona.

Różne wersje pułkowego emblematu, wykonywane w warsztatach i pracowniach Egiptu, Palestyny i Włoch.

su – radarów pokładowych. Symbolika nocnych drapieżców okazała się na tyle atrakcyjna, że zaprojektowana przez Antoniego Waltosia odznaka pamiątkowa dywizjonu, nie nawiązywała w żadnej mierze do emblematów eskadr przedwojennego 6. Pułku Lotniczego ze Lwowa, czego można by spodziewać się w formacji nawiązującej do tych tradycji. Odznaka, produkowana w szeregu odmian różniących się szczegółami rysunku oraz materiałem (srebro, tombak srebrzony, alpaka) i techniką wykonania, przedstawia okazałego puchacza zwyczajnego siedzącego na sylwecie samolotu na tle półksiężyca. Pomiędzy skrzydłem i ogonem samolotu, u dołu odznaki, umieszczono ażurowy numer 307. Projekt odznaki wzbudził wśród lotników oddziału nieco mieszane uczucia („szara sowa zza księżyca"), ale przeważyły opinie pozytywne.

Podobny ptak, lecz ukazany w znacznie bardziej dynamicznej pozie, zdobi odznakę pamiątkową 316. Dywizjonu Myśliwskiego „Warszawskiego". Atakujący puchacz wzorowany był na emblemacie przedwojennej 113. Eskadry Myśliwskiej ze składu warszawskiego 1. Pułku Lotniczego. Mimo „nocnych" korzeni i symboliki , Dywizjon 316. pozostał w okresie swojego istnienia jednostką klasycznego, dziennego lotnictwa myśliwskiego. Trójkątna srebrna odznaka o wymiarach 22×19 mm pokrywana była białą emalią, a jej centralny motyw tworzył puchacz, obok którego znajdował się napis *„316 SQ"* (squadron = dywizjon).

Równie, a może nawet bardziej agresywny wizerunek ptaka zdobił odznakę 315. Dywizjonu Myśliwskiego „Dęblińskiego". Tło emblematu stanowił biało emaliowany trójkąt równoboczny, mieszczący zgrabnie zakomponowaną sylwetkę atakującego koguta o czarnym pierzu i czerwonym grzebieniu. Koło czubka skrzydeł bojowego „czarnego kura" widoczny jest niewielki numer dywizjonu: 315. Także i w tym przypadku projekt odznaki nie był efektem radosnej twórczości, lecz ścisłym nawiązaniem do emblematów malowanych na samolotach należących do 112. Eskadry Myśliwskiej 1. Pułku Lotniczego. Ze względu na różnych wykonawców odznaka znana jest w szeregu wersji, różniących się materiałem, lecz także pewnymi detalami sylwetki koguta.

317. Dywizjon Myśliwski „Wileński" ze względu na zamiar kontynuacji przedwojennej tradycji, przyjął jako pierwowzór swojej odznaki pamiątkowej emblemat 151. Eskadry Myśliwskiej z III Dywizjonu 5. Pułku Lotniczego, stacjonującego w Wilnie. Zasadnicza część odznaki stanowi sylwetka atakującego sępa (afrykańskiego?) o upierzeniu pokrytym białą i niebieską emalią, nałożona na tło w postaci krzyża równoramiennego (greckiego) emaliowanego na biało.

Pewne ptasie cechy posiada także mityczna bestia, którą zaprojektował Bohdan Arct, lotnik, pisarz i grafik, twórca odznaki pamiątkowej Polskiego Zespołu Myśliwskiego w Afryce, znanego lepiej pod potoczną, choć nieformalną nazwą „Cyrk Skalskiego". Tło odznaki o wymiarach 26×26 mm stanowi emaliowany na biało krzyż równoramienny w typie zbliżonym do tzw. pizańskiego, czyli posiadającego spiczaste zakończenia ramion. Centralny motyw odznaki to pokryty czarną emalią skrzydlaty sfinks w czerwonej egipskiej chuście na głowie. Poziome ramiona krzyża opatrzone zostały datą w układzie 19/43, a dolne ramię zdobi inicjał *„PFT"*, anglojęzyczny skrót nazwy oddziału (Polish Fighting Team). Jest to jedna z najrzadszych i najbardziej elitarnych odznak pamiątkowych PSZ z okresu II wojny światowej. Warto przypomnieć, że „Cyrk Skalskiego" istniał bardzo krótko – od II do VII 1943 r. (bojowo latał jedynie od III do V 1943) i zgromadził nie więcej niż 17 pilotów myśliwskich. Dlatego też odznaki z czarnym sfinksem i nazwiskiem posiadacza wygrawerowanym na odwrocie pozostają ozdobą bardzo nielicznych zbiorów i są swoistym kolekcjonerskim Świętym Graalem.

Proporczyki kołnierzowe „skorpionów", odmiana metalowa, lakierowana.

Odznaka Wojskowego Klubu Sportowego „Skorpion".

Skrzydlaty Sfinks – odznaka pamiątkowa „Cyrku Skalskiego" – to dzieło Bohdana Arcta.

Odznaka pamiątkowa 4. Ppanc. łączy motyw skorpiona i krzyża benedyktyńskiego w czarnej emalii – symbolu bitwy o Monte Cassino. Legitymacja odznaki ozdobiona jest dodatkowo paskami w barwach pułkowych proporczyków.

Oznaka rozpoznawcza 2. Warszawskiej Dywizji Pancernej z paskiem w barwie Pułku „Skorpionów".

Pułkowe skorpiony zdobią także pomnik upamiętniający walki oddziału pod Monte Cassino.

„Pancerna jaskółka" – emblemat 19. Kompanii Zaopatrywania w 2 WDPanc.

Ptasie emblematy pojawiły się także na beretach żołnierzy II Korpusu. W 19. Kompanii Zaopatrywania z 2. Warszawskiej Dywizji Pancernej oznaką wyróżniającą stała się postać mosiężnej, posrebrzanej jaskółki w locie, symbolu wymarzonego powrotu do Kraju, nakładana na romb w barwie khaki, wykonywany z sukna. Oznaka trafiła do użytku już po wojnie, w roku 1946. W tym okresie 66. Pomorski Batalion Piechoty przyjął zakładany na berety znak w postaci błękitnej tarczy herbowej z szybującą białą mewą, mający symbolizować nadmorskie pochodzenie oddziału.

Pustynne insekty na polskich beretach

Osobliwością polskiej falerystyki militarnej XX w. pozostaje wizerunek jadowitego pajęczaka, przyjęty przez Pułk 4. Pancerny „Skorpion", oddział czołgów ze składu 2. Brygady Pancernej II Korpusu Polskiego. Historia pułku odzwierciedla burzliwe dzieje formacji polskich na Wschodzie. Jednostka powstała pierwotnie jako Ośrodek Organizacyjny Broni Pancernej w kirgiskiej miejscowości Karabałty. Po ewakuacji oddziałów Armii Polskiej z ZSRR na Bliski Wschód (wiosna 1942 r.) kadrę pancerniaków zreorganizowano, tworząc 1. batalion czołgów, z czasem przemianowany na 4. batalion w ramach nowo formowanej brygady pancernej. W roku 1943 po przezbrojeniu i reorganizacji, 4. batalion czołgów stał się 4. Pułkiem Pancernym. W niedługim czasie na wieżach nowych wozów bojowych oddziału, czołgów typu M4A2 Sherman III, pojawiły się wizerunki skorpiona, symbolu pustynnych szkoleń i ćwiczeń. Warto dodać, że wśród ówczesnych oddziałów alianckich na Bliskim Wschodzie, znak skorpiona kojarzył się z elitarną formacją do zadań specjalnych: LRDG (Long Range Desert Groups – Pustynne Grupy Dalekiego Zasięgu). Wydaje się, że polscy czołgiści nie mieli nic przeciwko takim skojarzeniom... Pułk „Skorpionów" uczestniczył w kampanii włoskiej, walcząc pod Monte Cassino, na wybrzeżu adriatyckim, w Apeninach oraz pod Bolonią. W trakcie akcji bojowych pułk stracił 46 poległych, 174 rannych i 3 zaginionych żołnierzy. Orderem Virtuti Militari nagrodzonych zostało ponad 50 pancerniaków, a już w okresie powojennym także sztandar pułkowy. Symbolika pułku obejmowała różnorodne elementy, zapożyczone z tradycji polskiej i sojuszniczej. Najbardziej narodowym emblematem były niewątpliwie proporczyki, naszywane na kołnierzach mundurów. Interesujące, że wbrew wyraźnie pancerniackiej genezie jednostki (około połowy pierwotnego składu osobowego pułku miało za sobą służbę w przedwojennych formacjach pancernych) proporczyk pułkowy, chociaż utrzymany w barwach broni (pomarańcz i czerń) miał krój typowo kawaleryjski. Podstawowym kolorem wyróżniającym Pułk „Skorpionów" była czerwień. Pasek tej barwy przebiegał wzdłuż proporczyka, ozdobionego wizerunkiem groźnego stawonoga z białego metalu. Czerwony był także romb, na który nakładano metalowego lub naszywano haftowanego skorpiona. Oznaka ta noszona była na czarnym berecie, na lewo od orła i oznaki stopnia wojskowego. Znanych jest wiele wersji skorpioniego emblematu – odlewane, wybijane i wycinane z metalu, a także haftowane szarą nicią lub srebrnym bajorkiem w licznych odmianach. Zwykle uważa się skorpiony haftowane za oficerskie, gdyż ich zamówienie wiązało się z wydatkiem pokrywanym z prywatnych funduszy. Z czasem także czerwone romby zaczęto wykonywać z trwalszych niż sukno czy filc surowców – tworzywa sztucznego lub pokrytej emalią albo lakierem metalowej płytki. Należy pamiętać, że kolor czerwony w przypadku Pułku 4. Pancernego wywodzi się z brytyjskiej praktyki oznaczania wozów bojowych barwnymi figurami geometrycznymi. „Skorpiony", jako najstarsi wśród pułków pancernych II korpusu, otrzymali zatem kolor zarezerwowany dla brytyjskiego „senior regimentu" w brygadzie. Podobnie stało się w przypadku Pułku Ułanów Krechowieckich – barwa żółta oznaczała czołgi „second senior regimentu", a najmłodszy z pułków brygady – 6. Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich" – przyjął kolor niebieski, typowy dla „junior regimentu".

Czerwony – w myśl tej praktyki – był pasek naszywany wzdłuż dolnej krawędzi oznaki brygadowej (później dywizyjnej – „ramię pancerne") noszonej przez żołnierzy spod znaku skorpiona. Miniatura oznaki beretowej wybrana została jako zasadniczy element odznaki pamiątkowej pułkowego klubu sportowego: WKS „Skorpion". Ten charakterystyczny emblemat o wymiarach ok. 29×17 mm miał postać pionowo ułożonego rombu ze skorpionem (szczypcami ku dołowi), opatrzonego inicjałami WKS w górnej części.

Skorpion polskich pancerniaków nie był jedynym przedstawicielem stawonogów w ówczesnej symbolice militarnej. Żołnierze 9. Kompanii Zaopatrywania w roku 1946 założyli na swoje berety oznaki rozpoznawcze w postaci wizerunku klasycznego egipskiego skarabeusza obok półksiężyca, symbolu Bliskiego Wschodu. Szacowny chrząszcz (w mitologii egipskiej święty symbol codziennej wędrówki słońca po nieboskłonie) mocowany był do rombu wykonanego z sukna barwy khaki. Był to chyba najbardziej osobliwy ze zwierzęcych patronów polskich formacji wojskowych w XX wieku.

Literatura i ilustracje:
1. B. Wojciechowski, Z. Sawicki „Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie 1939-1947", Gdynia-Warszawa 2009
2. J. Murgrabia „Symbole wojskowe Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1939-1946", Warszawa 1990
3. „Wojsko Polskie 1939-1945" [w:] „Barwa i broń", Warszawa 1990
4. J. Dembiniok, B. Szczech, A. Urbański „Oznaki i odznaki Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie", Katowice 1984

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

„Archeologia Wojenna", tom 3, opr. miękka, str. 168, wyd. Archeologia Militaris. Cena: 36,75 zł

Trzeci tom „Archeologii Wojennej". Publikacja przeznaczona jest dla sympatyków historii, kolekcjonerów oraz poszukiwaczy militariów i skarbów. Spis treści: „Polska »czwórka«"; „Akcja Valentine IX"; „Kronika poszukiwań śladów i pamiątek po działaniach wojsk niemieckich w Prusach Wschodnich w 1945 r."; „Tajemnica sycowskiego grobu »powstańców warszawskich«"; „Częstochowa 1939 – zapomniana bitwa"; „Podwójne życie »Rekina«"; „31. Pułk Strzelców Kaniowskich w latach 1936-1939"; „Ppłk Stanisław Magnuszewski bojownik niepodległości wśród zwolenników Józefa Piłsudskiego"; „Fort »Zazdrośnik«"; „Niemiecka amunicja szkolna 7,92×57 Mauser w latach 1889-1945"; „Pancerna zagadka Twierdzy Modlin"; „RKM wz. 28 w świetle instrukcji i dokumentów".

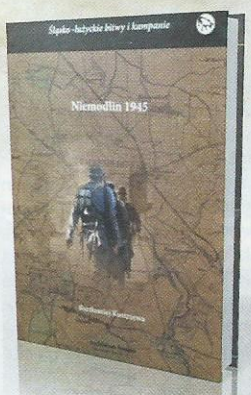

Bartłomiej Kostrzewa „Niemodlin 1945", opr. miękka, str. 104, wyd. Archiwum System. Cena: 23,50 zł

Praca podejmuje temat działań militarnych na terenie powiatu niemodlińskiego w pierwszych miesiącach 1945 roku. Autor omówił m.in. niemieckie przygotowanie do obrony w tym rejonie: budowę umocnień i fortyfikacji, formowanie Volkssturmu, prace niemieckich władz nad przygotowaniem ewakuacji zasobów ludzkich, wreszcie plany radzieckich dowództw operacji zaczepnych na obszarach południowo-zachodniej Polski i ich przebieg od stycznia do marca 1945 r. Najważniejszą część pracy zajmują opisy walk na ziemi niemodlińskiej w toku dwóch operacji zaczepnych 1. Frontu Ukraińskiego: wiślańsko-odrzańskiej (12 I-7 II) i opolskiej (15-31 marca). W publikacji nie brakuje też ciekawostek, jak np. nieco zapomniany udział jednostek estońskiej 20. Dywizji Grenadierów Waffen SS.

Leon Mitkiewicz „Bitwa zimowa na Mazurach (6-21 II 1915 r.)", opr. twarda, str. 117, wyd. Napoleon V. Cena: 42 zł

Książka jest reedycją wydania z 1936 r. Od tego czasu stan wiedzy na temat ówczesnych wydarzeń jest znacznie bogatszy, warto jednak sięgnąć po pracę znającego z autopsji realia carskiej armii walczącej w I wojnie światowej, późniejszego płk. WP Leona Mitkiewicza. Zainteresowani znajdą w książce opis pierwszej fazy tzw. II bitwy nad jeziorami mazurskimi, na skraju Prus Wschodnich i Suwalszczyzny. Wówczas to wojska niemieckie wykonały silne uderzenie na zaskoczone siły rosyjskie, doprowadzając do rozbicia XX Korpusu rosyjskiego. Autor na 11 szkicach przedstawił kolejne etapy zmagań, dołączył również do tekstu składy bojowe 8. i 10. Armii niemieckiej oraz 10. Armii rosyjskiej.

Dariusz Kaszuba, Marek Sadzikowski „Wojskowe znaki tożsamości w fotografii i źródłach z epoki", opr. miękka, str. 144, wyd. Muzeum im. Orła Białego. Cena: 37,80 zł

Autorzy ukazali w niniejszej pracy dzieje „nieśmiertelników", opierając się na zbiorach własnych oraz fotografiach z epoki, gromadzonych przez wiele lat. Zaprezentowano tutaj znaki tożsamościowe z różnych armii w różnych okresach. W częściach poświęconych I i II wojnie światowej pokazano „nieśmiertelniki" z armii europejskich i amerykańskich. Następna część poświęcona jest jenieckim i pracowniczym znakom tożsamości z lat 1914-1945. Część czwarta przedstawia nieśmiertelniki Polaków służących w obcych armiach, a piąta żołnierzy WP z lat 1914-1945. W kolejnych rozdziałach omówiono również nieśmiertelniki WP z lat 1945-2010, oraz te używane współcześnie; opisano też parametry różnych znaków tożsamościowych. Niezwykle interesujące i rzadko dostępne są zdjęcia polskich żołnierzy z września 1939 r. z widocznymi znakami tożsamości. W sumie w publikacji umieszczono niemal 200 fotografii.

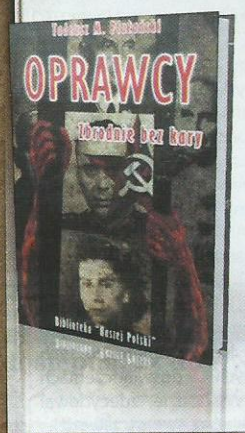

Tadeusz M. Płużański „Oprawcy", opr. miękka, str. 360, wyd. Capital. Cena: 42,50 zł

Niniejsza książka Tadeusza M. Płużańskiego kontynuuje wątki zawarte w poprzedniej publikacji autora pt. „Bestie". „Oprawcy" to nie tyko charakterystyka sylwetek najokrutniejszych przedstawicieli aparatu terroru w PRL. Książka ta, to także próba pokazania co stało się z komunistycznymi zbrodniarzami już w III RP. Autor zauważa, że duża część z nich nigdy nie poniosła zasłużonej kary. Podkreśla też, że władze niepodległego państwa polskiego nie stanęły na wysokości zadania i nie zdołały lub nie chciały wymierzyć sprawiedliwości oprawcom polskich patriotów.

Cezary Głuszek „Rewaloryzacja zabytkowych fortyfikacji przełomu XIX i XX wieku w Polsce", opr. miękka, str. 154, wyd. Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej. Cena: 44 zł

Publikacja podejmuje problematykę adaptacji i modernizacji obiektów pofortecznych w Polsce. Praca podzielona jest na trzy części. W pierwszej omówiono sposoby konserwacji zabytków, uwzględniając ewolucję poglądów konserwatorskich dotyczących odnawiania fortyfikacji. W drugiej części scharakteryzowano zasób pofortyczny w Polsce oraz przedstawiono zasady rewaloryzacji takich obiektów. W części trzeciej, autor stara się ukazać funkcję współczesnych uzupełnień zabytkowych jako architektoniczną formę zabiegu konserwatorskiego. Praca zawiera także wiele kolorowych zdjęć i planów oraz słownik zabiegów konserwatorskich i terminów fortyfikacyjnych.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź

na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Piotr Oleńczak „Twierdza Modlin 1830-1864", opr. twarda, str. 166, wyd. Egros i MCKiS. Cena: 34,40 zł

Autor przedstawił dzieje twierdzy Modlin w okresie, gdy służyła ona Rosjanom do pacyfikowania niepokornego miasta i wspólnie z Cytadelą stała się symbolem zniewolenia Polski. Pierwszy rozdział prezentuje rolę twierdzy Modlin w Powstaniu Listopadowym. Omówiono m.in. znaczenie twierdzy w planach strategicznych powstania i prace fortyfikacyjne z 1831 roku. Drugi rozdział ukazuje Modlin jako główną twierdzę Królestwa Polskiego w latach 1831-1856. Przedstawiono tutaj m.in. podwójną rolę Modlina w tym okresie – umacnianie panowania rosyjskiego nad ziemiami polskimi i obrona zachodnich granic imperium. Ostatni rozdział dotyczy wykorzystania twierdzy w Powstaniu Styczniowym. Autor przypomina też, że Modlin w okresie powstania oraz po jego zakończeniu pełnił funkcję więzienia. Ukazane zostały tutaj również losy skazańców, spośród których wielu zostało wywiezionych na Syberię.

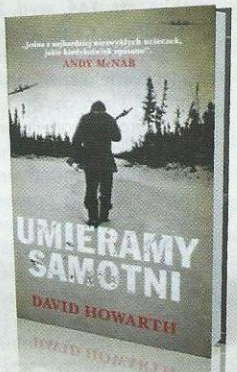

David Howarth „Umieramy samotni", opr. miękka, str. 200, wyd. Gord. Cena: 33,60 zł

Akcja książki rozpoczyna się w marcu 1943 roku. Norwescy komandosi, którzy właśnie zakończyli szkolenie w Anglii przepływają potajemnie kutrem z Szetlandów do swojej ojczyzny okupowanej przez Niemców. Docierają na skalistą wysepkę za kołem podbiegunowym. Stoją przed niełatwym zadaniem – muszą zorganizować ruch oporu i zacząć prowadzić akcje dywersyjne w mocno obsadzonym przed Niemców rejonie. Skutkiem zdrady grupa została zlikwidowana. Jedynym, który ocalał jest 26-letni Jan Baalsrud. Rozpoczyna on dramatyczną ucieczkę przed nazistami. Próbując przedostać się do neutralnej Szwecji musi zmagać się z arktycznym klimatem i wieloma niebezpieczeństwami. Wielokrotnie ociera się o śmierć, ranny i wycieńczony, nękany odmrożeniami i śnieżną ślepotą z nadludzką determinacją walczy o przeżycie.

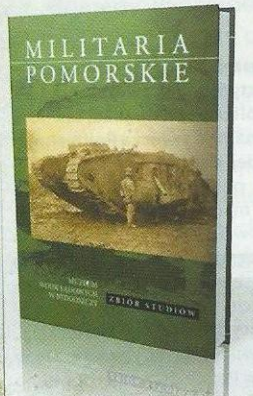

„Militaria Pomorskie 2012" t. 4, red. M. Giętkowski, Ł. Nadolski, A. Smoliński, opr. miękka, str. 302, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 21 zł

Tom zawiera szereg ciekawych szkiców, podejmujących kwestie z zakresu historii militarnej Europy, ze szczególnym uwzględnieniem wielu interesujących i nowatorskich aspektów historii militarnej Pomorza. Wśród artykułów warto wyróżnić następujące: „Twierdza Toruń i jej garnizon do 1815 roku"; „Jeden z epizodów I wojny światowej na wojennej fotografii"; „Formacje etapowe Wojska Polskiego na wschodnich i północno-wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej"; „Udział formacji Wojska Polskiego garnizonu toruńskiego w uroczystościach wojskowych i państwowych w latach 1920-1939"; „Bydgoszcz pod niemieckim zarządem wojskowym. 5 IX 1939-25 X 1939"; „Jedna z wielu. Stefania Lesikowska-Szalewska – żona, matka i żołnierz"; „Walki powietrzne nad Wietnamem Północnym w początkowym okresie operacji »Rolling Thunder« (kwiecień-czerwiec 1965)".

„Leksykon militariów Powstania Warszawskiego", red. M. Komuda, opr. miękka, str. 392, wyd. Muzeum Powstania Warszawskiego. Cena: 46,90 zł

Przygotowany przez pracowników Muzeum Powstania Warszawskiego i IPN leksykon zawiera 165 haseł, w których mieści się nie tylko historia i opis broni lub elementów umundurowania używanych podczas Powstania Warszawskiego, ale także współczesne i archiwalne zdjęcia, relacje powstańców i wiele interesujących szczegółów. Publikację podzielono na kilka rozdziałów. W pierwszym omówiono broń palną: karabiny maszynowe, powtarzalne i samopowtarzalne, pistolety, pistolety maszynowe, rewolwery oraz ręczną broń przeciwpancerną i granatniki. Rozdział drugi poświęcony jest broni pancernej i artyleryjskiej. Zaprezentowano tu artylerię ciągnioną i samobieżną, czołgi oraz pojazdy bojowe. W trzecim rozdziale autorzy skupili się na przedstawieniu grantów, broni specjalnej i osprzętu. Kolejna część dotyczy lotnictwa – samolotów bombowych, myśliwskich i rozpoznawczych. Ostatni rozdział poświęcony został umundurowaniu i oporządzeniu.

Janusz Ledwoch „Samochody pancerne Wojska Polskiego", opr. miękka, str. 172, wyd. Militaria. Cena: 26,60 zł

Praca prezentuje zastosowanie w uzbrojeniu Wojska Polskiego samochodów pancernych w latach 1918-1939. Pierwsze trzy rozdziały opisują pojazdy pancerne wykorzystywane u zarania niepodległości. Przedstawiono tutaj ich zastosowanie w ogniu walk powstańczych na Śląsku i w Wielkopolsce oraz podczas wojny z bolszewikami, Ukraińcami i Litwinami. Większość z tych pojazdów było wówczas pojazdami zdobycznymi. Dopiero latem 1920 r. wyprodukowano małą serię polskich samochodów pancernych. Rozdziały czwarty i piąty opisują pojazdy używane w WP w okresie pokoju: od 1921 r. do 1939 r. Następnych rozdział poświęcony jest projektom kolejnych pojazdów, które jednak w większości nie zostały zrealizowane. Rozdziały siódmy i ósmy podejmują temat zastosowania samochodów pancernych w kampanii wrześniowej. Ostatni rozdział omawia sposoby malowania i oznakowania opisywanych pojazdów. Publikacja zawiera wiele czarno-białych zdjęć, a także kilka barwnych plansz.

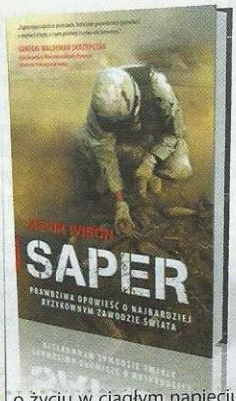

Kevin Ivison „Saper", opr. miękka, str. 304, wyd. Znak. Cena: 34,80 zł

Autobiografia kapitana Kevina Ivinsona – zawodowego sapera. W ciągu swojej kariery wojskowej wiele razy otarł się o śmierć. Rozbrajał bomby w najbardziej zapalnych punktach świata: w Afganistanie, Bośni, Kosowie i Irlandii Północnej. Będąc w Iraku musiał rozbrajać ładunki wybuchowe, otoczony trupami swoich kolegów i rozwścieczonym tłumem tubylców. Dopiero po tych traumatycznych doświadczeniach na Bliskim Wschodzie zdecydował się opowiedzieć o swoim zawodzie, o życiu w ciągłym napięciu i o straszliwych konsekwencjach, jakie spotykają wszystkich, którzy igrają ze śmiercią.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

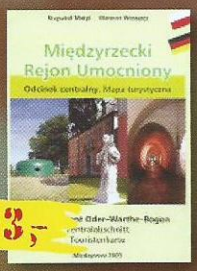

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY"
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY"
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

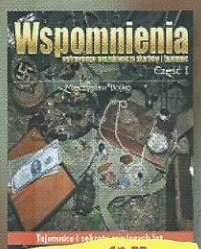

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

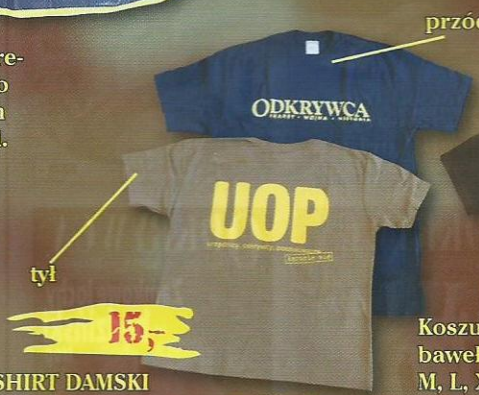

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

20,-

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny w rozmiarach: M, L, XL, XXL. Kolor oliwkowy w rozmiarach: M, L, XL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 2/169

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

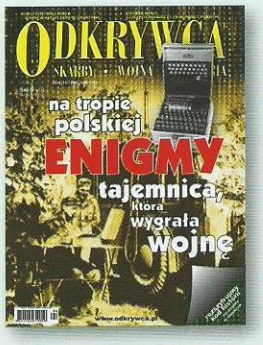

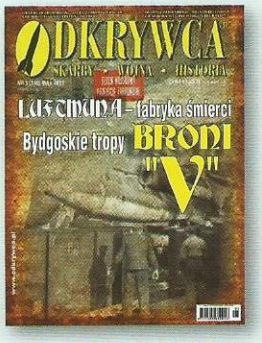

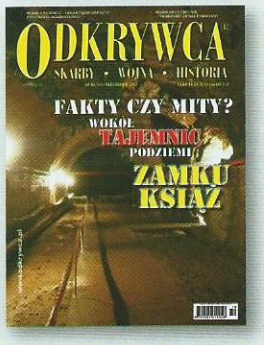

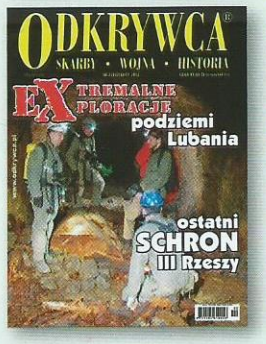

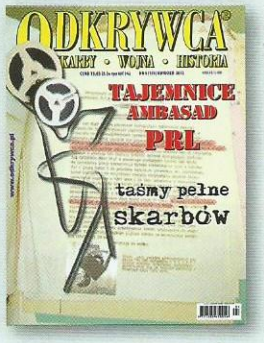

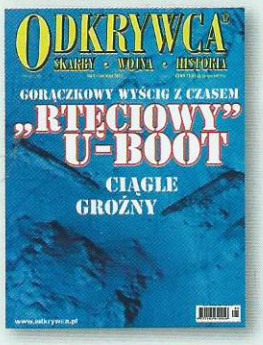

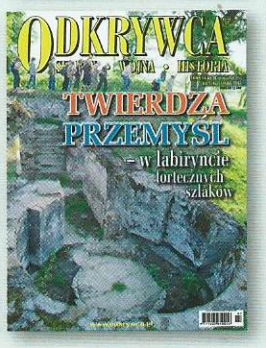

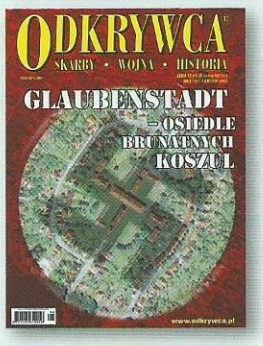

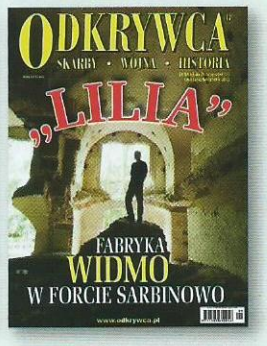

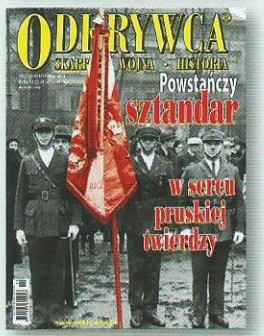

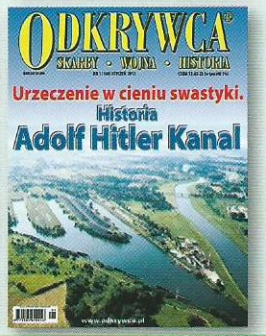

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ▶ stałej, niższej ceny ▶ szybkiej dostawy pod wskazany adres ▶ otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:
▶ krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
▶ zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł
- roczniki 2006 do 2009 – cena 96 zł
- roczniki 2010 do 2012 – cena 108 zł
- Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71